



*Christine Rimmer*

*Książkę jednej  
nocy*

---

# ROZDZIAŁ 1

Lynn Taylor odłożyła ołówek. Saro?

Dziewczynka, która jako jedyna z gromadki uczniów Lynn nie poszła jeszcze do domu, przerwała rysowanie i uniosła jasnoblonde włosy.

- Która godzina? - spytała Lynn.

Sara spojrzała na zegar wiszący nad tablicą.

- Mała wskazówka na dwunastce, duża na dwójce... - odczytywała ze skupieniem; przetwarzanie informacji to trudne zadanie! - Dziesięć po dwunastej? - szepnęła ostrożnie.

- Doskonale.

Uśmiech rozpromienił twarz dziewczynki.

- Czyli zaraz przyjdzie mama i przyniesie urodzinową niespodziankę dla pani.

- Tak, wiem. Myślę, że powinnaś...

- Ale to naprawdę będzie niespodzianka, panno Taylor.

- Wiem, Saro, twoja mama wspominała mi o tym. Ty też mówiłaś mi to wiele razy.

- Ale nic więcej nie mogę powiedzieć.

- To też już słyszałam.

- Mama mówiła, że na niespodziankę trzeba długo czekać. Inaczej to nie będzie prawdziwa niespodzianka.

- Tak, i myślę, że powinnaś...

- To tak jak przed Gwiazdką - szczebiotała Sara. – Pod choinką leży taka duża paczka i jest owinięta w śliczny kolorowy papier, a mama nie pozwala oderwać nawet rożka, żeby zobaczyć, co jest w środku. Rano wstaję i patrzę na nią, i tak mnie korci, żeby ją otworzyć, ale nie mogę tego zrobić aż do samej Gwiazdki. Czasem to nawet jestem trochę zła, że tak długo muszę czekać. Jestem taka podniecona, bo tam pewnie jest coś wspaniałego, może wielka, śliczna lalka, a może nawet szczeniaczek, który potem urośnie i będzie taki duży jak Sugar, piesek Jenny...

- Saro... - Nauczycielce udało się przerwać ten potok słów. Mała ucichła, odrobinę zawstydzona.

- Tak, panno Taylor?

Lynn na migi pokazała, jak sznuruje buzię.

- Ach, tak... Już milczę jak grób.

- Myślę, że powinnaś odłożyć rysunek i przygotować się do wyjścia.

- Tak, panno Taylor... A wie pani co?

- Co znowu?

- Mam nadzieję, że dostanę kiedyś prawdziwego pieska.

- Być może. Ale teraz...

- Wiem, wiem. - zachichotała Sara. - Buzia na kłódkę.

- No właśnie.

Sara wstała, trzymając w ręku rysunek.

- Założę kurtkę - oznajmiła.

- Dobrze. - Lynn zamknęła zeszyt z konspektami zajęć i wsunęła go do górnej szuflady biurka. Sara schowała rysunek do teczki, zamknęła pulpit stolika i bardzo starannie przysunęła krzesło.

Wtedy właśnie rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

- Ja otworzę! - poderwała się Sara. - To na pewno mama! Jak strzała pomknęła do wejścia i chwyciwszy oburącz stalową gałkę, z całej siły pociągnęła drzwi do siebie.

Otworzyły się bezszelestnie, wpuszczając do środka gwałtowny podmuch rześkiego, październikowego powietrza. Wiatr poderwał papiery z biurka Lynn, wprawiając je w swawolny, taneczny wir. Lynn roześmiała się cicho i obiema dłońmi przytrzymała niesforne kartki.

- Wejdź i zamknij...

- To nie mama - zawołała Sara. - To jakiś pan.

Lynn uniosła głowę znad papierów. Jej wzrok napotkał surowe, władcze spojrzenie czarnych oczu. Potem ześlizgnął się po wystających kościach policzkowych i prostym, zgrabnym nosie, po wydatnej, mocno zarysowanej szczęce i męskim dołeczku w podbródku. Ubranie nieznanego - sportowa kurtka w kolorze mlecznej czekolady, dobrze skrojone ciemne spodnie i eleganckie buty - wskazywało na zasobność kieszeni właściciela. Lynn domyśliła się, kim jest przybysz. To Ross Garrison, nowy adwokat w Whitehorn. Nie mieli dotychczas okazji poznać się osobiście, ale znała go z widzenia. Poza tym Trish, jej młodsza przyrodnia siostra, pracowała u niego jako sekretarka. A ponieważ mieszkali razem, Lynn była na

bieżąc i niezwykle szczegółowo informowana o wszystkim, co dotyczyło przystojnego prawnika.

Kolejny silny podmuch pozwolił Lynn odzyskać panowanie na sobą.

- Pan Garrison, jeśli się nie mylę - zagadnęła uprzejmie.

- Nie myli się pani.

- Proszę wejść, żeby Sara mogła zamknąć drzwi. Przystąpił próg, a dziewczynka chwyciła za klamkę z całych sił pchnęła drzwi, które zatrzasnęły się automatycznie. Lynn zgarnęła papiery i wstała. Z trudem powstrzymała odruch, by wygładzić wełnianą spódnicę. Obeszła biurko i ruszyła na powitanie gościa.

- Szukam Lynn Taylor - oznajmił adwokat zdecydowanym tonem. - W biurze powiedziano mi, że...

- Dobrze pan trafił. To ja.

Pewnym siebie gestem wyciągnął mocną, opaloną dłoń. W pierwszej chwili pomyślała, że chce się przywitać, ale on tylko wręczył jej wizytówkę.

Przez ułamek sekundy poczuła na sobie badawcze spojrzenie, ale wzrok mężczyzny natychmiast powędrował dalej.

Lynn zerknęła na wizytówkę. Była to kremowa karteczka z grubego, czerpanego papieru o fakturze przypominającej len. Opuszkami palców powiodła po złotym napisie: Ross Garrison, adwokat. W lewym dolnym rogu, mniejszą czarną czcionką, wydrukowano adres i numer telefonu kancelarii przy Central Street.

Uniosła głowę. Prawnik bacznie lustrował wnętrze klasy, niczym inspektor węszący usterki i niedociągnięcia. Wodził oczami po tablicach i gazetkach ściennych, z których śmiały się różnokolorowe litery i cyfry.

- Przyjemnie tu - skwitował beznamiętnym tonem.

- Dziękuję - odparła, zachodząc w głowę, jaki może być cel tej niespodziewanej wizyty.

Gość jednak najwyraźniej nie kwapił się do wyjaśnień.

Przechadzał się po sali zamaszystym krokiem. Z zainteresowaniem przyjrzał się kalendarzowi ozdobionemu ornamentem z czarnych kotów, kapeluszy czarownic i jesiennych liści. Przystanął na moment przed tablicą, na której uczniowie zawiesili na kolorowych włóczkach pracowicie wyrysowane i własnoręcznie wykonane książeczki, pełne wielobarwnych opowieści, oprawione w jaskrawe okładki. Wreszcie zatrzymał się pod przeciwległą ścianą i zmierzył wzrokiem rząd równo rozstawionych stolików i krzeseł.

- Tak - orzekł w końcu. - Nieźle to wygląda.

- Kochanie - Lynn zwróciła się do Sary, która z zapartym tchem śledziła ruchy prawnika - weź kurtkę i ubierz się. Spakuj swoje rzeczy, nie zapomnij pudełka na drugie śniadanie i teczki z rysunkami. Mama na pewno zaraz przyjdzie.

Sara posłusznie podreptała do niewielkiego przedpokoju, gdzie dzieci wieszały ubrania, a w szafkach zostawiały osobiste drobiazgi,

- Czy... czy chodzi o Irish? - spytała ostrożnie Lynn, kiedy Sara zniknęła.

Prawnik przerwał wizytowanie klasy i zaszczyił Lynn obojętnym spojrzeniem. Z jego oczu nie dało się niczego wyczytać. Imię siostry nie wywołało nawet cienia zainteresowania. Lynn uczuła bolesne ukłucie w sercu, wiedziała bowiem, że Trish miała względem tego mężczyzny dość poważne zamiary. Snuła na jego temat rozmaite fantazje, oczami wyobraźni widziała nawet siebie w białej sukni z długim, zwiewnym welonem, idącą w skupieniu główną nawą kościoła w Whitehom wprost do ołtarza.

- Nie - odparł. - To nie ma nic wspólnego z moją sekretarką. O ile się nie mylę, jest pani przyrodnią siostrą, tak?

- Widzę, że odrobił pan pracę domową. - Lynn uśmiechnęła się niepewnie. Usiłowała być dowcipna.

- Pani siostra jest dość gadatliwa. - Garrison wzruszył ramionami znużony. - Uraczyła mnie rozmaitymi historiami o pani. - Których wcale nie miał ochoty usłyszeć, pomyślała Lynn. - Musiałem też wysłuchać opowieści o drugiej pani przyrodniej siostrze, Arlene, o jej mężu i ich dzieciach. No i o macosze. Jewel, zdaje się.

Z tonu jego głosu i wyrazu twarzy Lynn wywnioskowała, że plany Trish dotyczące małżeństwa z każdą chwilą stawały się mniej realne. Pełna złych przeczuć zastanawiała się, jak długo jej siostrze uda się utrzymać posadę w kancelarii. Trish wcale nie była biegłą w stenografii. A skoro czas przeznaczony na pracę traciła na plotki z prywatnego życia swojej rodziny, jej przyszłość jako sekretarki Rossa Garrisona nie zapowiadała się różowo. Lynn powstrzymała westchnienie.

- Jeśli nie chodzi o moją siostrę, to co pana do mnie sprowadza?

Mężczyzna postąpił kilka kroków, zatrzymując się na wprost jej biurka. Omiótł spojrzeniem plik papierów, rząd równo ustawionych w rogu segregatorów, niewielki stojak na długopisy w kształcie błyszczącego czerwonego jabłuszka.

Lynn nieoczekiwanie zapragnęła obronić swoje terytorium przed tym drapieżnym spojrzeniem. Zajęła pozycję z drugiej strony biurka naprzeciwko mężczyzny.

- Panie Garrison?

- Hmm? Ach, tak - ocknął się z zamyślenia, a kąciki ładnie wykrojonych ust uniosły się w czarującym uśmiechu, niewymuszonym i pełnym naturalnego wdzięku, lecz odrobinę smutnym. - Och, przepraszam, to taki nawyk zawodowy. Obserwacja wszystkiego i wszystkich.

Lynn nie odwzajemniła uśmiechu. Uważała się za osobę niezwykle cierpliwą, gotową wiele wybaczyć, lecz miała dość dziwaczego zachowania tego obcego mężczyzny lustrującego jej klasę niczym pan i władca, który na domiar złego nie raczył odpowiadać na pytania.

- Co pana do mnie sprowadza? - spytała z naciskiem.

Odchrząknął, nim odpowiedział.

- Przychodzę w sprawie Jennifer McCallum.

Jenny, pomyślała Lynn, z każdą chwilą coraz bardziej zaintrygowana, ale i niespokojna. W swoim krótkim, pięcioletnim życiu Jenny przeżyła więcej dramatycznych chwil niż niejeden



dorośli. Lynn wyjątkowo zależało na dobru tego dziecka, podobnie zresztą jak większości mieszkańców Whitehorn.

- Wyznaczono mnie na nowego przedstawiciela prawnego dziewczynki i kuratora, mam zarządzać jej majątkiem - wyjaśnił rzeczowo Ross Garrison.

- Na miejsce Wendella Hargrove'a? - W głosie Lynn zadźwięczała nutka rozczarowania.

- Zamierzam lepiej od pana Hargrove'a wywiązywać się ze swoich obowiązków - uspokoił prawnik, nieznacznie unosząc brew. - Obiecuję.

- Mam nadzieję.

Wendell Hargrove, niegdyś prawnik szanowany w Whitehorn, przez wiele lat reprezentował właścicieli posiadłości Kincaid, którego mała Jenny była teraz główną spadkobierczynią. W końcu wyszło jednak na jaw, że okradał klientów, których interesów miał bronić, także Jenny, za co skazano go na kilka lat więzienia.

Ross Garrison spuścił wzrok. Od niechcienia przebiegł palcem wzdłuż krawędzi leżącego na wierzchu notesu. Smuga nikłego światła zabłysła reflekssem na tarczy zegarka. Srebro? Nie. Platyna. Ten mężczyzna był właścicielem platynowego zegarka!

Whitehorn w stanie Montana nie było już tym samym sennym, prowincjonalnym miasteczkiem, w którym przed laty prym wiedli hodowcy bydła. Jednakże platynowy zegarek należał w tej okolicy do rzadkości.

- To moja praca, panno Taylor - odezwał się adwokat, mierząc Lynn taksującym spojrzeniem. - Właśnie studiuje akta Jennifer McCallum. Muszę starannie rozpatrzyć wszelkie okoliczności sprawy dla dobra mojej klientki. W grę wchodzi przecież niemały majątek. Trzeba będzie postanowić, jak najkorzystniej ulokować kapitał, a także ustalić ewentualne zmiany dotyczące sposobu sprawowania kurateli. Takie decyzje należy podejmować w pełni świadomie. Proszę mi wierzyć, chcę dla Jennifer jak najlepiej. Rozmawiałem już z jej lekarzem i rodzicami adopcyjnymi, więc...

- Więc przyszedł czas, żeby porozmawiać także z jej nauczycielką.

- No właśnie.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment nad blatem biurka. To była dość niezwykła chwila. W powietrzu czuło się lekkie napięcie, ale Lynn uświadomiła sobie, że Garrison po raz pierwszy patrzy bezpośrednio na nią - uważnie, przenikliwie, wyczekująco.

- Mogę panu opowiedzieć o Jenny, jeśli pan chce. Odwrócili głowy na dźwięk głosu Sary. Dziewczynka stała w progu ubrana w czerwoną kurtkę. W dłoni ścisnęła na wpół rozpięty granatowy plecak ze szkolnymi przyborami, z którego wystawało różowe pudełko farb należące do Jenny McCallum. Dziewczynki często zamieniały się rzeczami. Lynn gotowa była się założyć, że żółte pudełko farb Sary powędrowało do domu w plecaku Jenny.

- Tak, Saro - odparł Ross Garrison. Lynn zadziwiła skrupulatność prawnika. Imię Sary padło tylko raz, a przecież nie umknęło jego uwagi.

- Chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej o Jenny McCallum - dokończył, obdarzając dziewczynkę swoim zniewalającym uśmiechem.

Uśmiech oraz imienna zachęta podziałały na Sarę jak doping dla sportowca.

- Jenny jest najlepszą przyjaciółką na całym świecie - zapaliła się. - Jest bardzo mądra, ma niebieskie oczy i jasne włosy, zupełnie tak jak ja. Wyglądamy jak siostry! Wszyscy tak mówią. Lubimy, jak tak o nas mówią, bo obie bardzo chciałybyśmy mieć siostrzyczkę albo chociaż braciszka. Ale nie mamy. Jenny ma psa. On się wabi Sugar. Ja też chcę mieć psa. Naprawdę. Takiego małego szczeniaka, który byłby tylko mój. A jutro będę nocowała u Jenny. Jej mama mówi, że może nawet pojedziemy do Kincaid. Tam w stodole są małe kotki i będziemy karmić konie jabłkami, i...

- Saro... - upomniała Lynn, na migi pokazując zasznurowaną buzię.

Dziewczynka zacisnęła usta, lecz w tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i mała poderwała się z okrzykiem:

- O, mama, nareszcie!

Danielle Mitchell weszła do środka i z ujmującym, serdecznym uśmiechem skinęła głową Lynn.

- Przyszła twoja dobra wróżka... A co to? Jesteś na bakier z prawem?

- Nie, nie, nic się nie stało.

- Witam, pani Mitchell - przywitał się prawnik.

- Mieliliśmy sobie mówić po imieniu - przypomniała Danielle.

- Wybacz, oczywiście.

Lynn, odrobinę zaskoczona, przeniosła wzrok z przyjaciółki na prawnika. Nie miała pojęcia, że ta dwójka jest w dobrej komitywie. Ale tak właśnie wygląda życie w Whitehorn - wszyscy tu się znają. Zawsze tak było.

- O co chodzi? - zagadnęła Danielle.

- Po prostu zbieram informacje - odparł Garrison i pospieszył z wyjaśnieniem. - Zostałem wyznaczony na kuratora Jenny McCallum i reprezentuję interesy swojej klientki. Mam też zarządzać majątkiem Kincaid.

- I przyszedłeś wysondować Lynn?

- Zgadza się.

- Nie mam wiele do powiedzenia - stwierdziła stanowczo Lynn. - Jennifer świetnie sobie radzi w szkole. Jest inteligentna, wesoła, otwarta i absolutnie uwielbiana przez wszystkich.

Garrison przyjrzał się jej badawczo.

- Absolutnie?

Lynn poczuła narastające rozdrażnienie. Co sobie myśli ten nieprzyzwoicie przystojny prawnik z wielkiego miasta, który

bezceremonialnie wparadował do jej klasy, bez słowa lustrował wnętrze jak własną posiadłość, a na wzmiankę o jej siostrze - która być może i jest trzpiotką, ale na samą myśl o nim zaczynają jej błyszczyć oczy - okazał śmiertelne znudzenie. A w końcu, jak śmiał podać w wątpliwość jej opinię o Jenny.

- Tak, właśnie tak. Jenny jest absolutnie uwielbiana przez wszystkich.

- Ho, ho - mruknęła Danielle. - Jesteśmy dziś trochę drażliwi, co?

Lynn rzuciła przyjaciółce gniewne spojrzenie, po czym zwróciła się znów do Garrisona.

- To urocze dziecko. Jedna z dwóch najlepszych uczennic. Sara i Jenny są najlepsze w klasie. - Zerknęła na Sarę, która rozpromieniła się na te słowa.

- Panno Taylor - ciągnął adwokat oficjalnym tonem, bez cienia uśmiechu - oboje doskonale wiemy, jak traumatyczne przeżycia ma za sobą Jenny.

- To prawda. Moim zdaniem jednak te przeżycia nie zmieniły dziewczynki. Nadal jest wesołym i spontanicznym dzieckiem.

Garrison nie dał się przekonać, ale widać było, że nie zamierza podważać tej opinii.

- Niech będzie - zgodził się bez przekonania. - Skoro pani tak twierdzi.

- Tak twierdzą.

- W porządku.

Na chwilę zapadła cisza. Czarne oczy znów mierzyły Lynn nieustępliwym, nieodgadnionym spojrzeniem. dzielnie wytrzymała to spojrzenie.

- Proszę posłuchać, naprawdę chciałbym z panią poważnie porozmawiać o tej dziewczynce.

- Musisz poczekać w kolejce, Ross - wtrąciła Danielle bez troski.

- Lynn będzie teraz odrobinę zajęta. Jeśli chcesz, możesz się z nią spotkać w salonie piękności. O piątej, odpowiada ci?

Lynn, kompletnie zbita z tropu, nieufnie zerknęła na przyjaciółkę.

- Salon piękności? Zaraz, zaraz, nic o tym nie wiem. Danielle miała minę osoby bardzo z siebie zadowolonej.

- A twoja niespodzianka, pamiętasz?

- Ależ... - bąknęła Lynn zdumiona. - Mam spędzić pięć godzin w jakimś salonie piękności?

Danielle machnęła ręką.

- Cztery i pół, dla dokładności - odparła niefrasobliwie. - Jesteś umówiona na dwunastą trzydzieści - zerknęła na zegarek.

- Lepiej się zbieraj, jeżeli nie chcesz się spóźnić.

- Ależ Danielle...

- A więc jesteście umówieni - ucięła dyskusję przyjaciółka.

- Salon piękności - dodała, zwracając się do Rossa - o piątej.

- Nie, zaczekaj, ja... - próbowała protestować Lynn.

- Dobrze, niech będzie o piątej - przerwał jej sucho prawnik.

Nim Lynn zdążyła cokolwiek powiedzieć, zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi, pchnął je i wyszedł z klasy, wpuszczając do pokoju kolejny chłodny powiew świeżego, jesiennego powietrza.

Scandalous

## ROZDZIAŁ 2

Dlaczego mu powiedziałaś, gdzie będę? - napadła na przyjaciółkę Lynn, kiedy drzwi zamknęły się za Garrisonem.

- A dlaczego nie? Chce pogadać o Jenny i nadarza się po temu dobra okazja.

- No, tak, wiem, ale...

- Ale co? - Danielle podejrzliwie przyjrzała się przyjaciółce. - Boisz się go czy co?

- Oczywiście, że nie.

- No, to o co chodzi? Mam wrażenie, że między wami zaiskrzyło.

- Nic podobnego - zaperzyła się Lynn. - Co ci przyszło do głowy? Taki facet jak on nawet nie spojrzy na taką szarą myszkę jak ja.

- I tu cię mam. Ciągłe siebie nie doceniasz.

- Nieprawda. Po prostu stwierdzam fakt. Zresztą on mnie nic nie obchodzi. Jest... - Urwała, zdając sobie sprawę, że Sara stoi tuż obok i chłonie każde słowo. - Nieważne. Powiedziałam mu już wszystko, co miałam do powiedzenia.

- Ej, daj spokój. Nie utrudniaj mu zadania. Ross sprawia wrażenie solidnego prawnika. Po doświadczeniach z Wendellem Hargrove'em Jenny zasługuje na sumiennego kuratora, który będzie uczciwie bronił jej interesów, a nie kantował.

Sara z zainteresowaniem śledziła tok rozmowy.



- Co to znaczy kantował? - zapytała ciekawie.

Danielle odgarnęła miękkie loki z czoła córki.

- Tak się mówi. Jenny miała niedobrego prawnika, który przywłaszczył sobie jej pieniądze. Teraz ten niedobry prawnik siedzi w więzieniu.

- Ten pan, który wyszedł, też jest prawnikiem?

- Tak, kochanie. To nowy prawnik Jenny.

- I on nie jest niedobry?

- Nie. Jestem pewna, że nie jest.

- A kto to jest prawnik? I dlaczego Jenny ma prawnika, a ja nie mam?

Danielle zerknęła na zegarek.

- Później o tym porozmawiamy. Teraz musimy iść.

Do salonu piękności, pomyślała Lynn niemal z przerażeniem.

- Danielle, to chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Nie marudź. Wzięłaś ze sobą tę czerwoną sukienkę?

- Danielle, ja naprawdę nie wiem...

- Och, przestań grymasić i odpowiedz. Wzięłaś czerwoną sukienkę?

Lynn nie miała przekonania do swojej nowej sukienki. Kupiła ją zaledwie dwa tygodnie temu w Billings, choć wcale tego nie planowała. Zamierzała sprawić sobie tylko kilka praktycznych spódnic i bluzek, bo stare zrobiły się o kilka numerów za duże, ale coś ją podkusiło. To był niepotrzebny i nierozsądny wydatek. Suknia była zdecydowanie za droga i zupełnie nie w jej stylu.

- Lynn, sukienka! Masz ją?

- Tak. Mam.

- A czerwone pantofle? Nie zapomniałaś?

Lynn zawirowało w głowie. Eleganckie pantofle, o których wspomniała Danielle, miały niezwykle wysokie obcasy. Tymczasem Lynn zawsze chodziła w zwyczajnych półbutach na płaskim obcasie. Co, u licha, skłoniło ją do kupna pary pantofli, w których wygląda jak gidia?

- Lynn, ocknij się, pytam o buty! - Danielle powoli traciła cierpliwość.

- Tak, tak. Wzięłam.

- No to świetnie. Pojedziemy razem.

- Mogę pojechać swoim...

- Nie ma mowy - ucięła Danielle stanowczo. - Nie dowierzam ci. Jeszcze byś mi czmychnęła gdzieś po drodze.

- Danielle...

- Dość gadania. Pojedziesz z nami, a po swój samochód możesz wpaść później.

- Ale... do salonu piękności?

- Tak, właśnie tam. Sporo schudłaś. Ile, dwanaście kilogramów?

- Czternaście.

- Powinnaś być z siebie dumna.

- Ależ ja jestem z siebie dumna.

- No i chwała Bogu. Wyglądasz naprawdę super. A z okazji twoich urodzin zamierzam doprowadzić do końca ten proces transformacji.

- Ale ja się na tym kompletnie nie znam.

- Szkoda czasu. Idziemy.

Lynn wciąż usiłowała oponować, kiedy Danielle sadzała ją w wygodnym fotelu fryzjerskim, a właścicielka salonu, Gracie Donahue, wiązała jej wokół szyi wielki, szkarłatny fartuch.

- Nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłam. Po co to wszystko?

- Zobaczysz, nie poznasz się, już ja się o to postaram - włączyła się córka Gracie Kim. Znała Lynn jeszcze ze szkoły. Była w mieście przejazdem w drodze z San Francisco, gdzie pracowała w ekskluzywnym salonie kosmetycznym. - Jestem mistrzynią w dokonywaniu cudów. Zrobię cię na bóstwo. Wszyscy faceci w promieniu wielu kilometrów pospadają z krzeseł na twój widok. Zadurzą się jak nic.

Lynn krytycznie oceniła w lustrze swoje odbicie. W kim tu się zadurzyć? To prawda, teraz jej twarz była bardziej pociągła, a przez to i urodziwa. Ładnie zarysowane kości policzkowe nadawały jej powabnego wyrazu. Wciąż jednak wyglądała pospolicie, niczym bochenek praśnego chleba. Z niesmakiem przyjrzała się nastroszonym brwiom i spierzchniętym wargom.

- Beznadziejnie - bąknęła bezwiednie.

- Poczekaj, aż skończymy - roześmiała się Kim. - Najpierw oczyścimy pory. Potem maseczka odżywcza i lekki masaż. No i

manicure oraz pedicure. Naturalnie trzeba coś zrobić z włosami. Zrobimy pasemka. Na koniec, jak twarz odpocznie, dobierzemy odpowiedni makijaż.

Ta lista wcale nie pocieszyła Lynn.

- Twarz musi odpoczywać?

- Jasne. Mamy mnóstwo czasu. Wyjdiesz stąd jak nowo narodzona.

- Ale ja się sobie podobam taka, jaka jestem - broniła się Lynn świadoma, że to zapewnienie nie brzmi przekonująco.

- No i dobrze. Ale dlaczego nie może być jeszcze lepiej?

- To wszystko niepotrzebne.

- Powtarzasz się - skwitowała Kim kwaśno. Lynn dostrzegła w lustrze życzliwy uśmiech przyjaciółki.

- Przecież cię na to nie stać - zaprotestowała, próbując podnieść się z fotela. Danielle była samotną matką i żyła raczej skromnie. - Nie mogę się na to zgodzić.

- Daj spokój. - Gracie pulchnymi rękami przytrzymała Lynn. Gest był tak kategoryczny, że Lynn przestała się opierać.

- Panno Taylor - wyrwała się Sara - musi pani siedzieć spokojnie i nie ruszać się dopóty, dopóki niespodzianka nie będzie gotowa. Musi pani pozwolić zrobić z siebie kogoś najpiękniejszego na świecie.

Pamięta pani bajkę o Kopciuszku? Jak wróżka zaśpiewała piosenkę i wymówiła magiczne zaklęcie? Wtedy włosy Kopciuszka zrobiły się jedwabiste i śliczne, stare, dziurawe ubranie zamieniło się w cudowną suknię balową, małe myszki przemieniły się w konie, a dynia...

- Kochanie - upomniała Danielle, pieszczotliwie głaszcząc dziewczynkę po głowie.

- Ups!- Sara przykryła dłonią usta.

- W poczekalni na półce są książeczki do kolorowania - powiedziała Gracie. - Może Sara chciałaby je pooglądać?

- Książeczki do kolorowania? - ucieszyła się dziewczynka.

- Odpreż się. - Danielle posłała przyjaciółce uśmiech pełen ciepła. - A my pójdziemy obejrzeć książeczki - dodała, biorąc Sarę za rękę.

- A teraz mnie posłuchaj - zaczęła Gracie, kiedy matka i córka wyszły.

Lynn, zmieszana i nieco oszołomiona, posłusznie kiwnęła głową.

- Mieszkam w Whitehorn od urodzenia.

- A ja chodziłam z tobą do szkoły - dodała Kim.

- O co wam chodzi? - nastroszyła się Lynn.

- O prawdę - wypaliła bez ceregieli Gracie. - U fryzjera możesz dostać przyzwoitą fryzurę i odrobinę szczerości. Znamy cię od lat, zawsze byłaś skromna, zahukana i trzymałaś się w cieniu. Pozwalałaś Jewel i tym dwóm rozpieszczonym lalom włączyć sobie na głowę.

- Nie mówcie źle o mojej rodzinie - zachmurzyła się Lynn, gotowa do natychmiastowej obrony.

Gracie mocniej zacisnęła dłonie na ramionach Lynn.

- Nic mi do nich. Ale to prawda. Wiem, że je kochasz, a one

pewnie i ciebie kochają, ale to okropne egoistki. Wszystko dla siebie, nic dla ciebie. Prawda jest taka, że zawsze myślałaś tylko o nich, a sobie nigdy na nic nie pozwalałaś. Mam rację?

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.
- Ile kilogramów ubyło ci w sześć miesięcy?
- Nie w sześć, tylko w kilkanaście.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się przed dwoma laty, gdy zmarł jej ojciec. Była zdruzgotana i niemal nic nie jadła. Potem, kiedy czas ukoił nieco ból po stracie najbliższej osoby, okazało się, że wysoko kaloryczne dania, którym kiedyś nie mogła się oprzeć, już jej nie smakują.

- Wszystko jedno, sześć czy dwanaście. Teraz jesteś akurat taka jak trzeba. A po naszym dzisiejszym spotkaniu będziesz wyglądała rewelacyjnie. I nie martw się o budżet Danielle, Kim-my i ja mamy w tym swój udział, jasne?

- Ale...
- Czy to jasne?

Lynn skurczyła się pod surowymi spojrzeniami obu kobiet. Zerknęła do lustra. Nieśmiały, lekko spłoszony uśmiech błąkał się po jej wargach. Przecież, pomyślała, ja tego chcę. Tak, chcę. Raz zrobię coś dla siebie. To moje dwudzieste czwarte urodziny. Gracie Donahue ma rację. To odpowiedni moment, żeby pozwolić sobie na odrobinę luksusu.

Odetchnęła głęboko i powiodła wzrokiem po twarzach kobiet. W lustrze spostrzegła nadchodzącą przyjaciółkę. Danielle puściła do niej oko.

- No dobrze. Poddaję się magii czarodziejskiej różdżki. Gracie poklepała ją serdecznie po ramieniu i podwinęła rękawy.

- Dziękuję wam wszystkim.

- Nie ma za co - odparły wszystkie trzy zgodnym chórem.

- Trochę się denerwuję - wyznała Lynn z nieśmiałym uśmiechem.

- Nic nie szkodzi - pocieszała Gracie. - Możesz się trochę podenerwować. Bylebyś mi tutaj spokojnie siedziała, dopóki nie skończymy.

Zabiegi pielęgnacyjne twarzy trwały przeszło godzinę. Potem Gracie i Kim zabrały się za włosy. Następnie zajęły się paznokciami. Tymczasem przez salon przewinęło się kilka klientek. Lynn większość z nich знаła. Uśmiechały się miło i pozdrowiały ją z daleka wcale nie zaskoczone, że niejaka Lynn Taylor, szara myszka bez wyrazu, zdecydowała się wreszcie spędzić popołudnie w salonie, gdzie dwie kobiety krzątały się wokół niej, upiększały ją i rozpieszczały.

Z maseczką błotną na twarzy Lynn zapadła w krótką drzemkę. Później, gdy siedziała pod suszarką z koloryzującą pastą i mnóstwem kawałków plastiku we włosach, przeczytała od deski do deski kolorowy magazyn mody. W czepku i papilotach na chwilę przeszła do pokoiku na zapleczu, zdjęła obcisłe rajstopy, by zaraz znowu

wyciągnąć się na wygodnym fotelu. Gracie z wprawą doświadczonej kosmetyczki piłowała i malowała jej paznokcie u dłoni i u stóp. Lakier wreszcie wysechł, i Lynn znowu zniknęła na Chwilę na zapleczu, by założyć rajstopy i pantofle.

Gdy wróciła, Gracie po raz kolejny zaprosiła ją na fotel. Lynn zapadła się w fotel z lekkim westchnieniem, zastanawiając się, dlaczego nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie na taką przyjemność. Nawet jeśli te wszystkie zabiegi nie dadzą efektu, pomyślała z uśmiechem, w przyszłości nie zawaha się powtórzyć tej frajdy, choćby po to, by przez chwilę poczuć się obiektem czyjegoś zainteresowania i troski. To było takie przyjemne i uspokajające, tak leżeć sobie z zamkniętymi oczami i przysłuchiwać się śmiechom, żartom i ploteczkom tych miłych kobiet o pracy, mężczyznach, dzieciach i nadziejach, jakie z nimi wiążą. Delikatny, lecz pewny dotyk wprawnych rąk sprawił, że zapomniała o dręczących ją zmartwieniach. Czowała jedynie, jak ciepłe, zręczne palce masują jej twarz, nakładają maseczkę, nakręcają włosy na plastikowe papiloty, wcierają szampon, nakładają farbę i przeczesują jej włosy, wyłapując rozjaśnione pasma.

Wreszcie Kim odwróciła fotel tyłem do lustra.

- Nie patrz, dopóki nie skończymy.

Z suszarką w jednej ręce i okrągłą szczotką w drugiej szybkimi ruchami zaczęła układać włosy. Gdy fryzura nabrała oczekiwanego kształtu, Kim delikatnie osłoniła głowę Lynn plastikowym czepkiem. Teraz lekkimi precyzyjnymi pociągnięciami miękkich pędzelków



robiła makijaż. Danielle i Gracie, które obserwowały te starania, nie mogły się nadziwić, jak skutecznie odrobina podkładu, kolorowego cienia i tuszu może uwydatnić kształt kości policzkowych, wydłużyć rzęsy, a błękitnym oczom dodać głębi.

Nawet małej Sarze pozwolono się przyglądać, jak Lynn powoli przeistacza się w cudownego motyla.

- Wygląda pani tak pięknie, panno Taylor-westchnęła mała z zachwytem. - Zupełnie jak Kopciuszek. Brakuje tylko sukni balowej i ślicznych pantofelków. No i księcia. Naprawdę będzie pani musiała znaleźć księcia. Zabierze panią na bal i będziecie tańczyli do północy, to wtedy, kiedy obie wskazówki są na dwunastce. A kiedy wybije północ i konie zaczną zamieniać się z powrotem w myszki, zbiegnie pani po schodach tak szybko, szybciutko, że zgubi pani jeden pantofelek, i księżę go znajdzie, i będzie pani szukać, i...

- Saro - Danielle usiłowała powstrzymać córkę. Pokazała dziewczynce zasznurowaną buzię i mała ucichła.

Wreszcie Kim odłożyła pędzelki, puszki, cienie i tusze i zdjęła Lynn czepek. Wyszczotkowała jej włosy, przywracając fryzurze świeżość i puszystość, i delikatnie spryskała lakierem. Na koniec dekol, kark i nadgarstki Lynn pokropiła perfumami.

- Co to? -Zdziwiła się Lynn głęboko wciągając powietrze.

- Trucizna.

- Co?

- „Poison” - zachichotała Kim. - Trucizna, tak się nazywają te perfumy. Zabójcza nazwa, zabójczy zapach.

Lynn powąchała jeszcze raz.

- Rzeczywiście ładnie pachną.

- Czy zaproponowałabym ci coś, co pachnie brzydko?

- Jeszcze nie patrz - dyrygowała Danielle, kiedy Kim odstawiała flakonik z perfumami w kolorze ametystu.

Kim pokazała Lynn diagram przedstawiający kobiecą twarz, z zaznaczonymi wszystkimi miejscami, na które należy nakładać podkład, cienie i szminki. Zaoferowała także niewielkie pudełko z próbkami kosmetyków do makijażu.

- Tego powinnaś używać. Teraz zrobiłam ci makijaż na wieczór. W ciągu dnia stosuj puder o ton jaśniejszy, nie przesadzaj z podkładem i nie nakładaj jaskrawych cieni. Najlepsze będą dla ciebie dyskretne, szaroniebieskie odcienie.

Lynn, oszołomiona, z trudem wymamrotała podziękowania i próbowała odwrócić się do lustra.

- Jeszcze za wcześnie. - Danielle przytrzymała oparcie fotela. Podała Lynn brązową torebkę na paseczku. - Schowaj to, żebyś nie zapomniała.

Lynn posłusznie wsunęła do torebki diagram i kasetkę z próbkami kosmetyków.

- Czy teraz mogę się odwrócić?

- Jeszcze chwilę - nalegała Danielle, sięgając po czerwony szal. Delikatnie zawiązała nim oczy przyjaciółki, uważając, by nie zburzyć fryzury i nie rozmazać makijażu. - Teraz chodź. Daj rękę.

Lynn poczuła palce Danielle zaciskające się wokół jej dłoni.

- Ostrożnie, podnóżek - kierowała Danielle. - Dobrze. Teraz tędy.

Lynn domyśliła się, że przyjaciółka prowadzi ją do pokoiku na zapleczu, gdzie czekają czerwona sukienka i pantofle. Szła posłusznie, zdając się na pewny uścisk dłoni Danielle.

- Poczekaj tu chwilę - poleciła Danielle, kiedy dotarły na miejsce. Pomogła przyjaciółce zdjąć rozpinany sweter, bluzkę i wełnianą spódnicę.

- Okropnie mnie rozpieszczasz - bąknęła Lynn odrobinę zażenowana, kiedy Danielle wsuwała jej przez głowę miękką, kaszmirową sukienkę.

- O to właśnie chodzi! - roześmiała się serdecznie przyjaciółka.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś do Whitehorn.

Danielle przeprowadziła się do miasta przed dwoma laty, mniej więcej w tym samym czasie, gdy zmarł ojciec Lynn. Poznały się w bibliotece, gdzie Danielle znalazła pracę na dwadzieścia godzin tygodniowo. Od razu przypadły sobie do serca. Ta przyjaźń była dla nich czymś zupełnie naturalnym.

Gdy dwa miesiące wcześniej Sara dołączyła do grupy dzieci, prowadzonej przez Lynn, a Danielle nierzadko pomagała przy bardziej skomplikowanych projektach, zżyły się jeszcze bardziej. Przychodząc po Sarę, Danielle zwykle zostawała z Lynn w klasie, żeby pomóc przy nowej gazetce, porządkach albo w planowaniu zajęć.

- Nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżała - szepnęła Lynn.

- Nie ma obawy, nigdzie się nie wybieram. - Mimo wesołości Lynn wyczuła w głosie Danielle nutę smutku. Domyśliła się, że pomyślała o mężu, który nigdy nie pojawił się w Whitehorn.

Danielle nie zwierzała się ze swoich kłopotów, lecz Lynn wiedziała, że przyjaciółka rozstała się z mężem. Wszelkie zagadywania kwitowała stwierdzeniem: nie wyszło nam, i tyle. Lynn podskórnie czuła, że Danielle wciąż kocha mężczyznę, który ją zawiódł i zostawił. Z pewnych sygnałów i półsłówek wywnioskowała, że kiedyś Danielle była szaleńczo zakochaną i szczęśliwą mężatką.

Ciekawe, jak to jest? Lynn głowiła się nad tym dylematem, podczas gdy Danielle usadowiła ją na małej leżance, a sama przyklęknęła i zsunęła z jej stóp brązowe półbuty, po czym założyła czerwone pantofle.

Ciekawe, jak to jest?

Zakochać się do szaleństwa? Czy taka miłość warta jest ceny, jaką płaci Danielle, zmuszona rozpocząć zupełnie nowe życie, w obcym mieście, zdana tylko na siebie, bez ukochanego mężczyzny u boku?

Lynn delikatnie pogładziła jedwabiste włosy Danielle. Otoczona ciemnością, próbowała wyobrazić sobie jej twarz i wyraziste jasnoorzechowe oczy.

- Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie - szepnęła wzruszona.

- Kto dużo daje, ten dużo dostaje - skwitowała lakonicznie Danielle.

To prawda. Ale nie do końca. Lynn nigdy by nie uwierzyła, że Danielle potrafi komukolwiek zadać ból, a tym bardziej mężowi, którego tak kochała. A jednak sama musiała wiele przez niego wycierpieć.

Może lepiej żyć tak jak ja, dumiała Lynn. W dniu dwudziestych czwartych urodzin wciąż była dziewicą i nic nie wskazywało na to, by wkrótce przytrafiła się jej gorąca miłość.

Jednakże Danielle miała Sarę. Rozkoszna szczebiotka przejdzie jeszcze długą drogę, zanim ktokolwiek rozchoruje się z miłości do niej.

- Gotowa zobaczyć swoje nowe wcielenie? - zapytała wesoło Danielle. Smutek zniknął, pozostała jedynie niczym niezmacona radość i ekscytacja.

- Mam nadzieję, że wyglądam przynajmniej w połowie tak dobrze, jak twierdzisz.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Lynn poczuła dreszcz emocji, rezultat długiego oczekiwania. Wyciągnęła rękę w kierunku Danielle i spokojnie dała się jej poprowadzić do salonu.

Na ścianie naprzeciwko drzwi wisiało ogromne lustro. Danielle kazała Lynn poczekać z zawiązanymi oczami, a Gracie usuwała z drogi donicę z paprocią.

W końcu Danielle rozwiązała szal, ściągając go teatralnym, patetycznym gestem.

Voilà!

Wszyscy obecni, łącznie z małą Sarą, zaczęli klaskać w dłonie i wydawać okrzyki zachwytu.

- No i co ty na to?

- Wyglądasz wystrzałowo!

- Pani Taylor, jaka pani śliczna! Lynn nie mogła wykrztusić słowa.

- To... to jakieś czary.

Nie wyglądała sztucznie niczym wymalowana lala, czego w głębi duszy najbardziej się obawiała. Patrząc w lustro, była pewna, że patrzy na samą siebie.

Tyle że o wiele ładniejszą. Cała pojaśniała, rozświetliła się, nabrała wyrazu. Jakby wcześniej otaczała ją bezbarwna mgła. Jakby artysta wyretuszował wyblakłe, nieostre zdjęcie.

Wszystko w niej było piękniejsze. Jej skóra lśniła, włosy połyskiwały kuszącym blaskiem. Oczy, wcześniej bezbarwne i nijakie, stały się większe, bardziej wyraziste, błękitniejsze od błękitu nieba.

I cała reszta...

Nie mogła uwierzyć w tę cudowną przemianę.

Obracała się i przyglądała nowej sylwetce ze wszystkich stron. Dopasowana czerwona sukienka korzystnie podkreślała zgrabne krągłości, a srebrne nitki, delikatnie wplecione w kaszmir, migotały niczym maleńkie brylanty - a może gwiazdki? - wtopione w miękką wełnę.

I w końcu pantofle. Wcale nie sprawiała wrażenia za wysokiej. Była wysoka, to prawda, ale czy wysokie nie może być piękne?

- To naprawdę ja? - Usłyszała własny, pełen niedowierzania szept. Stała jak urzeczona, nie mogąc oderwać wzroku od tego, co widziała.

- Tak, to pani! - wykrzyknęła uradowana Sara. - Panno Taylor, to naprawdę pani! Zupełnie jak Kopciuszek, gotowa na bal!

Lynn czuła się jak w bajce o dobrej wróżce, jak w magicznej krainie cudów.

- To prawdziwe czary! - roześmiała się radośnie, serdecznie, beztrosko. - Teraz powinien pojawić się mój wymarzony książę!

Ostry dźwięk dzwonka oznajmił przybycie gościa. Do salonu wkroczył Ross Garrison.

## ROZDZIAŁ 3

Ross Garrison nie należał do mężczyzn, którzy tracą rezon z byle powodu. Mimo to jedynie niebywale opanowanie i wewnętrzna dyscyplina pozwoliły mu zachować niewzruszoną twarz, kiedy wszedł do salonu i zobaczył Lynn Taylor.

To nie mogła być ta sama kobieta.

A jednak to była ta sama kobieta.

Zdumiewające. Niewiarygodne.

Co prawda, już przy pierwszym spotkaniu dostrzegł w niej pewien ujmujący, nieśmiały urok. Ale teraz...

Miał przed sobą kobietę atrakcyjną i nieodparcie kuszącą. Kosmetyczki dokonały cudu. Włosy, przedtem nieco dłuższe, w bliżej nieokreślonym kolorze, teraz miękką falą dyskretnie muskały ramiona i lśniły złocistym blaskiem. A te błękitne oczy... Od razu mu się spodobały. Musiał przyznać, że sposób, w jaki na niego patrzyła, z ostrożnym dystansem i lekkim wyzwaniem jednocześnie, wywarł na nim spore wrażenie. Teraz delikatne cienie podkreśliły ich intensywny błękit i dodały wyrazistości. Ross był pewien, że dla takich oczu każdy mężczyzna straciłby głowę.

Chciał się odwrócić.

Tkwiał jednak nieruchomo jak zahipnotyzowany. Lynn też nie była w stanie oderwać od niego wzroku. Czyżby śniła? Tak, to był tylko nieuchwytny, rozkoszny, fantastyczny sen, który zaraz pryśnie. To niemożliwe, żeby taki mężczyzna jak Ross Garrison zwrócił



uwagę na przeciętną, pospolitą i nijaką pannę Taylor. A może jej się tylko wydaje? Może po prostu lustruje ją wzrokiem, podobnie jak przedtem gazetki ściennie w jej klasie?

Co za bzdura, jak mogło jej przyjść do głowy, że się nią zainteresował. To absurd, niedorzeczność.

A jednak podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. Poczowała lekki dreszczyk podniecenia. Nieznana dotychczas siła musowała w niej jak szampan w odkorkowanej butelce. Zawładnęła nią niespodziewana, przemożna moc kobiecości.

Dwudzieste czwarte urodziny. Jej kontakty z płcią przeciwną ograniczały się dotychczas do nieudanych randek z chłopcami z college'u, równie jak ona nieśmiały i nieporadny. W tej wyjątkowej, magicznej chwili Lynn przeistoczyła się w syrenę, której niezwykła uroda urzekała i zniewalała marynarzy. Wyczytała to w zdumionym, pełnym podziwu i zachwyty spojrzeniu Rossa Garrisona.

Powiedz coś, do cholery, skarcił się Ross w duchu. W porządku. Bez wątpienia nauczycielka zrobiła na tobie wrażenie. Przecież nie jesteś jakimś nieokrzesanym kowbojem, który zapomina języka w gębie na widok spódniczki.

Weź się w garść, chłopie.

Trzymaj fason.

- Jest punkt piąta, panno Taylor - przerwał przeciągającą się ciszej siląc się na rzeczowość.

Sara niecierpliwie pociągnęła Danielle za rękaw.

- Mamo, mówiłaś, że on jest prawnikiem.

- Ciii, kochanie, nie teraz.

- Ale my nie potrzebujemy prawnika, mamusiu, tylko księcia!

Kobiety wybuchnęły śmiechem. Oprócz Lynn, której nawet starannie nałożony makijaż nie zdołał przysłonić rumieńców. Jedna z kobiet, której Ross nie znał, powiedziała:

- Chyba poprzestaniemy na takim księciu, jaki nam się trafił.

Wywołało to kolejną salwę śmiechu.

- Może pooglądasz książeczki? - zwróciła się Danielle do córki.

- Ależ mammo...

- Proszę, Saro.

- Ojej, no dobrze. — Dziewczynka zachmurzyła się, ale posłusznie podreptała do sąsiedniej poczekalni.

Gdy tylko znikła za drzwiami, wszystkie kobiety jednocześnie wbiły wzrok w Rossa. Poczul się nieswojo. Żaden mężczyzna nie czułby się dobrze w podobnym miejscu. Powietrze przesycone było subtelnymi, typowo kobiecymi zapachami perfum, pudrów, balsamów i szamponów, pomieszanymi z ostrą, przesyconą amoniakiem wonią farb do włosów i płynów do trwałości. Bukiety rozstawione na stolikach i kwietne wiązanki, którymi ozdobiono kąty salonu, wydzielały słodki, wabiący aromat. To stanowczo nie było pomieszczenie, w którym mężczyzna czułby się pewnie.

- Może zjemy razem kolację i porozmawiamy - zaproponował uprzejmie.

Zabierze ją na kolację do tej nowej restauracji na State Street. Tam, przy winie i smakowitych potrawach, łatwiej będzie przełamać

lody i załagodzić wrogość, którą wyczuł podczas ich pierwszego spotkania w szkole. Dziewczyna rozluźni się i otworzy, dzięki czemu on dowie się wszystkiego o Jenny, której interesy reprezentuje.

Ej, Garrison, nie udawaj, podszeptał mu wewnętrzny głos cynika. Żeby sporządzić krótkie sprawozdanie, wystarczy kwadrans rozmowy przy filiżance kawy w Hip Hop Cafe po drugiej stronie ulicy.

Ross uciszył ten podstępny podszept i obdarzył urodziwą blondynkę w czerwonej sukience swobodnym, czarującym uśmiechem.

- Gotowa?

Lynn zawahała się. Nie miała żadnych wątpliwości, czy chce spędzić wieczór z tym przystojnym mężczyzną. Odezwała się w niej jednak szara myszka, spłoszona i załęczniona ową wizją.

Nie, nie potrafiła rozstać się z kaszmirową sukienką przetykaną srebrną nitką i pantoflami na wysokich obcasach. Jeszcze nie teraz. Być może to nie jest najodpowiedniejszy strój na służbowe spotkanie z nowym prawnikiem Jenny, ale postanowiła na to nie zważać.

Przemogła się i powzięła decyzję. Nie chciała budzić się i wracać do rzeczywistości. Nie przebierze się w swoje codzienne ubranie, zatrzyma tę ulotną, magiczną chwilę. Przecież to wszystko i tak nie dzieje się naprawdę. To tylko sen, a ona, zaczarowana wprawnymi rękami Gracie i Kim, uległa mocy zaklęcia. Niech ta chwila trwa jeszcze trochę.

- No, idź - stanowczy głos Danielle wyrwał ją z rozmarzenia. -  
Ubranie przyniosę ci jutro, kiedy przyjdę po Sarę do szkoły.

Gracie i Kim poparły tę propozycję zgodnym chórem.

- Pora na ciebie-ponagliła Gracie.

- Nie masz tu nic do roboty - wtórowała Kim. Danielle zdjęła z  
wieszaka płaszcz Lynn.

- Proszę. - Wręczyła ubranie prawnikowi, który usłużnie podał jej  
właścicielce.

Raz kozie śmierć, pomyślała Lynn.

Wsunęła ręce w rękawy i pozwoliła nałożyć sobie płaszcz. Dłoń  
Rossa przelotnie musnęła jej ramię. Mimo wysokich obcasów nie była  
wyższa od niego.

- Wzięła torebkę, którą podała jej Danielle. Adwokat uprzejmie  
otworzył przed nią drzwi i puścił ją przodem.

Wyszli na Center Street, ona, zwykła nauczycielką, i on, wzięty  
adwokat. Od północy znad szczytów Crazy Mountains wiał zimny,  
przenikliwy wiatr. Lynn zadrzała i ciaśniej otuliła się płaszczem.

- Głodna?

- Umieram z głodu - przyznała i nie było w tym ani odrobiny  
przesady. Zupełnie zapomniała, że nie jadła obiadu. Poczowała ssanie w  
żołądku. Hip Hop Cafe była niemal dokładnie po drugiej stronie ulicy.  
W tym niewielkim, przytulnym lokalu każdy czuł się jak u siebie w  
domu. Odruchowo zerknęła w jego stronę.

Ross Garrison wziął ją pod ramię.

- Chodź, zaparkowałem dwa kroki stąd.

Nie oponowała. Jego dotyk osłabił wolę, słodki dreszcz przebiegł jej po plecach, pobudził uśpione zmysły, rozedrgał każdy nerw. Zadrzała, tym razem jednak nie z chłodu.

Przeszli jakieś trzydzieści metrów do parkingu. Ross pomógł jej wsiąść do auta, sportowej wersji mercedesa. Lynn nie miała pojęcia, że w ogóle istnieje tak szykowny model. Tymczasem siedziała właśnie na nieprawdopodobnie wygodnym, skórzanym fotelu, bezwiednie wodząc dłonią wzdłuż wypolerowanych obić po stronie pasażera.

- To, co prawda, niedaleko, ale po co iść w taką pogodę
- odezwał się wesoło Ross, uruchamiając silnik.

Ross zawiózł ją do nowo otwartej State Street Grill, najprzyjemniejszej i najbardziej eleganckiej restauracji w Whitehorn. Ze względu na wczesną porę w środku nie było wielu gości, mimo to poprosił o stolik w rogu sali.

Dostali stolik w urokliwym, dyskretnym miejscu. Na blacie stała purpurowa róża w kryształowym wazonie i dwie smukłe białe świece. Bezszelestnie poruszający się kelner przyniósł kartę win i zapalił świece.

Ross zaczął studiować kartę, po czym zerknął na Lynn.

- Masz jakąś ulubioną markę?
- Rzadko piję wino.

Ledwo uchwytny uśmiezek przemknął przez jego wargi.

- Mam nadzieję, że tym razem zrobisz wyjątek.

To nierozsądne, skarciła się Lynn w duchu. Kieliszek wina to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebuje.

- Prawdę mówiąc, dziś są moje urodziny - wyznała wbrew sobie.

- Serio? - Czający się w kącikach warg uśmiech rozkwitł.

Skinęła głową z lekkim zażenowaniem.

- W takim razie zamówimy szampana - zawyrokował. Przywołał kelnera, który czekał w dyskretnej odległości, i wymienił jakąś francuską nazwę.

Po chwili kelner wrócił ze srebrnym kubelkiem z wetkniętą w lód zmrożoną butelką. Nalał do wysokich kieliszków złocisty pieniaący się płyn.

- Twoje zdrowie, Lynn Taylor. - Ross wzniosł swój kieliszek w geście toastu. - Wszystkiego najlepszego.

Musujące wino połaskotało jej gardło i zalało rozkoszną falą ciepła. Złożyli zamówienie - przekąski, sałatki i danie główne - po czym kelner ulotnił się bezszelestnie. Zostali sami.

Ross nachylił się nad stołem.

- Powiedz...

Ostrożnie odstawiła kieliszek na śnieżnobiały obrus i spojrzała pytająco.

- .. .to nowe wcielenie...

Nie była typem wdzięczającej się kobiety, lecz w niezrozumiały dla niej sposób nagle kokieteria wydała się jej czymś równie naturalnym jak oddychanie.

- Nowe wcielenie?

- A co? - Zachichotał. - Myślałaś, że niczego nie zauważyłem?
- Widziałam, że zauważyłeś - wyznała z zalotną skromnością.
- To dobrze. Przynajmniej co do jednej kwestii mamy jasność.
- Tak, chyba tak.
- Co spowodowało taką przemianę?

Zwlekąca z odpowiedzią, rozkoszując się delikatnym pieczeniem w gardle, jakie wywołał kolejny łyk szampana.

- To prezent urodzinowy od Danielle, Gracie i Kim.
- Gracie i Kim to te dwie panie z salonu?
- Tak, właścicielka i jej córka.
- A o co chodziło Sarze... mówiła coś o księciu?

Kiedy Sara, jakże niewinnie, wspomniała o księciu, Lynn zaczerwieniła się jak mała dziewczynka. Jednakże pytanie Rossa w najmniejszym stopniu jej nie zakłopotало.

Opowiedziała szczerze całą historię. O tym, jak Danielle zadzwoniła do niej wcześniej rano z życzeniami urodzinowymi i poleceniem, żeby zarezerwowała sobie czas po lekcjach i wzięła ze sobą nową czerwoną sukienkę i czerwone buty na wysokim obcasie.

- Nie chciała mi zdradzić, jaką niespodziankę szykuje.

Powiedziała tylko: nazywaj mnie swoją dobrą wróżką.

- Taką jak w bajce o Kopciuszku?

- Tak. Ja na niby byłam Kopciuszkiem, a Danielle, Gracie i Kim dobrymi wróżkami, które przemieniają mnie czarodziejskimi różdżkami. Kiedy skończyły swoje magiczne zaklęcia, zażartowałam, że brakuje mi tylko księcia.

- I w tym momencie ja się pojawiłem.

Roztańczone płomienie świec złotym blaskiem odbijały się w jego ciemnych oczach.

- Uhm - przytaknęła skwapliwie. - W samą porę.

- Tyle że nie jestem księciem - powiedział z komicznie skruszoną miną - lecz najzwyczajszym w świecie prawnikiem.

Lynn uniosła kieliszek z figlarnym uśmiechem.

- Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu.

- Oho, wychodzi z ciebie belferka.

- W każdym calu - śmiejąc się, łyknęła szampana. - Ostrze-gam cię...

- Lepiej nic nie mów. O północy zamienisz się pewnie w dynię?

- Gorzej. O północy wywołam cię do tablicy.

- Już się boję!

- Przepytam cię z alfabetu.

- A potem?

- Potem... z tabliczki mnożenia. A na koniec z odmiany czasowników.

- Brzmi koszmarnie.

- Pewnie. Masz szczęście, bo pożegnamy się długo przed nadejściem godziny duchów.

- Aha, mam szczęście...

Ich spojrzenia spotkały się i długą chwilę nie odrywali od siebie oczu. Zdawało się, że połączyła ich niewidoczna nić intymnego porozumienia.



Lynn przypomniała sobie, że mieli porozmawiać o małej Jenny, lecz zanim zdążyła podzielić się tym spostrzeżeniem, przyniesiono przystawki.

- Gdzie studiowałaś? - zagadnął między jednym a drugim kęsem.

- Na uniwersytecie w Montanie. Pedagogikę jako kierunek główny i dodatkowo język angielski. A ty?

- Dostałem stypendium do Princeton. Pobyt tam znosiłem fatalnie. Wszyscy odstawiali ważniaków z Ivy League. Dla nich byłem prostaczkiem, chłoptasiem z prowincji, po jakiejś tam szkółce w Billings. Urwałem się i pojechałem studiować prawo do Kolorado.

- Kiedy się obroniłeś?

- Zdałem na aplikację adwokacką w wieku dwudziestu czterech lat.

- To wcześnie, jeśli się nie mylę?

- Cóż, dokładnie wiedziałem, czego chcę. Chciałem skończyć studia w wielkim stylu. Zaraz po dyplomie zacząłem pracować w kancelarii Turów, Travis i Lindstrom, jednej z większych w Denver.

Trish, która w czasie każdej przerwy na lunch gorączkowo zbierała w Hip Hop Cafe informacje na temat Rossa Garrisona, napomknęła, że adwokat pochodzi z Denver.

- A potem?

Jego spojrzenie przygasło.

- Usiłowałem wyrobić sobie własną markę.

- W Turów, Travis i...

- .. Lindstrom. Cóż. Błyskawicznie awansowałem. Miałem dwadzieścia osiem lat, kiedy przyjęli mnie na partnera. Niezwykłe osiągnięcie, doprawdy.

Zjadliwą ironię w głosie wzmacniał przeszywający chłód spojrzenia. Było oczywiste, że owo niezwykle osiągnięcie w rzeczywistości okazało się niewypałem,

Lynn opanowała nieodparta chęć, żeby dotknąć jego dłoni, dodać mu otuchy, przywrócić blask czarnym oczom. Z trudem opanowała nierozważne pragnienie.

- Dopiero nieco ponad rok temu - ciągnął Ross - postanowiłem stamtąd odejść. Zdecydowałem, że pora coś w życiu zmienić.

Pora coś w życiu zmienić, powtórzyła jak echo w duchu. Domyślała się, że nie chodziło tylko o pracę. Trish wspominała coś o złamanym sercu, o rozstaniu i rozwodzie. Lynn zapragnęła ukoić ból jego serca.

W głębi duszy musiała przyznać, że ten przystojny mężczyzna zaczyna budzić w niej sympatię, że mimo płoczej i nieco ryzykownej gry w zalotne flirtowanie, której tak ochoczo się poddała, rodzi się między nimi osobliwa bliskość, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała w kontaktach z innymi ludźmi. Karciała się za to i przekonywała, że nie powinna pozwalać sobie na takie uczucia - lecz nadaremnie.

Był dla niej zbyt bogaty, zbyt światowy, zbyt wyrafinowany. Poza tym Trish pałała do niego płomienną miłością, choć on chyba nie odwzajemniał tego afektu. Trish nie przyszłoby nawet do głowy, że siostra może zostać jej rywalką. Rodzina przyjęłaby miłosne zapędy

rodzinnego kopciuszka z oburzeniem, a to ostatnia rzecz, jakiej by sobie Lynn życzyła.

A jednak siedziała z nim w eleganckiej restauracji, sączyła szampana i flirtowała. Popisując się tą ładniutką buziulką, jak zwykle mawiać Jewel, kiedy tylko pasierbica okazywała na tyle mało taktu, by ośmielić się na moment zabłysnąć.

Powinni porozmawiać o Jenny, powtarzała sobie w duchu. Ale po co się spieszyć? Uniosła kieliszek do ust i rozkoszowała się wytrawnym smakiem szampana.

Przyniesiono danie główne, kruchą i delikatną polędwicę. Dosłownie rozpływała się w ustach.

Zdażyła przełknąć pierwszy kęs, gdy Ross ostrzegł stłumionym szeptem:

- Nie oglądaj się. O, cholera, zauważyła nas.

- Kto?

- Lily Mae Wheeler. Idzie w naszą stronę. Dam ci drobną radę prawniczą.

- Jaka?

- Nic jej nie mów, chyba że chcesz, żeby całe miasto o tym potem trąbiło.

- Dobry Boże, przecież to Lynn Taylor! Kochanie, ledwie cię poznałam! - Lynn przywitała największą plotkarę w Whitehorn niewyraźnym uśmiechem. - Ach, jak ty cudownie wyglądasz, co za wspaniała fryzura! - Dzwoniąc tandetnymi bransoletami, Lily Mae poprawiła nieforemną i sztywną od lakieru kopułę swoich wyblakłych

kasztanowych kosmyków. - Może powinnam znowu zacząć rozjaśniać włosy, jak myślisz?

- Moim zdaniem kasztanowy kolor świetnie do pani pasuje - zapewniła Lynn uprzejmie.

Lily Mae dała spokój uczesaniu i poklepała Lynn po ramieniu.

- Kochana, słodka dziewczynka. Ty zawsze wiesz, co powiedzieć. Dzień dobry, panie Garrison. - Sztuczne rzęsy zatrzepotały jak ptasie skrzydła. - Jak się pan miewa w to urocze popołudnie?

- Dobrze, pani Wheeler.

- Pewnie nie może się pan nacieszyć tym pięknym, nowym domem?

- Rzeczywiście, jest wspaniały.

- Gdzie to dokładnie jest? Przy drodze numer siedemnaście, nad jeziorem Black Bear, czyż nie?

- W rzeczy samej.

- Przyznaję, Winona Cobbs wszystko mi opowiedziała. Ona codziennie jeździ tamtędy do miasta.

Winona Cobbs mieszkała w przyczepie kempingowej przy końcu drogi numer siedemnaście. Prowadziła tam własne, nieduże przedsiębiorstwo, znane jako Stop 'n Swap. Hodowała pszczoły i niektórzy przypisywali jej pewne nadprzyrodzone zdolności. Była równie nieuleczalną plotkarą jak Lily Mae.

- Słyszałam - drażyła nieustępliwie Lily Mae - że będzie pan reprezentował majątek Kincaid,

- Istotnie - odparł Ross.

- Przykra sprawa z tym Wendellem - zasmuciła się, cmokając i z zaferowaniem kręcąc głową. - Trudno w to uwierzyć, ale przed laty Wendell Hargrove był szanowanym obywatelem. Wszystko zaczęło się po śmierci jego ukochanej żony Alice. Nie potrafił pogodzić się ze stratą. Wtedy zaczął uprawiać hazard, no a potem... cóż, myślę, że zna pan dalszy ciąg tej historii.

- Owszem, znam.

- A teraz będzie pan opiekunem naszej Jenny.

- W istocie.

- Niech jej pan strzeże jak oka w głowie.

- Nie omieszka, pani Wheeler. Obiecuję.

- Słoneczko - zaświergotała słodko, zwracając się do Lynn - doprawdy, co za odmiana. Ta twarz, te włosy, ta zachwycająca sukienka! Aż przyjemnie popatrzeć na kobietę, która potrafi tak wykorzystać swoje atuty. Kto by przypuszczał, że ty... Moja droga, powiem ci jedno: najwyższy czas!

Lynn bąknęła słabe „dziękuję”, co wydawało się najbezpieczniejsze w tej kłopotliwej sytuacji.

Wszędobylski wzrok Lily Mae padł na kubek z lodem, w którym tkwiła pękata butelka.

- A to co? Szampan? - Mocno uczernione brwi uniosły się tak wysoko, że niemal znikły pod grzywką sztywno przylepioną do pooranego zmarszczkami czoła. - Czyżby jakaś wyjątkowa okazja? - Machnęła dłonią zakończoną szponiastymi, ognście czerwonymi

paznokciami. - Ach, co ja mówię! Oczywiście, że tak. Kiedy przystojny, bogaty mężczyzna i młoda, piękna kobieta spędzają razem wieczór w wykwintnej restauracji, to musi być wyjątkowa okazja. Chociaż myślałam, że... - Zawiesiła głos i zastygła w afektowanej pozie niczym aktorka prowincjonalnego teatru. - Co tam, mniejsza z tym.

- Z czym? - wyrwało się Lynn, czego natychmiast pożałowała.

Lily Mae zachowała jednak wyjątkową jak na nią dyskrecję.

- Och, nic takiego.

O coś jednak chodzi, Lynn była tego pewna. Prawda czała się w mocno, zbyt mocno umalowanych oczach Lily Mae. Nic nie mogło umknąć uwagi tej niepoprawnej plotkarki, a więc i fakt, że Trish szaleje za Rossem. Zapewne to właśnie ją Trish zasypywała pytaniami o nowego prawnika.

- Nic, nic, kochanie, nic takiego - powtórzyła Lily Mae. - Znasz przecież moją słabość, zaraz bym ci wszystko wygadała. Mam dziś gościa, znajomą z Billings, będzie u mnie nocować. Poszła na chwilę do toalety. Wiecie co - zachichotała - nie będę wam nawet jej przedstawiać. Coś mi się widzi, że chcecie zostać sami.

Lynn otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz w porę uchwyciła karcące spojrzenie Rossa.

Trudno się było z nim nie zgodzić. Lily Mae i tak pomyśli, co zechce. Nie trzeba dawać jej pretekstu, żeby została i męczyła ich kolejnymi pytaniami.

- Smacznego - rzuciła Lily Mae na odchodnym. - Czyż ta polędwica nie rozpływa się w ustach?

- Rzeczywiście - zgodziła się Lynn. - Jest wyśmienita. Przy akompaniamencie metalicznego brzęczenia bransolet

Lily Mae pożeglowała w głąb sali. Ross odprowadził ją wzrokiem.

- No, można odetchnąć - powiedział do Lynn. - Kelnerka prowadzi ją do stolika w odległym kącie sali, za filarem. Mamy szansę spokojnie dokończyć kolację. Co za dokuczliwe babsko.

Lynn uznała, że powinna stanąć w jej obronie.

- Ale ma dobre serce. Ross potrząsnął głową.

- Jutro całe miasto będzie o nas huczeć. Ta papla godzinami przesiaduje w Hip Hop i miele językiem bez opamiętania.

Co na to Trish, kiedy się dowie? Lynn postanowiła się nad tym nie zastanawiać. Jakoś to będzie. Wytłumaczy siostrze, że jadła kolację z Rossem Garrisonem, bo musieli omówić kilka spraw związanych z Jenny. Nie minie się przecież z prawdą.

- Mniejsza z tym, niech sobie mówi, co chce - zawyrokował Ross, biorąc widelec do ręki. - Najważniejsze, że my wiemy, jak się sprawy mają. Nie robimy niczego zdrożnego, po prostu jemy kolację, prawda?

Ich oczy znowu się spotkały.

- Masz rację - westchnęła Lynn. - Trochę pogadają, a potem cała sprawa ucichnie.

- Zgadza się - potwierdził cicho.

Przez kilka pełnych napięcia sekund wpatrywał się w nią w milczeniu. Poczowała, że serce zaczyna jej bić niespokojnie, i zarumieniła się.

W końcu wzruszył ramionami.

- To cena, jaką trzeba płacić za życie w miasteczku takim jak Whitehorn, gdzie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

- To prawda. - Delikatnie odcięła kawałek mięsa i wsunęła go między wargi.

Przez cały czas Ross nie spuszczał z niej oczu. Obserwowanie jej sprawiało mu coraz większą przyjemność. Już wiedział dlaczego.

Tak. Zdecydowanie za bardzo mu się podobała. Zbyt dobrze czuł się w jej towarzystwie. Pragnął zatrzymać ją przy sobie jak najdłużej, słuchać jej śpiewnego głosu i cieszyć się zmysłową wonią delikatnych perfum.

Powinien natychmiast przerwać ten flirt.

To do niczego nie prowadzi. Nic nie wskóra u Lynn Taylor, która tego wieczora wyglądała niezwykle kusząco, lecz na co dzień była uosobieniem niewinności. Zapewne ani jej w głowie romanse.

A gdyby tak po tej uroczej kolacji zgodziła się pojechać do niego? Znalazłaby się w jego łóżku, a on bez reszty rozkoszowałby się jej bliskością. Rano każde z nich wróciłoby do własnych spraw.

Czego ona pragnęła? Nie był tego pewien. Wspomniała przecież coś o księciu.

Ross Garrison na pewno nie był księciem. Między nim a Lynn Taylor nie mogło do niczego dojść.



Bez wątpienia uwiedzenie skromnej nauczycielki byłoby pod każdym względem nierozsądnym posunięciem. Był świadkiem, jak Danielle Mitchell, kosmetyczka, fryzjerka, a nawet Lily Mae Wheeler troszczyły się o nią i pragnęły ją chronić. Wszyscy w Whitehorn kochali Lynn Taylor. Skoro zamierzał się tu osiedlić, prowadzić własną kancelarię i zyskać poważanie mieszkańców miasteczka, nie powinien bałamucić miejscowej cnotki, bo to może zaprzepaścić jego plany.

Powinien spokojnie dokończyć kolację, zadać kilka pytań dotyczących jego najmłodszej klientki, zapłacić rachunek i odwiedzić Lynn tam, gdzie zostawiła swój samochód.

A jednak, wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi, z jakiejś niezrozumiałej przyczyny nie potrafił się z nią rozstać.

Zerknęła na niego sponad talerza i zapytała cicho:

- Podoba ci się Whitehorn?

- Owszem.

- Mówiłeś, że wychowałeś się w Billings?

- Tak,

- Dlaczego tam nie wróciłeś, kiedy nadeszła pora na zmiany w twoim życiu?

- Nie mam tam nikogo. Moi rodzice od wielu lat nie żyją.

- Nie masz rodzeństwa?

- Mam brata i siostrę, ale nie jesteśmy ze sobą zżyci, nie utrzymujemy kontaktów. Zresztą oni też się przenieśli. Siostra

mieszka w Salt Lake City, a brat w Kalifornii. Podobno pracuje w jakiejś firmie elektronicznej.

Dopiła resztkę szampana i sięgnęła po szklanę z wodą. Sprawdził butelkę, była pusta.

- Zamówię następną.

- Nie trzeba - zaprotestowała i pociągnęła łyk wody. - Lepiej nie.

Odstawił pustą butelkę do kubelka. Lynn starannie ułożyła serwetkę obok talerza. Z wyrazu jej oczu odczytał, że nieuchronnie zbliża się koniec tej zadziwiającej randki.

- Może masz ochotę na deser - zaproponował skwapliwie.

- Och - skromnie spuściła rzęsy, po czym obdarzyła go niewinnym spojrzeniem. - Już nie mogę, naprawdę.

Pojawił się kelner i zebrał talerze. Gdy tylko się oddalił, Ross powtórzył próbę.

- To twoje urodziny - kusił. - Mają tu naprawdę nie lada przysmaki. Na przykład moje ulubione ciasto czekoladowe. Palce lizać.

- Ciasto czekoladowe... — powtórzyła z wahaniem. Z wdziękiem przechyliła głowę, koniuszkiem języka przez moment wodziła po kącikach warg, jak gdyby już smakowała czekoladową polewę.

Jakie to uczucie całować te słodkie, ponętne wargi? - zastanawiał się. Na pewno miłe, rozkoszne, frapujące.

- Nie, mam dosyć - zapewniła Lynn z westchnieniem.

Zdawał sobie sprawę, że nie powinien nalegać, lecz wewnętrzne pragnienie było silniejsze od jego rozsądku.

- Czekoladę je się dla samej przyjemności jedzenia. W dniu urodzin możesz sobie pofolgować.

Podchwyciła jego natarczywe spojrzenie. Przeczucie czegoś znacznie bardziej pociągającego, zwodniczego i nieodpartego niż smak czekoladowego ciasta oplatało ich powoli niczym jedwabna sieć.

- Nie, dziękuję sprzeciwiła się, mrużąc oczy, a jej głos zabrzmiał tym razem bardziej stanowczo. - Naprawdę nie mam ochoty na deser.

Nieuchronnie zbliżała się więc pora rozstania. Postanowił uciec się do ostatniego wybiegu.

- Twoja wola. Ale ja mam ochotę na małe co nieco. Dotrzymasz mi towarzystwa?

- Oczywiście.

- Może kawy?

- Bardzo chętnie.

Przywołał kelnera i szepnął mu coś na ucho.

- Co mu powiedziałeś? - Zaciekawiała się, gdy kelner oddalił się w stronę kuchni.

- A jak myślisz?

Roześmiała się wesoło. Boże, jak ona cudownie się śmieje!

- Już wiem. Powiedziałeś mi, że dziś są moje urodziny. Mam rację?

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz tę karygodną zbrodnię.

- Och, Ross...

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Musiał przyznać, że rozkosznie zabrzmiało w jej ustach.

- Ty zdmuchniesz świeczkę, a ja zjem ciasto.

Trzej kelnerzy uroczyście kroczyli w kierunku ich stolika. Postawili przed Lynn kawałek tortu z jedną świeczką i chórem zaintonowali „Sto lat”. Gdy skończyli, delikatnie zdmuchnęła płomień.

- Wszystkiego najlepszego!

- Och, dziękuję! - zawołała uradowana, klaszcząc w dłonie.

Kelnerzy podali kawę i wycofali się dyskretnie.

Lynn wyjęła świeczkę, położyła na brzegu talerzyka i podsunęła ciasto Rossowi.

- Proszę. Na zdrowie.

- Na pewno nie masz ochoty spróbować? - kusił, sięgając po widelczyk.

- Nie zaczynaj znowu.

- Może jednak? - Wbił widelczyk w delikatną czekoladową polewę, która skrywała warstwę śnieżnobiałej bitej śmietany i ciemnego ciasta.

- Smakuje wybornie - zapewnił rozmarzony.

Z irytacją pokręciła głową, uroczo marszcząc nos.

- Przestaniesz?

- Nigdy. To nie leży w mojej naturze.

Zerknęła z ukosa na pyszniący się na talerzyku niczym wyzwanie kawałek ciasta.

- Jeśli spróbuję, dasz mi spokój?
- Chyba że będziesz błagać o więcej.
- Nie ma mowy.

Zdał sobie sprawę, że ten kategoryczny sprzeciw miał głębsze, ukryte znaczenie. Brzmiał jak wyzwanie do miłosnej rozgrywki, którego nie powinien podejmować.

- Tak czy nie? - Zdawał sobie sprawę, że igra z ogniem. Wtedy nachyliła się ku niemu przez stół. Rozchylonymi leciutko ustami delikatnie sięgnęła po słodki podarunek. Jak urzeczony śledził zmysłowe ruchy miękkich warg.

- Umm, pychota - przytknęła powieki, smakując puszystą słodycz.

- Jeszcze?
- Nie, dziękuję.

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, a zwodnicza, jedwabna sieć namiętności oplatała ich coraz gęściej. Ross opuścił widelczyk i ukroił kawałek dla siebie.

Smacznego, Garrison, ironizował w duchu. Wyobraź sobie, że oto kosztujesz jej wdzięków, słodszych od bitej śmietany i czekolady. Niespełnione, iluzoryczne pragnienie. Ona nie zgodzi się na nic więcej, ty nie masz prawa nalegać.

Ty chcesz ją mieć na jedną noc.

Ona zaś szuka księcia.

Wkrótce po cieście pozostało zaledwie kilka okruszków. Poprosił o rachunek. Kelner przyniósł płaszcz Lynn, gotów służyć pomocą. Ross ubiegł go, zazdrosny o tę ostatnią okazję bliskości.

Podał jej płaszcz w ten sam wytworny sposób, w jaki okazał jej uprzejmość w salonie piękności, na oczach trzech kobiet. Tym razem jednak jego ruchy były znacznie wolniejsze i precyzyjniejsze, niż to było konieczne. Nie mógł oprzeć się pokusie, aby przedłużyć tę chwilę i napawać się subtelnym zapachem perfum i bliskością jej ciała. Była tak realna, tak bliska i tak niebywale kusząca. Palcami musnął delikatny kaszmir i poczuł, jak płonie.

Zaklął szpetnie w duchu.

Był gotowy. Nie mógł pohamować wzbierającej fali pożądania od chwili, gdy wessała czekoladowe ciasto między nabrzmiałe wargi. Reagował jak nastolatek, który nie potrafi kontrolować swojego ciała. Otoczył ramieniem jej zgrabne plecy z udaną troskliwością, choć Lynn nie potrzebowała przewodnika. Ostatni raz chciał czuć jej bliskość, miękkość kobiecego ciała, ukrytego przed nim pod warstwami ubrania.

- Życzę miłego wieczoru, panie Garrison - pożegnała go uprzejmie hostessa.

- Dobranoc-odpowiedział.

Na zewnątrz, w ciemności nocy, broniąc się przed porywami lodowatego wiatru, uświadomił sobie, że tego wieczoru nie zamienili nawet jednego słowa na temat Jennifer McCallum.

## ROZDZIAŁ 4

Odwróciła się ku niemu, otulając płaszczem, aby uciec przed przeszywającym chłodem wiatru.

- Czy mógłbyś mnie zawieźć z powrotem pod szkołę?

Zaparkowałam tam samochód.

- Zaczekaj.

Zabrzmiało to naturalnie, tak jak tego chciał. Nie pozwolił sobie na ujawnienie prawdziwych emocji. Był zbyt złakniony, ale nie soczystego filetu z polędwicy czy ulubionego ciastka, tylko tej kobiety. Chciał wyciągnąć ku niej ramiona, przygarnąć ją do siebie, wpleść dłonie w osrebrzone księżycem włosy i nareszcie poznać smak tych ust, które drażniły się z nim zmysłowym śmiechem i ciętymi ripostami. Ust, które sięgnęły po ciastko na jego widelczyku.

- Brr... - Mocniej wtuliła się w kołnierz płaszcza. - Zaczekać? Na co?

- Nie porozmawialiśmy o mojej klientce.

Już miała się odezwać, kiedy zobaczyła dwóch kowbojów zmierzających ku nim ulicą. Mieli na sobie przepisowy strój Whitehorn: wytarte dżinsy, znoszone buty, przepocone kapelusze i skórzane kurtki. Lynn uśmiechnęła się do nich, witając ich po imieniu. Najwyraźniej znała ich nie od dziś. Mężczyźni stanęli jak wryci i gapili się na Lynn z na wpół otwartymi ustami. Ross śmiałby się, gdyby nie to, że miał ochotę udusić tych facetów gołymi rękami. Wiedział, co sobie myślą, bo sam tak myślał. Wyglądała dobrze.

Cholernie dobrze. Jak coś, czego mężczyzna raz zaznawszy, nigdy nie ma dosyć.

- Ach, panna Taylor? - wykrztusił w końcu jeden z kowbojów.

Zaśmiała się tym swoim gardłowym, niepokojącym śmiechem.

- Tak, Eddie, to ja.

- Ee... Uszanowanie pani.

- Nawzajem - odparła, po czym zapytała drugiego, który miał na imię Tom, o zdrowie jego siostry.

- Lindy ma się już lepiej, panno Taylor.

- Cieszę się. Powiedz jej, żeby się oszczędzała. Z zapaleniem płuc nie ma żartów.

- Powiem, panno Taylor, na pewno. I miłego dnia, to znaczy... miłego wieczoru.

- Dziękuję, Tom. Do widzenia, Eddie.

Obaj dotknęli rond kapeluszy, tym razem zwracając się w kierunku Rossa. Odpowiedział im skinieniem głowy. Obróciła się do niego.

- Zawsze mnie to śmieszy - rzuciła z rozbawieniem. - Dopiero drugi rok pracuję w podstawówce w Whitehorn, a już wszyscy w mieście, nawet ci, z którymi chodziłam do szkoły, zwracają się do mnie „panno Taylor”.

Rossowi wcale nie wydawało się to zabawne. Jeśli o niego chodziło, zdecydowanie wolał, żeby kowboje tytułowali ją grzecznie panną Taylor.

Lynn wciąż się uśmiechała.



- Tom i Eddie pracują u Birchleyów. To na północ od miasta, pomiędzy No Bull Ranch a...

- Wiem, gdzie są ziemie Birchleyów.

Tak naprawdę wiedział tylko w przybliżeniu. Nie chciał jednak słyszeć ani słowa o Tomie i Eddiem, którzy powinni nauczyć się, że nie wolno wpatrywać się w kobietę, jak gdyby nigdy w życiu żadnej się nie widziało. Odsunęła się od niego na krok.

- Czy coś nie tak?

- Nie. - Wsparł zaciśnięte w pięści dłonie o boki, żeby nie przyciągnąć jej z powrotem do siebie. - Wszystko w porządku. - Odetchnął i siłą woli nakazał wybrzuszeniu wewnątrz spodni opaść.

- Nic ci nie jest?

- Skąd, czuję się świetnie. Musimy jeszcze porozmawiać. -  
Wiem, ale...

- Moglibyśmy wpaść do mnie, co ty na to? - Kiedy już rzucił tę propozycję, nie mógł uwierzyć, że się na to odważył.

Lynn musiała mieć podobne odczucia.

- Do ciebie? - Śliczna twarz zdradzała konsternację i podniecenie jednocześnie.

- To niedaleko. Napijemy się kawy, a potem odwiozę cię do domu.

- Ja...-zawahała się.

Serce zamarło w nim na chwilę w obawie, że Lynn odmówi. Słyszając odpowiedź, odetchnął z ulgą.

- Dobrze, ale muszę wrócić po samochód.

- Naturalnie, zawiozę cię do szkoły, jak tylko skończymy.  
Zerknął na zegarek. Wciąż było wcześnie. I całe szczęście.

- Jest dopiero po siódmej. Będziesz w domu najpóźniej o dziewiątej.

Jeszcze godzina albo dwie. To naprawdę nic zdrożnego, wmawiał sobie, choć miał poczucie, że igra z ogniem. Och, do diabła, nie czuł się tak od...

Gdyby się dobrze zastanowić, nigdy się tak nie czuł. Zbyt długo już był sam. Czy czuł się samotny? Może i tak. Zanim poznał Lynn, uważał, że taki jest jego wybór i że chce tak żyć.

Tej nocy pragnął, żeby magia trwała dalej, chociaż przez jakiś czas.

Magia. To właściwe słowo. Przyszły mu na myśl wszystkie opowieści o czarach i dobrych wróżkach. Przyszła mu na myśl ona, z tymi niewinnymi niebieskimi oczami, z ciętym językiem, strojna w czerwoną sukienkę, roztaczająca wokół siebie kuszącą woń perfum.

Znał siebie. Wiedział, że czymkolwiek było to uczucie, nie będzie trwało długo. Jednak na razie, przez godzinę lub dwie, po prostu nie mógł pozwolić jej odejść.

Myśli Lynn krążyły po podobnych orbitach. Tak jak Ross wiedziała, że wizyta w jego domu posuwała ich ryzykowny flirt o krok za daleko. Jednakże...

Miała urodziny. Wyjątkowe, magiczne urodziny Kopciuszka. Tego wieczoru po raz pierwszy w życiu znalazła się w bajce. Była

jednocześnie Kopciuszkiem na balu, Śpiącą Królową, która się przebudziła, i Brzydkim Kaczątkiem przemienionym w łabędzia.

Nie pozwól, by to się już skończyło, powtarzała sobie w myśli. Jeszcze nie, jeszcze nie teraz. Niech ta magiczna chwila trwa.

Położył rękę na jej ramionach tym samym gestem co w restauracji. Poczwała, że dotyka jej mężczyzna, każdą cząstką swej istoty.

- Chodźmy - powiedział. - Jest za zimno, żeby stać na ulicy choćby minutę dłużej.

Dom Rossa znajdował się w pewnej odległości od miasta. Wznosił się na występie skalnym, który opadał ku jezioru Black Bear. Solidna budowla z grubo ciosanych świerkowych bali z wysokimi, lśniącymi oknami, otoczona była okazałymi, starymi sosnami.

Ross wprowadził Lynn do środka, wziął od niej płaszcz i torebkę i powiesił w szafie obok drzwi wejściowych. Potem zaprosił ją do ogromnego, przytłaczającego rozmiarami salonu, w którym królował kominek sięgający od podłogi po sufit, zrobiony z ogromnych, gładkich kamieni. Pochwalił się, że pochodzą ze wschodnich zboczy Gór Skalistych. Nad paleniskiem znajdował się okap w postaci ciężkiej, drewnianej polki, wpuszczonej w kamienie. Na niej stał duży zegar, który wskazywał godzinę 19:36.

Otwarcie osłony paleniska zajęło Rossowi kilka chwil. Szybko przytknął zapalną do drew, ułożonych tam już wraz z podpałką. Po chwili w palenisku zatańczyły wesole płomienie.

Czekając, aż gospodarz rozpali ogień, Lynn podziwiała wystrój domu. Nad jej głową masywne belki, ułożone promieniście, podtrzymywały koliste sklepienie. Meble wyglądały równie interesująco. W tapicerce połączono ciemnobrązową skórę i perłowy kordonek. Za oknami przez koronkowe gałęzie sosen przesiewały się refleksy światła na ciemnej wodzie jeziora,

Ross zaproponował kawę.

- A może wolałabyś brandy?

Wolała. Sama myśl o kieliszku wydała się jej uroczo dekadenccka. Na co dzień nie była kobietą, która wieczorami popija brandy.

W drugim końcu pokoju, prostopadle do kominka, znajdował się długi barek, który oddzielał kuchnię od części jadalnej. Ross wszedł za kontuar i wyjął butelkę z szafki. Z półki nad głową zdjął dwa duże, pękate kieliszki, z rodzaju tych stworzonych do sączenia złocistego trunku.

Kiedy nalał im po kieliszku, oprowadził ją po domu. Najpierw pokazał gabinet na dole, z biblioteką pełną książek w skórzanych oprawach z tłoczonymi złotymi literami. Potem obejrzała dwie sypialnie, z których każda miała własną łazienkę. W końcu zaprowadził ją na górę szerokimi kamiennymi schodami i dalej, przez obszerny hol. Zajrzeli do kolejnych dwóch sypialni. Pokazał jej też swój pokój, niemal tak wielki jak salon na dole; jego okna wychodziły na północny zachód.

Lynn weszła za Rossem do pomieszczenia, w którym barwne kilimy wyścielały podłogi z gładkich desek. Łoże z ciężkiego, ciemnego drewna miało istic królewskie rozmiary. W części bawialnej skórzane krzesła były pikowane, wykończone ozdobnymi gwoździkami. Sztuka zachodnia oraz kilka oryginalnych indiańskich tkanin ozdabiały surowe, porowate ściany. O tej porze ogromne okna ukazywały jedynie gwiazdy i mgliste zarysy Crazy Mountains w oddali. Za dnia widok ośnieżonych szczytów na tle błękitu nieba musiał być oszałamiający.

- Och, Ross, jak tu pięknie - wyszeptała.

Rzucił jej jeden ze swych smutnych uśmiechów i przeciągnął palcem po blacie mahoniowego stołu.

- Ale brudno. Moja gospodyni jest równie beznadziejna jak moja sekretarka. - Nie zdawał sobie sprawy z faux pas, jakie popełnił, dopóki nie przebrzmiały ostatnie słowa.

Cudowny nastrój prysł jak za dotknięciem różdżki, a uśmiech Rossa nagle stał się wymuszony. Przygryzł wargi i potrząsnął głową.

- Nie chciałem tego powiedzieć.

Lynn poczuła się tak, jakby jakaś potężna dłoń szarpnęła ją brutalnie, wyrywając ze słodkiego i niezwykłego snu. Co ona tu właściwie robi, wieczorem, w sypialni bogacza, z kieliszkiem brandy w dłoni?

Usłyszała swój głos:

- Czy Trish naprawdę jest taka zła?

Nie odpowiedział od razu, ale z ponurego grymasu jego ust mogła zgadnąć, o czym myśli.

W końcu odezwał się.

- Ile ona ma lat? Dwadzieścia dwa? Widać jest jeszcze za młoda.

Wiedziała, że powinna na tym skończyć, ale nie mogła.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Na twarzy Rossa malował się ból.

- Posłuchaj, ja... - Urwał, po czym wyznał z przymusem: - Przykro mi, wiem, że jesteś lojalna wobec siostry. Ale prawda jest taka, że się nie stara.

Było o wiele gorzej, ale tego już nie powiedział. W rzeczywistości Trish Taylor doprowadzała go do szału. Już na samym początku powinien się zorientować, że dziewczyna jest do niczego. Jednak był przyzwyczajony do pracy w wielkiej firmie, gdzie personalni dokładnie sprawdzali kandydatów, zanim dopuścili ich do rozmowy z szefem.

Wydała mu się bystra. Brakowało jej doświadczenia, ale sądził, że szybko się nauczy. W czasie rozmowy miała na sobie ładną granatową garsonkę. Doszedł do wniosku, że jej wygląd będzie atutem w kreowaniu wizerunku biura. Skąd miał wiedzieć, że Trish, kiedy tylko dostanie posadę, wróci do kusych džinsowych spódniczek i ulubionych, tańczących w uszach kolczyków w stylu Lily Mae Wheeler.

A jej umiejętność prowadzenia sekretariatu? Coś takiego w ogóle nie istniało! Ta dziewczyna skończyła dobrą szkołę dla

sekretarek i z jej podania wynikało, że potrafi stenografować i pisać na maszynie z prędkością sześćdziesięciu słów na minutę. Sęk w tym, że nie potrafiła odcyfrować swoich własnych gryzmołów. Widział też, jak korzysta z klawiatury. Sam potrafił pisać szybciej, posługując się zaledwie dwoma palcami. Do tego nieustannie gubiła pliki w komputerze i dokumenty na półkach wielkich szaf na akta, stojących wzdłuż ściany obok jej biurka.

Lynn spoglądała w bursztynową toń brandy.

- A może byś z nią porozmawiał... ? - podsunęła bez przekonania.

Zupełnie nie miał ochoty na rozmowę o Trish. Lynn jednak nie chciała porzucić tego tematu, tak jak nie chciała mu w tej chwili spojrzeć w oczy.

- Ross, czy rozmawiałeś z nią?

- Tak.

Owszem, rozmawiał z Trish. I to nieraz. Tydzień wcześniej powiedział dziewczynie otwarcie, żeby bardziej skupiła się na tym, co robi, albo zaczęła szukać nowej posady. Nie pomogło.

Ross wiedział, na czym polega problem. Musiałby być ślepy, głuchy i tępy, by tego nie zauważyć. Trish Taylor była w nim zadurzona po uszy. Zamiast wykonywać swoją robotę, siedziała rozmarzona, z oczami utkwionymi w pustkę, rumieniąc się za każdym razem, gdy prosił ją o jakieś dokumenty, i snując przebiegłe plany wciągnięcia go w pogawędkę o jego życiu prywatnym.

Sekretarka zakochana w szefie. Najstarszy banał świata. Z tą różnicą, że zazwyczaj taka sekretarka potrafiła pisać na maszynie. I miała na tyle taktu i dumy, aby nie okazywać swych uczuć, jeśli nie otrzymała sygnału, że mogą być odwzajemnione. To jednak nie dotyczyło Trish Taylor.

Lynn wciąż unikała jego wzroku.

- Będiesz się tak bez końca wpatrywać w kieliszek? - zagadnął, siląc się bez powodzenia na lekki ton.

Lynn zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. To zupełnie niestosowne, mówiła sobie. Niestosowne i nie do przyjęcia. Nie powinnam stać tu, w sypialni tego mężczyzny, popijając jego brandy, podczas gdy on zapowiada mi, że lada dzień zwolni z pracy moją siostrę.

- Zejdźmy lepiej na dół. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom.

- Lynn!

Stanąła, ale się nie odwróciła. Mówił do jej pleców.

- Nic mnie nie łączy z twoją siostrą. Jestem jej szefem, a ona podwładną, to wszystko.

- To nie moja sprawa. - Chciała ponownie odejść, ale znowu ją powstrzymał.

- Lynn.

- Co? — Błyskawicznie odwróciła się, by spojrzeć mu ze złością w twarz.

- Wierzysz mi?



- Czy to ważne?

- Ważne.

Uniosła podbródek, wyprostowała się na swą pełną wysokość metra osiemdziesięciu na obcasie.

- Dlaczego?

- Może nie jestem księciem z bajki, na którego czekasz, ale nie przywiózłbym cię tutaj, gdyby doszło do czegoś między mną a twoją siostrą.

Wciąż patrzyła na niego wyzywająco, ale nie czuła gniewu, już nie. Przynajmniej nie była bardziej zła na Rossa niż na siebie. Dla uspokojenia wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

- Nie powinienesz mnie tu przywozić. A ja nie powinnam się na to zgodzić.

- Wiem. - Tylko to zdołał powiedzieć.

- Więc czemu mnie tu przywiozłeś? - rzuciła to pytanie jak desperackie wyzwanie.

Nie odpowiedział, tylko spoglądał na nią oczami, które kryły obietnice, jakich nie powinna nawet się domyślać - rzeczy bardzo intymnych, wręcz szokujących. Takich, których pewnie nie zechciałaby zrobić, przynajmniej nie z nim. A może jednak? Z trudem zapanowała nad drżeniem.

- Dlaczego? - zapytała ponownie z mocą, aby oderwać się od niebezpiecznych myśli. - Dlaczego mnie tu przywiozłeś? - Miała nadzieję, że skłamię, powie coś taktownego, formułkę, która wszystko naprawi, sprowadzi ich na bezpieczny grunt.

On jednak wyznał prawdę niskim, urywanym głosem.

- Przyprowadziłem cię tu, bo nie potrafiłem pozwolić ci odejść.

Wpatrywała się w niego oszołomiona. Nagle poczuła, że płonie. Serce załomotało jej mocno, boleśnie, tak głośno, że była pewna, iż to usłyszał. Uciekaj, odezwała się jej mądrzejsza połowa, uciekaj stąd natychmiast.

Cofnęła się jeszcze o krok tak, aby znaleźć się za drzwiami, i zatrzymała się w holu, koło wąskiego mahoniowego stolika z nogami rzeźbionymi na kształt łap z pazurami.

- Lynn.

Znów stanęła bez ruchu.

Zadał pytanie, którego nie chciała usłyszeć:

- Dlaczego zgodziłaś się przyjechać do mnie?

- Ja...

- Odpowiedziałem na twoje pytanie. Teraz ty odpowiedz na moje. Dlaczego?

Poruszyła ustami, ale nie wydobyły się z nich słowa. Patrzyła na niego, nie mogąc uwolnić się od jego wzroku i tak po prostu uciec. Ruszył ku niej, pokonując dzielącą ich przestrzeń powolnymi, przemyślanymi krokami.

Lynn, rusz się! Idź stąd! - krzyczał zdrowy rozsądek. Ale jakieś żywiołowe, tęskne pragnienie, które pulsowało w niej gorącymi, niezaspokojonymi falami, nie pozwalało jej ruszyć się z miejsca, dopóki Ross nie znalazł się tuż obok.

Wziął od niej kieliszek i postawił na stoliczku. Odstawił tam też swój kieliszek. Potem westchnął i objął smukłymi dłońmi podbródek Lynn.

- Dlaczego tu przyszłaś? - zapytał, tym razem niemal szeptem.

Dotyk jego dłoni był niezwykłym doznaniem. Jego oddech musnął zwróconą ku górze twarz Lynn i stopił coś w głębi jej duszy.

- Bo...

- Tak? - Wyczuła w nim natarczywość, na którą wydawało się odpowiadać jej własne ciało.

- Odpowiedz - musnął jej usta wargami.

Ach, jakie to było cudowne! Pragnęła, żeby zrobił to jeszcze i jeszcze raz. Może zechce, jeżeli wyzna mu prawdę.

- Nie chciałam, żeby ten wieczór się skończył. - Jej głos zmienił się w zmysłowy szept. - Wiem, że postąpiłam źle, głupio...

- A jednak przyszłaś.

- Tak, bo są moje urodziny. Wszystko dziś działo się jak za sprawą czarów. Nie chciałam, żeby to się skończyło, nie chciałam, żeby wybiła północ.

- Ale wybije. - Jego oczy pociemniały od smutku i gorzkiej pewności. - To nieuchronne, zawsze tak będzie, prędzej czy później.

Przesunął dłońmi po szyi Lynn we wszechogarniającej pieśczoście, od której serce załomotało jej w piersi jak szalone. Potem położył jej ręce na ramionach i zapytał łagodnie, z ogromną powagą:

- Czy chcesz, żebym cię teraz odwiózł do domu?

- Nie. - To słowo wymknęło się spomiędzy jej warg, zanim zdołała je powstrzymać. A gdy już zostało powiedziane, dziwnie łatwo pogodziła się z faktem, że taka jest prawda.

Na ustach Rossa zaigrał przez chwilę swawolny uśmiezek, lecz szybko zniknął.

- Czego więc chcesz?

- Chcę... - koniuszkiem języka zwilżyła spierzchnięte wargi i zmusiła się do odpowiedzi: - ...najpierw chcę być pewna, czy jest jakakolwiek, choćby najmniejsza nadzieja, aby między tobą a Trish...

Potrząsnął głową, zanim zdążyła dokończyć.

- Już mówiłem. Twoja siostra jest moją sekretarką. Nikim więcej.

Wierzyła mu. Tak naprawdę od początku to wiedziała. Ale czuła, że musi się upewnić.

- Co jeszcze? - ponaglił, przebiegając dłońmi po jej ramionach w dół, a potem znowu w górę w powolnej, ciepłej pieszczocie, która wywoływała zamęt i gonitwę myśli.

- Jeżeli my... - zdołała wyszeptać.

- Co takiego?

- Jeżeli ja... - Znow zaschło jej w gardle.

Nigdy nie należała do kłamców, ale teraz gorączkowo wymyślała rozmaite kłamstwa, które mogłaby wykorzystać jako zasłonę dymną. Owszem, Lily Mae Wheeler widziała, jak piła z Rossem szampana w restauracji, ale przecież nikt nie wiedział, że pojechała do jego domu. Było jeszcze wcześniej. Gorzej sprawa

przedstawiała się z Trish, bo mieszkały razem w domu, który ojciec zostawił Lynn w testamencie. Ponieważ Lynn zawsze wracała pierwsza, siostra z pewnością zauważy jej przeciągającą się nieobecność. Ale jeżeli nie będzie to zbyt późno... I jeżeli Danielle będzie ją kryła i powie, że...

Dobry Boże, na cóż ona sobie pozwala! Kłamstwa i matactwa! A wszystko po to, by własna siostra i miejscowa społeczność nie zgotowały jej piekła plotek i wymówek z powodu znajomości z tym człowiekiem. Dlaczego po prostu jej nie zerwie?

Dlaczego nieuczciwymi sposobami walczy, aby nic nie wyszło na jaw? Dokąd to ją zaprowadzi?

Widziała chłód w oczach Rossa, gdy mówił o kancelarii w Denver. Wiedziała o jego rozwodzie, który nie nastąpił za porozumieniem stron.

Było w nim coś... nieustępliwego. Dziś wieczorem z pomocą czerwonej sukni i dziwnej, uderzającej do głowy siły, jaką dał jej nowy wygląd, stał się jej powolny. Jednak dla każdej kobiety przebijanie się przez jego zbroję byłoby na dłuższą metę zadaniem ponad siły.

Co sprawiło, że śmiała wyobrażać sobie, iż to właśnie ona, Lynn Taylor, dokona owego wyczynu? Pod nietrwałą powłoką blasku i przepychu wciąż była tą samą kobietą: szarą myszką, powściągliwą nauczycielką z podstawówki, wprost stworzoną, by zwracano się do niej per panno. Kobieta, na którą mężczyźni tacy jak Ross Garrison nigdy nie patrzą drugi raz. Jutro znów wróci do praktycznych ubrań i

butów na płaskim obcasie. A potem za pomocą diagramu i próbek od Kim spróbuje odtworzyć coś z dzisiejszej magii. Ale to już nie będzie to samo. Nie, spędzenie z nim nocy, kochanie się z nim - bo to właśnie by robili - nie było możliwe. Na miłość boską, przecież jest nauczycielką! Mieszkańcy Whitehorn, którzy powierzyli jej swoje dzieci, mają prawo oczekiwać, że będzie przestrzegała pewnych zasad moralnych. Jeżeli miałyby kiedykolwiek uprawiać miłość z jakimś mężczyzną, musiałyby najpierw zostać jego narzeczoną. Nie mogła rzucić się do łóżka z kimś, kogo dopiero co poznała! Co też jej przyszło do głowy?

Lynn nie mogła uwierzyć, że wciąż jeszcze pozwala sobie rozważać całą sprawę, myśleć, jak głęboko pragnie tego mężczyzny, marząc, aby ją całował, zachłannie, do upojnego zawrotu głowy. Pożądała pieśczoły jego silnych dłoni na swoim ciele. Tęskniła...

Usłyszała melodyjny dźwięk, cichy, lecz przykuwający uwagę. Dochodził z dołu. To zegar na kominku w salonie wybijał godzinę.

Była ósma.

## ROZDZIAŁ 5

Dokładnie w chwili, gdy Lynn miała odsunąć się od niego, Ross opuścił ręce i zrobił krok do tyłu. Jej duszę przeniknął ból niespełnionego oczekiwania. Zabrakło jego dotyku, zabrakło ciała, które jeszcze przed chwilą wydawało się tak cudownie, tak podniecająco bliskie.

Z trudem zdusiła w sobie krzyk protestu.

- Przepraszam, Lynn, miałaś rację, to głupota - powiedział głucho Ross.

- Tak. - Z wysiłkiem kiwnęła głową, by pokazać, jak bardzo się z nim zgadza. - Zejdźmy lepiej na dół.

- I porozmawiamy o mojej klientce - dokończył za nią.

- A potem odwieziesz mnie do szkoły.

Wręczył jej kieliszek, potem sięgnął po swój. W milczeniu ruszyli schodami na dół.

Ross zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Usiedli przed płonącym kominkiem w dwóch końcach wygodnej skórzanej kanapy.

- A zatem - zagaiła oficjalnym tonem - czego chcesz się dowiedzieć o Jenny?

- Chcę poznać jej historię. Opowiedz mi o niej, o wszystkim, co zwróciło twoją uwagę.

- Szczerze mówiąc, Ross, nie sędzę, żebym mogła ci powiedzieć coś, o czym jeszcze nie słyszałaś.

- Pozwól, że sam to ocenię - uciał suchym, służbowym tonem.  
Opowiedziała mu więc o swojej uczennicy.

Jennifer McCallum, biologiczna córka Jeremiaha Kincaida i Mary March, którą potem adoptowali Jessica i Sterling McCallumowie, wiele przeszła w ciągu pięciu lat swego młodego życia. Najpierw była podrzutkiem znalezionym na schodach domu rancza Kincaid. Potem pewna nikczemna kobieta porwała dziecko. Na szczęście Jenny odnaleziono całą i zdrową, a porywaczkę ujęto. W wieku trzech lat nieszczęsna dziewczynka zapadła na białaczkę. Przez długi czas obawiano się, że umrze. Szczęśliwie pojawił się jej przyrodni brat, Wayne Kincaid, o którym długo nie było żadnych wieści. Okazał się idealnym dawcą szpiku do przeszczepu, który uratował Jenny życie.

- Obecnie - wyjaśniła Lynn - jej stan ustabilizował się, o czym na pewno wiesz od lekarza.

- Tak, to już wiem.

- W szkole radzi sobie bardzo dobrze, o czym też chyba wspominałam.

- Owszem, wspominałaś - roześmiał się swobodnie. Sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Napięcie Lynn

też opadło. Niebezpieczne chwile na górze zdawały się być tak odległe w czasie i w przestrzeni, jakby przydarzyły się dwojgu innym ludziom.

- Dobrze, co jeszcze?- nalegał. Zastanawiała się przez chwilę.



- Pod względem towarzyskim jest jak marzenie: otwarta, łatwo nawiązuje przyjaźnie. Rozmawiając z nią, nie uwierzyłbyś, że tyle przeżyła, zachowuje się tak, jak gdyby nie zaznała niczego poza miłością.

- Twierdzisz, że łatwo się zaprzyjaźnia?

- To mało powiedziane. Na pewno słyszałeś, jak ją nazywają: Aniołek z Whitehorn. Brzmi to banalnie, ale dobrze oddaje istotę rzeczy. Taka właśnie jest Jenny.

- A Sara Mitchell?

- To prawda, co mówiła Sara, dziewczynki są przyjaciółkami od serca. Spędzają razem cały wolny czas. Wciąż wymieniają się swoimi rzeczami, pudełkami na kanapki, piórnikiem, sweterkami i spinkami do włosów, czym się da. Na początku starałam się kontrolować tę wymianę, ale skoro ani Danielle, ani McCallumowie nie przywiązywali do tego wagi, dałam spokój. Dziewczynkom sprawia to mnóstwo radości, a w końcu zawsze wychodzi po równo. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Ross przebiegł spojrzeniem po twarzy Lynn.

- Sara i Jennifer to twoje ulubienice, prawda?

Czyżby jej sympatia była aż tak oczywista? Starła się nadać rysom surowy wyraz.

- Dobry nauczyciel nie wyróżnia żadnego z uczniów.

- Jednak w głębi serca czujesz do nich słabość.

Po tym, co zdarzyło się na górze, miała wątpliwości, czy akurat Rossowi powinna zwierzać się z tego, co czuje w głębi serca. Ale czyż

nie cofnęli się znad krawędzi? Połączył ich milczący układ. Przekazuje mu potrzebne informacje, a potem on odwiezie ją do samochodu. I tyle. W końcu rozmawiają tylko o Sarze i Jenny. Nie ma w tym niczego osobistego.

Miała ochotę ściągnąć piękne pantofelki, które trochę cisnęły. Nic zdrożnego, po prostu wsunie je na nogi, kiedy będą wychodzić. Zzula buty, zawinęła nogi bokiem pod siebie.

- Obiecuj, że nikomu nie powiesz - rzuciła żartobliwe ostrzeżenie.

Odstawił kieliszek na stolik i z powagą uniósł prawą dłoń gestem przysięgi.

- Masz moje słowo. A teraz przyznaj się, są twoimi pupilkami czy nie?

Lynn westchnęła z komiczną rezygnacją.

- Tak, muszę przyznać, że w duchu je faworyzuję.

- Dlaczego?

- Bo są takie urocze i spontaniczne. Uwielbiają szkołę, i tak bardzo... zachwycają się życiem. Wszystkim się interesują, są ciekawe świata. I do tego takie wygadane. - Zabawnie przewróciła oczami. - O, Boże, zwłaszcza Sara!

- Ale to nie wszystko?

- Nie rozumiem, co więcej chciałbyś wiedzieć?

- To niebieskookie blondyneczki, bystre i pełne życia. Tak jak ty.

- Ja? - Zmarszczyła brwi. - Nie... Przerwał jej w pół słowa:

- Przypominają ci siebie samą, kiedy byłaś w ich wieku, prawda?

- Mnie? - parsknęła z nutą szyderstwa. - Przyjrzałeś się im? To śliczne, małe dziewczynki.

- Ty też jesteś śliczna - wyznał to bez cienia emocji, jakby stwierdzał oczywisty fakt.

- Cóż... dziś wieczorem jestem inna niż zawsze. Nie jestem sobą.

- Śmiem wątpić.

- Ależ tak! Widziałeś mnie przecież po południu, przed moim urodzinowym spotkaniem z Gracie i Kim.

- Widziałem.

Nie spodobał jej się ten ton. Wyrażał o wiele więcej, niż mówiły słowa.

- Nigdy nie byłam taka jak Sara czy Jenny - oznajmiła z naciskiem.

I w tej samej chwili zaczęła się zastanawiać. Czyżby jednak? Czy kiedy miała pięć lat, a mama jeszcze żyła, była podobna do Sary i Jenny? Miła i rozmowna, pewna, że cały świat i wszystko wokół istnieje po to, by mogła się tym cieszyć i odkrywać dla siebie?

Niełatwo było przywołać wspomnienia. Gdy wracała pamięcią do tamtych szczęśliwych dni, nieuchronnie ogarniał ją smutek. Matka umarła, kiedy Lynn miała osiem lat. Po jej śmierci po raz pierwszy zaczęła tyć. Był to niezwykle trudny okres. Nie tylko straciła ukochaną matkę, ale miała wrażenie, że ojciec również się od niej

oddalił. Horace Taylor bez reszty pogrążył się w rozpacz i tęsknocie za żoną. Oboje byli bardzo samotni.

Wtedy jej ojciec poznał Jewel Hollis, która zatrudniła się jako urzędniczka w ich sklepie z artykułami metalowymi. Mąż porzucił ją z dwiema córkami. Horace poślubił Jewel i adoptował Trish i Arlene. Mieli zostać jedną rodziną, jak mówił. On, Jewel i trzy dziewczynki: Arlene, Lynn oraz Trish. Przekonywał, że rodzina jest najważniejsza, że to jedna z najcenniejszych wartości na świecie, cenniejsza niż wszystkie klejnoty i złoto. Lynn mu wierzyła. Od tej pory ojciec wydawał się nie być już tak samotny. A Lynn chciała, żeby wszyscy byli szczęśliwi.

Szybko zorientowała się, że szczęście można zapewnić rodzinie tylko w jeden sposób - robiąc wszystko, czego życzy sobie macocha. Że tylko w ten sposób wkradnie się w jej łaski i stanie się jej córką. Jewel miała dwie urocze, śliczne i rozpieszczone dziewczynki, które faworyzowała. Spełniała ich wszystkie zachcianki. Potrzebowała kogoś odpowiedzialnego, na kogo mogła liczyć.

Lynn wzięła na siebie rolę tej, na której można polegać. Skromnej, uległej, pozostającej w cieniu, obowiązkowej. Była wysoka i niezgrabna, ale za to pracowita jak prawdziwy kopciuszek. Harowała, pomagała Jewel przygotowywać posiłki i zmywać naczynia, sprzątała po Arlene i Trish. Siostry nie miały czasu na domowe obowiązki. Nauka nie szła im tak łatwo jak

Lynn i nie miały zamiaru marnować czasu na pracę. Wolały spędzać go na zabawie z przyjaciółmi.

- Założę się, że byłaś ładnym dzieckiem - drażył Ross. -I że byłaś dobrą uczennicą, ale wygadana i żywą dziewczynką, że często się śmiałaś i nauczyciele zwracali ci uwagę...

Lynn uśmiechnęła się w duchu na myśl o Sarze chichoczącej radośnie i obiecującej zasnurować buzię.

- Może - przyznała z lekkim smutkiem - ale to było dawno temu. Jakim cudem zdołaliśmy tak zboczyć z tematu?

- Naturalną kolejną rzeczą - odparł swobodnie. - Od twoich ulubionych uczennic przeszliśmy do tego, dlaczego są tak lubiane.

- Ale nie mieliśmy rozmawiać o mnie.

- Byłem ciekaw, to wszystko.

- I zaspokoileś swoją ciekawość?

- W pewnym stopniu.

Co to mogło znaczyć? Czują, że mądrzej będzie nie pytać.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć o Jenny?

- Chyba mam już pewien pogląd na sprawę. Zastanawiam się, czy nie mogłabyś napisać streszczenia tego, co mi opowiedziałaś. Stroniczkę, góra dwie, załączę to do jej akt.

- Jasne. Dostarczę ci jutro albo pojutrze. Wystarczy?

- W zupełności.

Lynn zerknęła na duży zegar na kominku. W tym samym momencie rozległo się pojedyncze uderzenie. Ósma trzydzieści. Spuściła nogi.

- Powinam już iść.

Ross skwitował to milczeniem.

Pochyliła się, by założyć pantofle. Gdy znów się wyprostowała, napotkała jego natarczywy wzrok. Uprzedziła jakiegokolwiek uwagi:

- Ross, proszę, naprawdę robi się późno.
- Ósma trzydzieści to nie jest późna pora.
- W domu będę koło dziewiątej, a jutro idę do szkoły.
- I co z tego? Żyj niebezpiecznie, ryzykuj!

Żyj niebezpiecznie... Nie powinien tego mówić. Chwile na górze wróciły z całą wyrazistością. Sama myśl o nich pozbawiała ją tchu. Stali przy tym śmiesznym stoliku o rzeźbionych nogach, jej podbródek spoczywał w jego złączonych dłoniach jak w kołysce, a jego usta musnęły przelotnie jej wargi z oszałamiającą słodyczą.

Z drżeniem serca usiłowała odpędzić te niestosowne myśli.

- Jak na jeden wieczór chyba wystarczy ryzyka.
- Nie, Lynn - zaprzeczył stłumionym głosem. - Ty tylko flirtowałaś z niebezpieczeństwem. Nic więcej.

- Jak dla mnie to i tak za dużo - rzuciła cierpko. - Z pewnością więcej niż to, na co mogę sobie pozwolić.

- Ale mniej, niż byś chciała.

Na końcu języka miała kolejną zgryźliwą uwagę, jednak się powstrzymała.

- Co chciałaś powiedzieć? Mów!

W oczach Rossa zapłonęło zdradzieckie światełko pożądania. Rozbudzone ciało zareagowało natychmiast - poczuła się słaba i uległa. Ogarnęła ją przemożna tęsknota za dotykiem tego nieodgadnionego mężczyzny.

- Muszę już iść - ucięła krótko.

Ten ton zostałby bezbłędnie zrozumiany przez jej małych podopiecznych. Ostrzegając, że nie należy przeciągać struny. Ross również odczytał przesłanie.

- Dobrze - powiedział cicho, ogarniając Lynn nieprzeniknionym spojrzeniem.

- Wezmę tylko płaszcz i...

Urwała, bo zerwał się raptownym, zaborczym ruchem, który przeraził ją i zafascynował zarazem.

- Ross, nie... - To było wszystko, co zdołała powiedzieć. Schwycił ją za ręce i przygarnął do siebie.

- Tylko jeden pocałunek - nalegał.

Walczyła ze sobą, by nie poddać się jego wzbierającej dziką falą żądzy. Wparła dłonie w pierś Rossa, próbując go odepchnąć, i poczuła gwałtowne bicie jego serca.

- Twoje serce - szepnęła bezwiednie - czuję jego rytm.

- Lynn... - wymówił jej imię cicho, pieszczotliwie.

W jego oczach ujrziała obietnice, których, już wiedziała, nie miał zwyczaju składać. A może tylko tak jej się zdawało. Nic dziwnego, skoro przez całe życie śniła jasne, niewinne i pełne nadziei sny zwyczajnej, niezbyt ładnej i nieatrakcyjnej dziewczyny, cichej, sumiennej i rozsądnej.

- Wiesz dobrze, że nie skończy się na jednym pocałunku - zauważyła, gorączkowo odwołując się do tej drugiej, racjonalnej Lynn.

- Spróbujmy.

Wyprężyła ramiona, by utrzymać go na dystans.

- Nie prowokuj mnie, Ross. Nie w tej kwestii. Tu nie chodzi o zjedzenie kawałka ciasta.

Przygarnął ją mocniej do siebie.

- Doprawdy?

- Na pewno nie.

Jego wzrok zdawał się penetrować najbardziej skryte, intymne i niedostępne zakamarki jej duszy.

- A może cię trzeba prowokować? - rzucił zduszonym, poirytowanym głosem. - Pewnie gdzieś w głębi ciebie tkwi kobieta, którą trzeba uwolnić.

- Jeśli nawet, to ta kobieta należy do mnie. Nie możesz podjąć za mnie decyzji.

Dopiero te słowa go powstrzymały.

- Masz rację - przyznał. - Weź płaszcz i chodźmy.

Puścił ją i cofnął się o krok. Lynn pragnęła, żeby znowu mocno przygarnął ją do piersi.

Co się z nią dzieje? Jest przecież uczciwą, prostolinijną osobą. Nigdy nie zdarzało się jej mówić tego, czego naprawdę nie myślała. Przynajmniej nigdy dotychczas.

Od szafy przy drzwiach dzieliła ją spora odległość, zmusiła się, żeby ją pokonać. Kiedy otworzyła drzwi i spośród eleganckiej garderoby wyszukała swój prosty, brązowy płaszcz, zdała sobie wreszcie sprawę, jaka jest prawda.



Usłyszała za plecami odgłos zbliżających się kroków. Nagle Ross znalazł się tuż za nią. Bolesnie czuła jego obecność emanującą męskością. Był blisko, nazbyt blisko...

- Lynn... - Głos brzmiał łagodnie, kojąco, pieszczotliwie. Poczuła, jak miękną jej nogi, a ciało staje się bezwolne i drżące. Uchwyciła się kurczowo klamki i oparła głowę o framugę.

- Ja... nie chcę wyjść.

Rozpaczliwie szukał odpowiednich słów. Ale słowa nie były potrzebne. Lynn przymknęła oczy, nadaremnie usiłując znaleźć wsparcie w obojętnym drewnie.

- To szaleństwo - wykrztusiła rwącym się głosem. Czekwała, żeby coś powiedział, jednak Ross wciąż milczał.

Nie mogła zdobyć się na to, aby spojrzeć mu w oczy. Jeszcze nie była gotowa, najpierw musiała bez reszty wyświadczyć się z własnej głupoty.

- Wszystko jest nie tak - zniżyła głos do rozpaczliwego szeptu. - Moje szaleństwo mnie przeraża. Nigdy dotąd czegoś takiego nie robiłam. Właściwie cię nie znam. Przecież jestem nauczycielką, a nauczyciele powinni zachowywać się jak należy. Ale...

Zabrakło jej sił, by mówić dalej.

Po długiej jak wieczność chwili dotknął jej ramienia. Zesztywniała, broniąc się przed tym gestem, przed płynącą zeń życzliwością, która w jej mniemaniu graniczyła z czymś na kształt litości. Wołała, gdy ją prowokował. Och, wołała o wiele bardziej.

- Ciii... - uspokajał ją jak płaczące dziecko. - Spójrz na mnie, Lynn.

Niechętnie puściła klamkę i odwróciła się. Jego dłoń ześlizgnęła się i zacisnęła na jej dłoni.

- Spójrz na mnie i posłuchaj. Słuchasz? Przygryzła wargi i pokiwała głową w odpowiedzi.

- Jestem cholernie dobrym prawnikiem - oświadczył z niespodziewaną powagą.

Parsknęła śmiechem. Lecz ten śmiech miał zbyt wiele wspólnego ze szlochem.

- Co to ma do rzeczy?

- Wyjaśnię ci, jeżeli zechcesz posłuchać.

- Tak... dobrze.

- Jestem naprawdę dobrym prawnikiem. Prawdą jest również, że nie jestem dobrym człowiekiem.

Natychmiast odczuła nieodpartą potrzebę, by zaprzeczyć. Zauważył to. Położył jej palec na ustach, nakazując milczenie.

- Nic nie mów, słuchaj dalej. Ty za to jesteś fantastyczną kobietą. I to wcale nie z powodu wizyty w salonie piękności czy nowej, wystrzałowej sukienki. Masz otwarte serce, duży temperament i poczucie humoru. Świetnie sobie poradzisz. Na pewno znajdziesz księcia, na którego czekasz.

- Ależ...

- Czekaj, nie skończyłem. Zacisnęła wargi i skinęła głową.

- Ja nie jestem tym księciem. Nigdy nim nie byłem i nie będę.  
Rozumiesz?

Powinna znów przytaknąć, jednak nie potrafiła. Głęboko, w tajemnych zakamarkach serca, po prostu nie wierzyła w to, co mówił.

Ależ jesteś moim księciem! - wołało jej serce, podczas gdy rozsądniejsza część jej natury wymyślała jej po tysiąc razy od skończonych idiotek.

- Pragnę jednej nocy z tobą i niczego więcej - ciągnął nieubłagane Ross. - Może chciałbym czegoś więcej, gdybym mógł. Ale nie jestem tego wart. A ty... Myślę, że jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, jaka naprawdę jesteś. Kiedyś się dowiesz i wtedy będziesz się cieszyć, że nie oddałaś się komuś takiemu jak ja.

Przerwał, dając jej nareszcie szansę na odpowiedź. Zdawała sobie z tego sprawę, nie zdobyła się jednak na żadne słowa. Wpatrywała się w niego, a przez głowę przewijały jej się wszystkie powody, dla których powinna była natychmiast opuścić dom Rossa.

Lecz w tej miłosnej rozgrywce, w której namiętne noc kuszą przesyconą magią, racjonalne argumenty nie miały najmniejszych szans. Noc magii w porównaniu z nudną egzystencją grzecznego dziewczynki, która zawsze mówi to, co wypada, i robi to, co należy. Czar zaklęcia przeciwko noszeniu butów na płaskim obcasie i niemodnych brązowych spódnic. Cudowne uniesienia zamiast kowbojów, z którymi chodziła do szkoły, a którzy teraz mówili do niej „panno”, przylepiając jej etykietkę z bolesną definicją: stara panna. Dwudziestoczteroletnia.

Ross w sumie mówił to samo: Jest w tobie kobieta, którą trzeba uwolnić. Czyżby nie zauważył, że ta kobieta już się wyzwoliła z pomocą swojej przyjaciółki Danielle, dzięki subtelny zabiegom Gracie i Kim? Za sprawą czerwonej sukni i pięciocentymetrowych obcasów czerwonych pantofli?

A także dzięki niemu, Rossowi Garrisonowi. Dzięki kolacji przy świecach, butelce szampana i kawałkowi ciasta, który podał jej na czubku swojego widelca.

Ta kobieta była już uwolniona. A Lynn Taylor nie miała zamiaru zamykać jej ponownie w ukryciu. Przynajmniej na razie. Nie wcześniej niż z nadejściem poranka. Zanim ośmieli się zrobić to wszystko, na co odpowiedzialna Lynn nigdy by sobie nie pozwoliła. Nie wcześniej, niż uda się jej wycisnąć ostatnią kroplę piękna i czaru z chwil, które dzielą ją od... Czego? Północy? Tak. Oczywiście. Północ. Zostanie, dopóki zegar nie wybije dwunastej.

- Pozwól, że wyjmę ten płaszcz - odezwał się, puszczając jej dłoń, by sięgnąć ku drzwiom szafy.

Lynn cofnęła się, opierając o drzwi.

- Jedna noc - zapytała z drzeniem. -I nic więcej, tak? Ross zamknął oczy i potrząsnął głową..

- Lynn, do diabła, staram się grać uczciwie. Położyła dłoń na klamce, by nie mógł jej dosięgnąć.

- Jedna noc - powtórzyła. - Dziś.

- Przestań już - zaprotestował niskim, zniecierpliwionym tonem.

- Przykro mi, ale nie mam zamiaru przestać. Zakładam, że masz... to, co powinni mieć mężczyźni, żeby ich przyjaciółki nie popadły w tarapaty?

Stęknął, jakby właśnie dostał cios w żołądek.

- Nie wierzę własnym uszom - rzekł, niemalże tracąc oddech.

- Zaraz uwierzysz. Pytam, czy potrafisz zabezpieczyć mnie przed niepożądaną ciążą?

Ross zaklął.

- Potrafisz czy nie?

- Tak, do cholery, ale.

Uniosła rękę, tę drugą, która nie była zajęta powstrzymywaniem go przed otwarciem szafy i wyjęciem z niej pospolitego, brązowego płaszcza.

- Teraz ty mnie posłuchaj. Próbuję ci właśnie powiedzieć, że pragnę tej nocy tak samo, nie, bardziej, z pewnością bardziej niż ty. Chcę, żebyś... - Urwała na chwilę, zanim udało jej się wymówić te słowa. - Kochał się ze mną.

Pospiesznie zaczerpnęła tchu, nim zdążył jej przerwać.

- Chcę, żebyś mi pokazał... jak może być. Chcę, żebyś mi ofiarował tę jedną noc, skoro, jak mówisz, to wszystko, na co cię stać. Potem możemy się już nigdy nie zobaczyć i jedyne, o co proszę, to... byś trzymał język za zębami. Potrafisz?

- Lynn, nie wierzę własnym uszom.

- Powtarzasz się.

- Do diabła, Lynn, tak nie można. Niecierpliwie cmoknęła językiem.

- Och, Ross, posłuchaj tylko siebie! Mówisz jak dobry człowiek, którym, jak sam przed chwilą twierdziłeś, nie jesteś.

- Fakt, nie jestem dobrym człowiekiem - wycedził przez zęby.

- Otóż to. I chcesz się ze mną kochać.

- Nieważne, co chcę.

- Nie? - Śmiało powędrowała spojrzeniem w dół, wzdłuż eleganckiego rudozłotego puloweru i dalej, poniżej drogiego, skórzanego paska. Bez trudu rozpoznała wybrzuszenie w skądinąd doskonale skrojonych spodniach. Mimo że brak jej było praktyki, dobrze pamiętała lekcje wychowania seksualnego w szkole. Wyraźnie widziała, że jej propozycja spotkała się z reakcją.

Ross ponownie wydał z siebie niski, jeszcze bardziej desperacki jęk.

- Powiniennem mieć dość rozumu, żeby nie zdejmować marynarki - szepnął.

Spojrzała mu w twarz i nagle opadła z niej cała wyzywająca nonszalancja.

- Mówię to, co myślę - wyznała szczerze. - Naprawdę tego pragnę, Ross, bardzo. I masz moje słowo, że o nic więcej cię nie poproszę. Jeżeli kiedyś spotkamy się na ulicy, obiecuję uśmiechnąć się uprzejmie, powiedzieć dzień dobry i najzwyczajniej w świecie pójść w swoją stronę.

Wbił w nią przenikliwe spojrzenie.

- Pójść w swoją stronę?

- Tak. Nie wierzysz mi?

- Do diabła! - Nic innego nie przyszło mu do głowy. Cholera, wierzył jej. Dobrze, powinien się ucieszyć, przecież o to właśnie mu chodziło, czyż nie? Jedna noc z nią, jeden mały sekret, którego nikt nigdy nie pozna, bo nie są na tyle głupi, by się nim z kimkolwiek podzielić.

- Mam nadzieję, że mi wierzysz - oznajmiła z powagą. - Bo mówię prawdę.

Zapadło ciężkie milczenie. Mierzyli się nawzajem wzrokiem niczym przeciwnicy przed walką, a powietrze zdawało się gęstnieć od napięcia.

- Czy mam cię błagać? - przerwała ciszę łamiącym się głosem.

Dzieliło ich mniej niż pół metra. Ross zlikwidował ten dystans, zagarniając Lynn w ramiona w chwili, gdy postąpiła ku niemu.

- Jesteś pewna? - spytał, tuląc ją, z twarzą w jej włosach.

Przytaknęła z głową opartą o jego ramię. Wszelkie wątpliwości prysły, gdy tylko poczuła jego bliskość, ramiona oplatające ją w sposób, który najzupełniej przeczył temu, co mówił. Temu, że chodzi tylko o tę jedną noc. Wszystko w tym mężczyźnie zdawało się krzyczeć, że już nigdy jej nie opuści.

- Jestem pewna - odszepnęła, odganiając niespokojne myśli o kłamstwach, do których będzie musiała się uciec, jak też o swoich powinnościach odpowiedzialnej pasierbicy Jewel Hollis Taylor, która nigdy, przenigdy nie zrobiłaby czegoś tak szokującego. Dzisiejszej

nocy, tej jedynej nocy kopciuszek chciał być kimś innym - Śpiącą Królową, Brzydkim Kaczątkiem przemienionym w łabędzia i wieloma innymi postaciami z pięknych bajek.

Dzisiejszej nocy była damą w czerwieni. Tą, którą ujrzała w lustrze w salonie piękności. Kobieta, która podejmowała napotykaną na swej drodze wyzwania. Która miała odwagę balansować na krawędzi i porywać się na ryzyko. Która śmiało mówiła, czego pragnie, i starała się to zdobyć.

Dzisiejszej nocy, tylko przez tę jedną noc, księżniczka z bajki nie miała nic na sobie.

Scandalous



## ROZDZIAŁ 6

Wciąż tkwili w holu przy wejściu, kiedy Ross zaczął całować Lynn opartą o drzwi szafy. Z początku subtelnie, delikatnie, jak gdyby bał się sprawić jej ból. Raptem poczuła jego język, który zdawał się prosić o gościnę. Powoli, lecz bez ociągania, otworzyła się dla niego.

O, Boże! Namiętny pocałunek wzbudził w niej niebezpieczną żądzę. Gładził ją i pieścił, zostawiając lekki ślad brandy, kawy, czekolady... Drżała, a jej piersi wypełniły się rozkosznie bolesnym uczuciem, gdy przeniknął przez nie dreszcz wprost do serca.

Dłoń mężczyzny ześlizgiwała się w dół, przyciągając jej ciało. A potem... ocierał się o nią pożądliwie, nagłaco. Poczuła, jak ogarnia ją ciepło, rozchodzące się stamtąd, z dołu. Jakby coś topiło się w płomieniach.

Lynn nigdy jeszcze nie zaznała podobnego uczucia. Czytała niejednego romans, siedząc wygodnie w fotelu, z filiżanką herbaty w ręku, i w szczególnie gorących scenach zdarzało się jej wyobrazić sobie, iż to ona jest jego bohaterką. Ale w prawdziwym życiu? Nie zdarzyło się nic choćby odrobinę podobnego. Na pewno nie było to muśnięcie ust, którym obdarzył ją jeden z tych nieśmiałych chłopców z uniwersytetu w Montanie. Spłoszyła się wówczas i zawsze tego żałowała.

Ross całował ją coraz namiętniej. Jego język nurkował coraz głębiej w otchłań jej ust. Nogi odmówiły Lynn posłuszeństwa.

Uczepiła się szerokich męskich ramion, nieświadomie wydając jęk, i przywarła udami z całej siły do jego ciała, przepelniona pragnieniem, by wtopić się w nie, łącząc twardość i miękkość w jedną całość.

Ross nagle odjął usta od jej warg. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Czemu przerwałeś? Wszystko jest w porządku... Zmarszczył brwi.

- Jesteś pewna?

- Przecież powiedziałam, prawda?

Zaśmiał się cicho, trochę szorstko i niezmiernie pociągająco.

- Prawda, powiedziałaś, ale zawsze warto się upewnić.

- W porządku, już sprawdziłeś. - Zabawnie zmarszczyła nos. - Nie musisz znowu pytać.

- Jak pani sobie życzy, panno Taylor.

Dotknęła warg Rossa. Wydawały się miękkie i ciepłe, odrobinę nabrzmiące od pocałunku, który ich przed chwilą połączył. Jego usta poruszyły się w bezdźwięcznej pieszczocie, muskając koniuszki jej palców. Czowała jego oddech na otwartej dłoni.

Ręka Rossa wciąż zataczała powolne, leniwe kręgi u dołu jej pleców. Potem wspięła się w górę, dotykając włosów. Ross bawiąc się długim pasmem, nawinął je sobie na palec.

Uśmiech na wargach Lynn był prawie niezauważalny, gdy spytała:

- I co teraz?

Oswobodził palec z pasma jej włosów.

- Pójdziemy na górę.

- Do... sypialni?

Skinał głową i ze zwinnością, od której oniemiała, ujął ją jedną ręką przez plecy, drugą pod kolana i uniósł wysoko w ramionach.

- Ross! - Krzyknęła ze śmiechem. - Co robisz?

- A jak myślisz? Niosę cię do łóżka.

Ruszył w kierunku szerokich schodów. Wchodził na nie powoli, tuląc ją do piersi. W połowie drogi zgubiła jeden ze swych czerwonych pantofelków. Zsunął się jej z pięty i mimo że starała się go utrzymać palcami, upadł na stopnie. Słyszała, jak stacza się w dół.

- Zaczekaj! - zawołała. - Mój but...

- Zostaw go na razie.

- Ale...

- Później go znajdziesz. Nigdzie sobie nie pójdzie.

W sypialni delikatnie posadził Lynn na łóżku, po czym ukląkł u jej stóp. Rozmarzona spoglądała na jego ciemną czuprynę, gdy z namaszczeniem zdejmował jej drugi pantofel.

- Ach... - westchnęła. - Mój książę. Ciągłe klęcząc, podniósł na nią wzrok.

- Mówiłem ci, nie jestem księciem.

Zaśmiała się gardłowo. Tej nocy stać ją było na wszystko - żeby śmiać się prowokacyjnie i żyć niebezpiecznie. W końcu na tę właśnie noc została kobietą w czerwieni!

- Jesteś moim księciem - powtórzyła śmiało.

- Wcale nim nie jestem.

- Owszem, jesteś. Ale nie denerwuj się, nie masz żadnych zobowiązań. Pamiętasz, był kiedyś taki program w telewizji pod tytułem „Królowa Jednego Dnia”?

Uniósł brew, nie przestając masować jej stopy.

- Jesteś za młoda, żeby pamiętać „Królową Jednego Dnia”.

Przekornie poruszyła palcami nóg.

- Istnieje coś takiego jak powtórki, Ross. To był świetny program. Miłe, średnio zamożne panie domu mogły włożyć koronę i futrzany płaszcz z trenem. Przez cały dzień były jaśnie paniami. No i nagrody, talony na zakupy i nowiutkie pralki z suszarką.

- Czy sugerujesz, że teraz jest podobnie?

- Tak, całkiem podobnie. Tylko nie zostałeś królową, lecz księciem. Moim księciem. Na jedną noc. - Kpiąco wzruszyła ramionami. - Przykro mi, ale pralki właśnie się skończyły. Dostaniesz tylko mnie.

Wieść, że nie dostanie nic więcej, nie zmartwiła go za bardzo. Nie przestał gładzić jej stopy, aż krótkie, gorące dreszcze przebiegały jej od palców, przez podbicie, ku kostkom i dalej w górę nogi.

Przymknęła oczy i wyszeptała:

- Musisz się z tym pogodzić. Jesteś moim Księciem Jednej Nocy.

Uniósł jej stopę i lekko uszczypnął palec zębami. Lynn zadrżała w rozkosznym dreszczu niemocy. Musiała oprzeć się na rękach. Jego dłoń przesunęła się pieszczotliwie na piętę, a potem powędrowała,

ciepła i niosąca rozkosz, w górę po łydce aż do wrażliwego miejsca pod kolanem.

- Dobrze. - Głos Rossa przypominał niski pomruk, dochodzący z głębi krtani. Na ten dźwięk jej zmysły zawirowały. - Będę twoim Księciem Jednej Nocy.

- Czy wspominałam, że nie masz szansy na płaszcz i koronę?

- Nie. Ale czy nie mówiłaś, że płaszcz był futrzany i miał tren?

- Aha.

- Chyba się bez niego obejdę. A korona?

- Brylantowy diadem, jeżeli dobrze pamiętam.

- Czy wyglądam na faceta, który założyłby diadem? Przechyliła głowę, przypatrując mu się badawczo.

- Nie w twoim stylu, co?

- Nie, nie w moim stylu.

- Dobrze, czyli wszystko jasne, nie dostaniesz korony ani płaszcza, ani nagród poza mną, a i to tylko na krótko.

- Czy słyszałaś, żebym narzekał?

- Oczywiście, że nie. Książęta nigdy nie narzekają.

Nie odpowiedział, przynajmniej nie słowami. Jego ręka ruszyła dalej, wsuwając się pod kaszmir spódnicy i wspinając się w górę, po udzie. Z jej piersi wyrwało się krótkie westchnienie. Potem dłoń zsunęła się, pieszcząc drugie udo i wylądowała znów na kolanie.

Ross pochylił głowę, jakby chciał się przyjrzeć temu, czego dotyka. Kiedy podniósł wzrok, jego oczy płonęły ciemnym blaskiem.

Powoli zaczął podnosić się z kolan. Stał wyprostowany, a Lynn oparła się na łokciach, by móc lepiej mu się przyjrzeć. Zaczął się rozbierać.

Najpierw zdjął platynowy zegarek i położył go przy łóżku. Potem ściągnął pulower i rzucił go w kierunku krzesła. Przyszła kolej na koszulę. Szybko, niemal brutalnie rozpiął pewnym ruchem mankiety, bez trudu uporał się z guzikami z przodu. Zrzucił koszulę i ją także cisnął na krzesło, gdzie leżał już sweter. Był nagi od pasa w górę.

Bez koszuli wydawał się jakby bardziej realny. Nie był to książę z jej marzeń, lecz żywy mężczyzna. Mężczyzna, którego właściwie nie znała, a który miał zamiar robić z nią coś, czego dotychczas nigdy nie zakosztowała.

Lynn nie czuła się już tak wolna i radośnie nieprzyzwoita jak kilka chwil wcześniej.

Jego klatka piersiowa była szeroka i potężna, usiana ciemnymi włosami, które schodziły wąską ścieżką w dół płaskiego brzucha. Spojrzała niżej i dostrzegła, że... jego podniecenie bynajmniej nie zmalało.

Poczuła suchość w ustach.

Powiedział coś, jedno tylko słowo, którego nie zrozumiała, ale niski ton jego głosu zabrzmiał dziko, potwierdzając to, co malowało się w jego oczach.

Wyciągnął rękę z dłonią zwróconą do góry. Był to uważny, kontrolowany gest.

Lynn pochodziła z miasta, ale dorastała pośród twardych mężczyzn, którzy pracowali przy zwierzętach. Odwiedzała okoliczne rancza, jeździła na wystawy hodowlane i na rodeo. Sposób, w jaki Ross wyciągnął do niej rękę, przywiódł jej na myśl kowboja zbliżającego się do narowistego konia. Każdy ruch musi być ostrożny i celowy, aby zwierzę nie rzuciło się do panicznej ucieczki.

- Weź mnie za rękę. - Był to rozkaz, choć wypowiedziany miękkim tonem.

Czy bała się?

Tak, na pewno. Przerazała ją w nim ta męska siła. A także myśl o tym, co będzie teraz z nim robić - co mogło przynieść jej rozkosz, ale również sprawić ból. I z pewnością przyniesie ból, bez względu na to, jak bardzo Ross będzie delikatny.

- Lynn, weź mnie za rękę - powtórzył.

Jest za późno, żeby się wycofać, pomyślała, siadając prosto i wyciągając ramię.

Palce Rossa uchwyciły jej dłoń. Powoli pomógł Lynn wstać i położył sobie jej dłoń na piersi. Dotknęła jedwabistych, lekko kręconych włosów, czuła unoszenie się żeber, gdy oddychał. I wyraźnie wyczuwała bicie serca.

Bicie jego serca. Ten sam rytm, który czuła na dole, kiedy ją całował, a nawet wcześniej, gdy mówił o tym, że musi wyzwolić w niej kobietę.

I oto zaraz osiągnie tę wolność.

W tym momencie ogarnęła ją panika.

Tymczasem z dołu rozległo się bicie zegara. Żadne z nich nie odezwało się dopóty, dopóki nie przebrzmiało ostatnie, dziewiąte uderzenie.

Dopiero wtedy Ross przerwał ciszę:

- Jeżeli chcesz, możemy się jeszcze zatrzymać. W jego oczach czytała coś wręcz przeciwnego.

Nie wiedziała, co by zrobił, gdyby powiedziała: dobrze, odwieź mnie do domu. Rozmyślałam się. I nigdy nie miała się dowiedzieć, jak by postąpił, nie zamierzała bowiem się wycofać.

Zamknęła oczy i potrzęsnęła głową.

- Nie. Chcę zostać. Naprawdę.

Poczuła, jak jego pierś opada, gdy z ulgą wypuścił powietrze.

- To dobrze.

Pochylił się i musnął ustami jej wargi, policzek, skroń. Czule schwycił pasemko jej włosów między wargi i delikatnie pociągnął.

Westchnęła przeciągle, urywanie, a jej dłoń bezwiednie zwinęła się w piastkę i mocno wsparła o jego nagą pierś.

Nagi. To słowo utkwilo jej w myślach. Brzmiało surowo i groźnie.

Już za kilka minut, była tego pewna, będzie chciał, żeby i ona zaczęła się rozbierać. Zobaczy ją bez ubrania! Czy spodoba mu się?

Miała taką nadzieję.

W końcu była teraz szczuplejsza niż kiedyś. Brzuch nie wystawał, przynajmniej niewiele, a piersi były... w porządku. Naprawdę bez zarzutu. Czy jednak na pewno?



Nogi miała długie. To jedyna korzyść z wysokiego wzrostu - ma się długie nogi.

Ale mimo wszystko... czy okaże się wystarczająco ładna? Bez swojej czarodziejskiej czerwonej sukni?

Pod spodem miała zwykłą bawełnianą koszulkę. A stanik i majteczki... były białe. Zwyczajne do znudzenia, tak samo jak rajstopy z kiosku. Wszystko pod suknią należało do kobiety w brązowej spódnicy.

Czy gdy Ross to zobaczy, zdziwi się, czemu właściwie pragnął, żeby została?

- Odwróć się - szepnął, owiewając jej skroń oddechem.

- Słucham?

- Po prostu się odwróć.

- Och, nie wiem...

- Zrób to.

Położył jej ręce na ramionach i powoli obrócił tak, że znalazła się plecami do niego. Mogła teraz podziwiać rozległą przestrzeń łóża. Dłonie Rossa ześlizgnęły się z jej ramion, by oprzeć się o zaokrąglenie bioder.

- Lepiej? - zapytał.

Było lepiej. Teraz nie musiała myśleć o tym, na jaką część jej ciała patrzył. Poczowała, że jego ręce znów się poruszyły. Sięgnęły do suwaka sukni.

Delikatnie odgarnął na bok jej włosy, a potem rozpiął suwak z niekończącym się, trudnym do zniesienia dźwiękiem. Poczowała na

plecach podmuch chłodnego powietrza, a potem jego usta na karku, jego oddech na skórze. Zamknęła oczy i zdusiła jęk, podczas gdy Ross rozchylił kaszmir i zsunął jej suknię z ramion. Góra sukni opadła, a on pociągnął ją w dół, dopóki nie opadła na ziemię.

Nie śmiała spojrzeć, ale wiedziała, że się odwrócił. Słyszała go, odczuła nagły chłód, gdy odsunął się od niej, by położyć sukienkę na krześle. Jednak zaraz powrócił. Jego ręce znalazły się znów na jej ramionach, grzały jej nagą skórę, gdy zsuwał ramiączka jej koszulki. -

Jego usta znalazły się tuż przy jej uchu.

- Pomóż mi, Lynn. Tylko trochę.

Posłuchała czulego rozkazu, wysuwając ramiona z koszulki i ściągając ją przez biodra. Rzuciła ją tam, gdzie położył sukienkę.

Usłyszała pełen aprobaty pomruk. I znowu poczuła dotyk tylko jednego palca u nasady szyi. Przesunął nim w dół, wodząc powoli wzdłuż wszystkich kręgów i zatrzymując wędrówkę na zapięciu stanika. Lynn wstrzymała oddech i zaraz wypuściła powietrze, gdy palec ruszył w dalszą drogę i zatrzymał się, dotarłszy do gumki rajstop.

- Ładna - szepnął - taka miękka.

Uśmiechnęła się do siebie. Musiał mówić o niej, o jej skórze, o jej ciele. Z całą pewnością nie miał na myśli prostej bielizny bez ozdób.

Twarde jak stal ramię objęło ją i poczuła delikatny, lecz stanowczy nacisk. Jęknęła, gdy legł na niej całym swoim ciałem. Byli

wsparci o siebie biodrami. Poczwała, jak bardzo jest podniecony, i jęknęła.

Objął ją również drugą ręką. Zerknęła w dół i ujrzała jego opalone dłonie na białej bawełnie stanika.

- Och... - westchnęła z drzeniem.

Była pewna, że wyczuwał stwardniałe brodawki nawet przez materiał. Pieścił je kciukami.

- Ojej....

Zaśmiał się cicho prosto do jej ucha, a dźwięk był tak samo podniecający jak pieszczota jego rąk. Całował włosy Lynn, coraz niżej i niżej, aż położył usta na jej szyi. Poczwała wilgotne ciepło języka zataczającego kręgi na wrażliwej skórze karku.

Wciąż przytulając ją jedną ręką, drugą zsunął ramiączka stanika. Chwilę później stanik opadł poniżej pasa, a jego ręce utuliły nagie piersi.

Pozwoliła głowie przechylić się na jego ramię. Powieki same się zamknęły.

- Powiedz, że tego nie robię, Ross.

- Przykro mi, pani Taylor, ale robi to pani...

Wsunął rękę między ich splecione ciała i z podejrzaną zręcznością rozpiął biustonosz. Lynn nie zadała sobie nawet trudu, by spojrzeć, gdzie spadł. Prawdę mówiąc, nie miała zamiaru otwierać oczu, przynajmniej na razie.

Było to absolutnie wspaniałe uczucie, ale już dawno przekroczyła granicę ryzyka, więc nie chciała kusić losu. Nie otwierała oczu.

Jego ręce wznowiły badawczą wędrówkę po jej ciele. Prawa zsunęła się poprzez brzuch - niżej. Zadrżała i ponownie wydała z siebie cichy, zachłanny jęk, gdy dłoń wsunęła się między jej uda.

Dotykał jej. Tam.

Znów przeszył ją dreszcz. Czowała własną wilgoć. Zastanawiała się, czy i on ją czuje przez materiał majteczek i rajstop. Przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie - czy to możliwe, żeby mogła być jeszcze bliżej?

Szepnął jej coś cicho do ucha. Być może powiedział „tak” lub coś zupełnie innego, może nawet nie było to słowo. Poczowała pieśczętę między udami. Była pewna, że zemdleje.

Wtedy nagle przerwał ten zmysłowy uścisk, by zdjąć jej rajstopy i majteczki. Włożył powoli, lecz pewnie palce pod obie gumki i zsunął je w dół.

Pomogła mu. Ślepo, wciąż nie mając odwagi spojrzeć. Ich ręce spotkały się w okolicy talii - i poniżej. Nylon nie chciał ustąpić. Wspólnie próbowali pokonać jego opór, co chwila splatając palce w rosnącym pośpiechu. Wspólnymi siłami udało im się zsunąć tkaninę z bioder. Dalszym ciągiem Lynn zajęła się sama, ściągając rajstopy z kolan i kostek, a w końcu strząsając skłębione zawiniątko niecierpliwym ruchem stopy.

Wyprostowała się, wciąż z zamkniętymi oczami, odwrócona do niego tyłem. Czekał na nią. Gdy ją obejmował, czuła grę twardych, gorących mięśni. Zaczął jej dotykać, teraz do woli pieszcząc piersi i brzuch, aż poniżej.

Dotykał tam, w najintymniejszym miejscu. A ona nie miała nic, ani skrawka bawełny czy nylonu, by ją chronił przed tym dotykiem.

- Aaaa...

Czy wydała ten odgłos? Czy rozległ się jedynie w jej głowie? Nie wiedziała. Nie potrafiła oddzielić jednego doznania, jednego dźwięku od drugiego. Jego ciało stało się jej ciałem.

Wszystko magicznie, wspaniale wymykało się spod kontroli.

Nie mogła dłużej ustać na nogach. Pochyliła się do przodu i wsparła o łóżko. Pochylił się wraz z nią, nie puszczając jej, nie wyjmując ręki z najtajniejszego miejsca.

Eksplozja. Pulsująca erupcja najczystszej zmysłowości.

Wtedy naprawdę krzyknęła, odrzucając głowę do tyłu. On jednak gładził ją dalej, dopóki pulsowanie nie objęło jej całej, wędrując do wszystkich zakończeń nerwowych, rozlewając się po całym ciele feerią gorąca i światła.

Jęknęła płaczliwie, wyprężyła się. I zwisła bezwładnie.

Delikatnie pomógł jej położyć się na łóżku. Leżała tam na boku, z zamkniętymi oczami. Czuła się bezwładna i miękka, jakby pozbawiono ją kości. Ross przytulił się do niej, kładąc się za jej plecami, tak że wyglądali niczym łyżeczki w szufladzie. Jego szeroka

pierś chroniła jej plecy, a nogi, wciąż tkwiące w spodniach, obejmowały jej nogi.

Mijały minuty. Nie wiedziała, jak długo to trwało, ale był subtelny i czuły, zupełnie taki, jaki powinien być książę. Gładził jej ramię, dotykał włosów.

W końcu ją zostawił. Nie zmieniła pozycji, bojąc się spojrzeć, kiedy poczuła, jak łóżko faluje i unosi się, gdy Ross siadał na brzegu.

Zdejmował resztę ubrania. Słyszała, jak jeden po drugim upadły na podłogę buty. Łóżko poruszyło się ponownie, gdy pozbył się skarpet, i raz jeszcze, kiedy wstał. Potem był świst paska wysuwającego się ze szlufek i kolejny - rozpinanego rozporka, a potem szelest zrzucanego ubrania.

Usłyszała, jak otworzył szufladę - tę w szafce przy łóżku. Coś z niej wyjął. Zamknął szufladę. Potem dobiegł do jej uszu dźwięk rozdieranego opakowania.

Jeszcze mocniej zacisnęła powieki. Brak jej było doświadczenia, ale wiedziała wystarczająco dużo, by wiedzieć, iż zabezpieczał się, aby uchronić ją przed zajściem w ciążę.

Łóżko kolejny raz się ugięło i był znów przy niej, przytulił się do niej, tym razem nagi, tak samo jak ona. Tak dobrze było poczuć jego ciepło. I teraz... teraz czuła jego twardość bardzo intymnie.

Chwyił ją za ramię. Nie chciała znaleźć się z nim twarzą w twarz, ale wiedziała, że nadszedł na to czas.

Pozwoliła się obrócić. Leżała teraz na plecach, lecz nie potrafiła się powstrzymać, by nie skrzyżować rąk na piersiach.

- Dalej, Śpiąca Królewno - zachęcał cicho, czule. - Otwórz oczy.

Spojrzała na niego. Uśmiechał się, dokładnie takim uśmiechem, jakiego w tej chwili najbardziej potrzebowała. Równie czułym i subtelnym jak jego dotyk.

- W porządku? - szepnął.

Kiwnęła głową, nie odrywając oczu od jego ust. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Położył rękę na jej brzuchu i powoli przesunął ją niżej. Zesztywniała.

- Nie?

Znowu jęknęła i kiwnęła głową.

- Tak - szepnęła. - Tak, tak.

Dotknął jej więc znowu tam, gdzie była już bardzo wilgotna. Od nowa rozpoczął pieszczotę. W odpowiedzi jej ręce wyciągnęły się do niego. Opuścił głowę i skosztował jej bezbronnych piersi, całując je na zmianę i ssąc leciutko stwardniałe od pożądania brodawki.

Przyciągnęła go do siebie, gdy poczuła, że jej ciało gotowe jest na spełnienie. Rozsunęła szerzej nogi, by dać mu do siebie lepszy dostęp.

Wziął to, co mu ofiarowała. Jego potężne ciało przygniotło ją troszeczkę, kiedy układał się wygodnie między jej udami.

Czuła go tam. Zszokowana, przygryzła wargi i wbiła wzrok w jego twarz, szukając - czego? Potwierdzenia?

Nie znalazła go. W tej chwili nie mógł jej już pomóc. Zmienił się. Wyglądał dziko i prymitywnie, górując nad nią. Przepadły wszelkie szanse, by się wycofać.

Naparł pewnym, silnym pchnięciem bioder. Bolało. Ale nie bardzo. Delikatne mięśnie w jej wnętrzu, rozluźnione dzięki jego zabiegom, ustąpiły, by dać mu miejsce.

Naparł znowu. Tym razem krzyknęła. Pochylił usta ku jej wargom, jakby chciał spić z nich ból, wessać go i obrócić w rozkosz. Szepnął jej imię. Rozchyliła wargi, a jego język zanurzył się w nich, gorący i niespokojny.

Kolejny ruch bioder.

Był w niej.

Jęknęła prosto w jego usta. Pił także i ten dźwięk w nienasyconym pocałunku. Jego biodra przyciśnięte do jej bioder zastygły w bezruchu.

Z jękiem przerwał pocałunek. Ukrył twarz na jej ramieniu.

I zaczął się poruszać.

Bolało. Paliło. Czują się rozdzierana na pół.

Mimo to uniosła nogi i objęła go nimi, instynktownie wiedząc, że jeżeli odda mu się zupełnie, jeżeli nie będzie się mu opierać, nie będzie tak bolało.

I nie bolało. A raczej, chociaż wciąż bolało, pod bólem kryła się rozkosz.



Rosnący blask rozkoszy. Skupiła się na nim, myśląc o maleńkiej iskierce, która potrzebuje tylko paliwa, by rozbłysnąć najjaśniejszym płomieniem.

Poruszał się szybciej. Próbowwała poruszać się wraz z nim, lecz jego rytm był teraz dziki i nie potrafiła go powtórzyć, nie potrafiła wyzwolić w sobie tej małej, czarodziejskiej eksplozji.

Zesztywniał i poczuła w sobie jego pulsowanie. Przyciągnęła go do siebie, wbijając paznokcie w szerokie ramiona. Z jej ust dobiegały wyciszone, kobiece dźwięki, podczas gdy nim targała eksplozja.

W końcu opadł na nią bezwładnie całą swą masą, przygniatając ją i miażdżąc.

Przyjęła jego ciężar, tak jak wcześniej przyjęła inwazję w swoje ciało, poddając się mu. Przebiegła dłonią po szerokich plecach, potarła policzkiem o włosy.

Wyszeptał coś miłego, jakieś przeprosiny za to, że się pospieszył.

Lecz ona po prostu przytuliła go mocniej i nakazała łagodnie:

- Ciii...

Uśmiechnął się. Poczuła to jako ruch warg na swojej szyi. Westchnęła z zadowoleniem.

Wtedy usłyszała z dołu jedno uderzenie zegara. Dziewiąta trzydzieści.

- Nie słuchaj - mruknął niewyraźnie. - Jest jeszcze wcześniej.

Nic nie odpowiedziała, tylko w długiej, powolnej pieszczocie przesunęła dłonie w dół i w górę jego pleców.

- To przyjemne -westchnął- nie przerywaj.
- Dobrze.
- I nie myśl, że już niedługo pójdziesz.
- Czy powiedziałam, że chcę iść? Zaśmiał się.
- Nie, panno Taylor. Chyba nie.

Dobrze wiedziała, że powinna już iść. Im dłużej zostanie, tym większe będzie prawdopodobieństwo, że ktoś się dowie, jak spędziła noc swoich urodzin.

Ale z drugiej strony, ta jedna noc to wszystko, co mogło ją łączyć z Rossem. A potem nadejdzie jutro...

Błąd. Zły pomysł. Lepiej nie myśleć o jutrze. Wciąż trwała noc, jakiej jeszcze nie było w jej życiu. I prawdopodobnie nigdy nie będzie.

Nie miała zamiaru pozwolić się jej skończyć, przynajmniej dopóki nie wybije dwunasta.

## ROZDZIAŁ 7

Rozkoszowali się właśnie wspólną kąpielą, gdy zegar piętro niżej wybił dziesiątą. Siedzieli w olbrzymiej wannie, wyposażonej w rozmaite natryski i przyrządy do masażu. Lynn opierała się plecami o Rossa. Zanurzeni w pełnej bąbelków wodzie przysłuchiwali się kolejnym uderzeniom.

- To nic takiego. - Ross przytulił Lynn, zasypując gorącymi pocałunkami jej kark, skroń i policzek. - Dopiero dziesiąta - wyszeptał. - Jeszcze wcześniej, postaraj się nie myśleć o godzinie.

Rozgrzanymi dłońmi okrył jej delikatne piersi. Drażnione bąbelkami brodawki sterczały sztywno, raz po raz wynurzając się nieznacznie ponad wodę. Ross pieścił kuszące krągłości, czerpiąc radość z każdej wspólnej chwili.

- Nic takiego... - westchnęła. - Dziesiąta to rzeczywiście nic takiego. - Zręcznym ruchem wykręciła się tak, by usiąść twarzą do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję. Czuła się jak syrenka dryfująca w gorącej, pełnej bąbelków wodzie.

Objął ją ramieniem i zdecydowanym ruchem przyciągnął jej usta do swoich.

O dziesiątej trzydzieści byli z powrotem w łóżku. Bicie zegara brzmiało jak odgłos z innego, odległego świata. Uśmiechnęli się do siebie. Dopiero dziesiąta trzydzieści. Nadal mieli mnóstwo czasu.

O jedenastej powędrowali na dół i przypuścili atak na lodówkę. Karmił ją lodami waniliowymi prosto z pudełka. Gdy zegar wybijał

jedenastą, Ross przytrzymał łyżeczkę ze smakołykiem kilka centymetrów od ust Lynn. Pozwolił jej zjeść lody dopiero wówczas, gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie. Zaraz jednak przywarł ustami do jej warg, zmuszając dziewczynę do podzielenia się delikatnym kremem.

Nie protestowała.

Jeszcze chwila, a zapomnieli o zmorze zegara niczym kat czyhającego na ich szczęście. Jedenasta trzydzieści?

Minuty mijały jedna za drugą, lecz Lynn zupełnie nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Wrócili na górę, do wielkiego łóżka. Byli zbyt zajęci sobą, by zwracać uwagę na rzeczy tak prozaiczne jak bicie zegara. Lynn gotowa była przysiąc, że minęła zaledwie chwilka.

Tymczasem wybiła północ.

Drzemała, wtulona w ramiona Rossa, rozkoszując się błogim poczuciem bezpieczeństwa. Obudziło ją pierwsze, ledwo słyszalne, melodyjne uderzenie zegara.

Usiadła na łóżku, podciągnęła koc tak, że szczelnie zakrywał jej piersi, i skulona niczym przerażone dziecko odliczała kolejne uderzenia.

Ross usiadł obok niej.

Odwróciła się do niego.

- Północ. - Była oszołomiona. Jak to możliwe, że czas płynął tak szybko?

Wzdrygnęła się i zaczęła powoli wstawać z łóżka.

Zdecydowanym ruchem chwycił ją za ramię.

- Pora na przepytывanie. Obiecałaś.

Żelazny uścisk dłoni zdawał się przeczyć żartobliwemu tonowi głosu.

- Ross, naprawdę nie mogę zostać dłużej.

- Możesz. Jeszcze trochę. Tylko kilka godzin. Do rana jeszcze daleko. - Zwolnił uścisk, lecz nie zamierzał pozwolić jej odejść.

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Zresztą naprawdę nie byłoby to rozsądne z mojej strony.

- Do diabła z rozsądkiem! Zostań.

Nie musiała słuchać rozkazu. Ale to błagalne spojrzenie... Czy mogła mu się oprzeć?

- Zostań - powtórzył cicho.

- Ale nie na długo...

Z piersi Rossa wydobyło się tęskne westchnienie. Objął Lynn ramieniem i mocno przytulił do siebie.

Dobiegające z oddali bicie zegara obudziło Lynn. Odwróciła się, by zerknąć na budzik stojący na szafce nocnej obok telefonu.

Szósta.

To niemożliwe.

Tymczasem pokój rzeczywiście rozświetlały nieśmiało pierwsze promienie jesiennego słońca. Och, Boże!

Zacisnęła powieki, lecz to nie pomogło. Wspomnienia minionej nocy nie dawały spokoju. Te wszystkie niestworzone historie, które opowiadała. Te wszystkie niesamowite, szokujące rzeczy, które

robiła. Piła brandy. Sączyła szampana. Błagała Rossa, by się z nią kochał.

A on wysłuchał jej próśb. Niejeden raz.

Jeszcze mocniej zacisnęła powieki, lecz na niewiele się to zdało. Uchyliła je więc i zerknęła na Rossa. Leżał na brzuchu, twarzą zwrócony ku niej. Pościel zrolowała się na wysokości pasa, odsłaniając szerokie, muskularne plecy.

Spał. Nadal spał. A była już szósta rano, wschodziło słońce. Musiała się stąd wydostać.

Usiadła. Serce biło jej jak oszalałe. Adrenalina we krwi podniosła się na nieznany jej dotąd poziom.

Zastanów się chwilę, nakazała spanikowanemu umysłowi. Pomyśl logicznie.

A jednak czuła, że nie może pozwolić sobie na myślenie. Nie w takim momencie. Obawiała się, że każda myśl może wywołać kolejny atak paniki. Nie chciała zastanawiać się nad tym, co zrobiła. Miała przeczucie, że wpakowała się w niezłe tarapaty.

Targana sprzecznymi emocjami nie potrafiła zdecydować się na żaden ruch. Nie chciała myśleć o Rossie, a jednocześnie zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby się obudził i zobaczył ją w swoim łóżku. Na chwilę wyobraziła sobie, jak jego twarz rozpromienia się na jej widok. A jeżeli wcale nie zareagowałby uśmiechem? A jeżeli po obudzeniu zacznie się do niej odnosić z niechęcią, tak jakby wolał, by jej przy nim nie było?

Przywołała wspomnienie słów, jakie usłyszała od niego poprzedniego wieczora: „Chcę od ciebie tylko tej jednej nocy. Nic więcej”.

Nie, lepiej go nie budzić.

A więc co?

Wstać. Wydostać się stąd. To takie proste - wstać i wyjść.

Starając się nie robić hałasu, ostrożnie zsunęła się z łóżka. Na palcach, niemal bezszelestnie poruszała się po pokoju, usiłując odnaleźć rozrzucone, pośpiesznie zdejmowane części garderoby. Sukienka, koszulka i stanik wisiały na oparciu krzesła. Figi i rajstopy leżały skłębione na podłodze na środku pokoju. A buty...

Jeden znalazła bez trudu, leżał tuż obok łóżka. Bez namysłu chwyciła go niczym bezcenny skarb. Ale drugi? Jak przez mgłę przypomniła sobie schody. Tak, musi być gdzieś na schodach.

Wybiegła z sypialni i pomknęła po drewnianej podłodze. Minęła salon z jego wspaniałymi, skórzanymi meblami i oszałamiającymi kilimami na ścianach. Drzwi były otwarte. Żadne z nich nie pofatygowało się, by je zamknąć po powrocie na piętro. Przypomniła sobie kuchnię, delikatny smak lodów i zegar wybijający jedenastą. Pamięć lubi płatać figle - wspomnienie słodkiego smaku na języku ponownie zwróciło jej myśli ku mężczyźnie, z którym spędziła noc. Przecież zaraz potem przywarł wargami do jej ust i...

Nie, nie czas myśleć o pocałunkach.

Teraz jest rano. Najwyższa pora wracać do domu.

Wyszła z salonu i przebiegła przez hol. Przystanąła na szczycie schodów i nieskładnie zaczęła się ubierać. Rajstopy były podarte. Nie miała zresztą ochoty tracić na nie czasu. Rzuciła je na podłogę. Włożyła figi i biustonosz, by wreszcie wciągnąć wymiętą sukienkę. Przez dłuższą chwilę walczyła z zamkiem błyskawicznym, by w końcu zrezygnować. Wołała iść w niedopiętej sukience niż spędzić kolejne minuty w domu Rossa. Podniosła rajstopy z podłogi. Były całkowicie zniszczone, wiedziała, że są do wyrzucenia, lecz nie potrafiła ich tak po prostu zostawić. Nie chciała, by pozostał tu po niej jakikolwiek ślad.

Zbiegła ze schodów ze zwiniętymi rajstopami w jednej ręce i z pantoflem w drugiej. Niczym opętana rzucała się z kąta w kąt w poszukiwaniu drugiego buta.

Gdzież on się podział? Dokładnie pamiętała chwilę, kiedy zsunął się z jej stopy. To musiało być gdzieś tutaj. Przebyła już całą trasę z sypialni na parter, tymczasem po pantoflu nie było ani śladu. Zupełnie nic. Zawróciła i z powrotem wbiegła na schody. Nic z tego. Jego naprawdę tam nie było.

A to co? Ten hałas na piętrze?

Czyżby Ross już się obudził? Co będzie, gdy wyjdzie z sypialni i spotka ją, z obłędem w oczach biegającą tam i z powrotem w poszukiwaniu buta?

Daj sobie spokój z pantoflem. Po prostu daj sobie spokój.

Uciekaj.



Pomknęła przez przedpokój i zatrzymała się dopiero przy szafie. Nerwowo zerwała płaszcz z wieszaka, który zachwiał się, zatoczył kółko i upadł na podłogę. Próbowwała go schwycić w locie, lecz zrezygnowała. Cóż ją obchodził przewrócony wieszak? Czy to, w jakiej pozycji go zostawi, ma jakiegokolwiek znaczenie?

Wsunęła ręce w rękawy płaszcza i odruchowo poprawiła kołnierz. Chwyciła leżącą na szafce torebkę i wrzuciła do niej nieszczęsne rajstopy.

Zdażyła ostatni raz rozejrzeć się po holu i ruszyła w stronę drzwi. W jednej ręce niosła torebkę, w drugiej kurczowo ścisnęła pantofel.

Drzwi nie stawiały najmniejszego oporu - widocznie Ross zapomniał zamknąć je na klucz. Wystarczyło jedno pchnięcie, by znaleźć się na dworze. Nie chcąc narobić hałasu, zatrzymała się i bardzo ostrożnie zamknęła je za sobą. Odwróciła się plecami do domu, w którym tyle się wydarzyło, i pędem puściła się w chłodny, jesienny poranek.

Pod bosymi stopami czuła szorstkie, lodowate płyty chodnikowe. Zbiegła po szerokich stopniach kamiennych schodów prosto na długą, prowadzącą do szosy alejkę, po obu stronach wysadzaną wysokimi, okazałymi świerkami. Usiłowała nie zwracać uwagi na przeraźliwy chłód.

Mniej więcej w połowie drogi do szosy drzewa ustąpiły otwartej przestrzeni. Skończył się też chodnik, który zastąpiła droga gruntowa. Żwir i kamienie wbijały się w delikatną skórę jej stóp.

Nadal biegła. Przy każdym oddechu czuła, jak rześkie powietrze niczym miliony igieł drażni jej płuca. W oddali ukazała się dwupasmowa droga numer siedemnaście. Jeszcze kilkaset metrów i będzie na szosie.

I co dalej? Co zrobi, gdy już do niej dotrze?

Zatrzyma jakiś samochód?

Poprosi kogoś nieznanego o podwiezienie?

Nie, to się nie uda. Przecież nigdy nie miała szczęścia.

Zresztą ktokolwiek przejeżdżałby tą drogą, na pewno nie będzie to osoba nieznajoma. Przecież w miasteczku wszyscy się znają. Kogo mogłaby spotkać... Pewnie jakiegoś kowboja z jednego z pobliskich rancz. Kogoś, kto jedzie do miasta, by wypić z przyjaciółmi poranną kawę w Hip Hop Cafe.

Ale by miał uciechę...

„Podwiozłem dziś rano córkę Horace'a Taylora, tę młodą nauczycielkę. Stała przy szosie numer siedemnaście. Była bosa i wyglądała jak małe, dzikie zwierzątko. Coś mi się wydaje, że nie wróciła na noc do domu. Oj, tak... Nie chcę nic mówić, ale nie wyglądała za dobrze”.

Oczami wyobraźni widziała ludzi zgromadzonych w Hip Hop Cafe, słyszała, jak przekazują sobie z ust do ust niewiarygodną nowinę.

A Lily Mae? Kiedy ona się dowie, wszystko będzie stracone.

„No cóż, nie chciałabym plotkować, ale muszę powiedzieć, że widziałam ją wczorajszego wieczora. Sączyła szampana w State Street

Grill. Była z tym prawnikiem, Rossem Garrisonem. Nie trzeba być geniuszem, by zgadnąć, dokąd poszli po kolacji. Przecież wszyscy wiemy, że nowy dom adwokata znajduje się w pobliżu jeziora Black Bear. No, a tam właśnie prowadzi droga numer siedemnaście. Zresztą, kochana, tu w Whitehorn dobrze wiemy, co się dzieje, gdy się spotka dwoje młodych ludzi..."

Nie, nie jest ucziwa w stosunku do Lily Mae. Ona by się tak nie zachowała. Nie oceniałaby Lynn. Przecież w gruncie rzeczy ma dobre serce. Tyle że lubi paplać. Powie to samo, jednak bardziej oględnie.

Ocenę pozostawi swym licznym słuchaczom.

A w Whitehorn nie tylko wiedziano, co się dzieje, gdy się spotka dwoje młodych ludzi. Mieszkańcy oczekiwali także, by nauczycielka ich dzieci wracała do domu na noc.

Boże, może jednak powinna była trochę pomyśleć, zanim chwyciła ubrania i wybiegła z sypialni, zostawiając pogrążonego we śnie kochanka.

Zwolniła kroku.

Otuliła się mocniej płaszczem. Szalejący w nocy wiatr nad ranem ucichł. W powietrzu unosił się świeży zapach sosen. Nad głową po niemal bezchmurnym niebie szybował jastrząb. Na północy rysowały się spowite delikatną warstwą mgły szczyty Crazy Mountains. Nieśmiałe promienie słońca kładły na polach długie cienie.

Powietrze nadal było rześkie, niemal mroźne. Trawa straciła swój soczysty, zielony kolor, pożółkłe źdźbła zdawały się czekać na przyjscie zimy. Po obu stronach drogi rozciągały się pastwiska otoczone drutem kolczastym. Tu i ówdzie pasło się bydło, leniwie przeżuwające każdy kęs. Kilka najbliższych stojących zwierząt zauważyło jej obecność i podniosło łby, by przyjrzeć się jej oczami, które były jednocześnie całkowicie puste i nieskończenie mądre.

Ciekawe, czyje to bydło, zastanawiała się Lynn, podejmując jeszcze jedną próbę oderwania myśli od własnej, absurdalnej sytuacji. Do kogo należą pastwiska przy jeziorze Black Bear, wzdłuż szosy numer siedemnaście?

Nie miała pojęcia.

Zresztą, czy to ważne?

Jedynie, co miało jakiegokolwiek znaczenie, to fakt, że będzie musiała wrócić.

Wrócić i obudzić go, jeśli sam się do tej pory nie obudził.

Wrócić i grzecznie poprosić, by ją podwiózł do jej samochodu, który nadal stoi na parkingu przed szkołą.

Powłócząc nogami, doszła do dwupasmówki. Zatrzymała się przy szlabanie uniemożliwiającym bydłu wyjście na szosę. Powietrze zdawało się jeszcze zimniejsze niż ziemia pod jej bosymi nogami.

Jej biedne, obolałe stopy. Pokryte kurzem, poranione. Zanim zdoła wrócić do domu, będą w o wiele gorszym stanie.

Ale czy ma jakieś inne wyjście? Nie powinna była dać się ponieść emocjom. Teraz musi zapłacić za to, że nie potrafiła zachować zimnej krwi.

Ale co to za odgłos?

Warkot silnika samochodowego. Ktoś nadjeżdżał. Z daleka wydawało się, że to półciężarówka, ale nie była pewna.

Lynn nerwowo zaczęła się rozglądać po okolicy, szukając miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Jednakże w promieniu kilkuset metrów nie było nic poza rozległymi pastwiskami otoczonymi drutem kolczastym. Jakies dziesięć metrów dalej stała samotna, powykręcana przez wiatr sosna. Nie zdąży do niej dobiec, samochód zbliża się zbyt szybko. Zresztą, czy takie wątłe drzewko, z cieniutkimi gałązkami i chudym pniem dałoby jakiegokolwiek schronienie? Wyglądałaby jak winne dziecko, które nieporadnie szuka kryjówki w miejscu, gdzie schronienia nie ma.

Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy. Samochód zbliżał się nieubłaganie. Była niemal pewna, że kierowca zdążył już ją zauważyć.

Miała dwa wyjścia. Mogła rzucić się pędem w kierunku, z którego przyszła, i modlić się, by kierowca - kimkolwiek był - nie rozpoznał jej. Wtedy prawdopodobnie wziąłby ją za wariatkę, samotną, zagubioną wśród pól szaloną kobietę, która może potrzebować pomocy.

A to znaczy, że pojechałby za nią.

Cudownie. Czyli nawet jeżeli będzie próbowała uciekać, i tak zostanie złapana.

Mogła też stać, tak jak stała, czekając na rozwój wydarzeń, trzęsąc się bardziej z upokorzenia niż zimna.

Zacisnęła zęby i nakazała rozdygotanemu ciału spokój. Wciągnęła pełne płuca powietrza, wyprostowała się i spojrzała na drogę.

Rozklekotana półcięzarówka była wystarczająco blisko, by Lynn mogła ją rozpoznać. Samochód należał do Winony Cobbs, kobiety, którą większość mieszkańców Whitehorn uważała za wizjonerkę. Winona Cobbs jeździła do miasta w dwóch celach. Po pierwsze, by zrobić zakupy.

Po drugie zaś, by zjeść śniadanie w Hip Hop Cafe ze swoją przyjaciółką Lily Mae.

## ROZDZIAŁ 8

Zdezelowana półciężarówka przecięła białą przerywaną linię pośrodku jezdni i zatrzymała się na przeciwległym poboczu, tuż przy Lynn. Siedząca za kierownicą kobieta miała siwe włosy, upięte w misterny kok na czubku głowy. Bystro przyglądała się Lynn przez zaparowane okno.

Przez dłuższą chwilę patrzyły na siebie bez słowa. Wreszcie Winona opuściła szybę.

- Dzień dobry, moja miła. - Uśmiech pokrył twarz pajęczyną drobnych zmarszczek, ciągnących się od kącików mądrych oczu. - Chłodny mamy dziś poranek, prawda?

Lynn mocniej owinęła się płaszczem, wtulając brodę w kołnierz.

- Tak, rzeczywiście. Bardzo rześkie powietrze.

- Chyba zapomniałaś włożyć buty.

Niewinna uwaga Winony wzbudziła w sercu Lynn falę emocji. Ze wszystkich sił starała się im nie poddawać, lecz gardło miała ściśnięte.

Nie, nie rozklei się.

Nie podda się. Płacz byłby oznaką upokorzenia i skrajnego upodlenia. Przełknęła łzy i wzięła głęboki oddech. Podniosła leżący obok niej pantofel i podjęła rozmowę, starając się zachować resztki godności.

- Nie zapomniałam butów, tylko po prostu jeden zgubiłam.

- Aha... - zamyśliła się Winona - Hmm...

Lynn nie spodobał się jej nieobecny, przymglony wzrok.

- Pani Winono?

Starsza pani wyciągnęła przez okno pulchną dłoń. Na środkowym palcu miała olbrzymi pierścień. Skinęła w kierunku Lynn.

- Podaj mi go.

Lynn odruchowo przycisnęła but do siebie.

- Co?

- Daj mi ten pantofel.

- Ja nie...

- Twój but. Daj mi go. - Wskazała na czerwony pantofel. -

Śmiało, dawaj!

Coś w jej głosie sprawiło, że Lynn oddała swój skarb. Kiedy Winona go wzięła, Lynn nagle poczuła nieprzepartą chęć sięgnięcia przez okno i wyrwania go z jej rąk.

Nie zdążyła jednak. Winona przycisnęła pantofel do bujnych piersi i przymknęła oczy. Po chwili z jej gardła zaczął się wydobywać monotony dźwięk.

- Naprawdę nie jestem w nastroju do słuchania przepowiedni - rzuciła Lynn i natychmiast tego pożałowała.

Starsza kobieta nie zwracała na nią uwagi. Zaczęła mówić cichym, chrapliwym, przerażającym głosem.

- Co zginęło, znajdzie się w chmurze pyłu... Lynn odchrząknęła.

- Mówię całkiem poważnie. To nie jest najlepszy moment.

Winona zdawała się całkowicie ignorować nie tylko nastrój dziewczyny, lecz także jej obecność. Nadal z zamkniętymi oczami



kiwała się w fotelu, z głową nieznacznie przechyloną ku przodowi, głaskając pantofel, jakby był wymagającym pocieszenia dzieckiem.

- Hej, słyszysz mnie?

- Pierścionek i kłamstwo... Kłamstwo, które wyjawi prawdę.

Nauczycielka uczy, książkę musi się nauczyć...

Książkę...

Lynn nie zdołała powstrzymać żalu, który wzbierał jej w sercu. Na myśl o ostatniej nocy łzy stanęły jej w oczach. Wspomnienie powróciło ze wzmożoną siłą: zadziwiające i wspaniałe, a zarazem przerażająco prawdziwe.

- Wezmą nie tę bliźniaczkę. Lecz miłość powróci w najciemniejszą noc strachu i nieszczęścia... i ciszy. Słyszę ciszę. Przerażającą ciszę. Taką, jaka następuje wtedy, gdy zguba powraca do domu.

Winona powoli odwróciła głowę. Otworzyła oczy i spojrzała na Lynn. Patrzyła badawczo, jakby chciała ją przejrzeć na wylot. Pomarszczoną twarz kobiety rozjaśnił tajemniczy uśmiech, w którym w ułamku sekundy można było dostrzec głębię tego, co bezkresne i niezbadane.

Lynn poczuła, jak jej ciało pokrywa się gęsią skórą, która nie miała najmniejszego związku z porannym chłodem...

- Ale pamiętaj... - Głos Winony brzmiał cicho jak westchnienie. Zlewał się z szumem wiatru wiejącego od strony Crazy Mountains, szelestem sosnowych igieł i szeptem traw. - To wszystko dzieje się za

sprawą sił nadprzyrodzonych, magii. Ta magia to miłość. Musisz w nią uwierzyć. Nie zawiedzie cię. Słyszysz mnie, dziecko?

- Ja... tak. - Lynn usłyszała swój własny głos. - Słyszę...

Tajemniczy uśmiech na twarzy Winony zbladł. Kobieta zamrugła i potrząsnęła głową.

- No tak. To było interesujące. - Zmarszczyła krzaczaste brwi. - Zrozumiałaś cokolwiek?

Lynn nie potrafiła odpowiedzieć. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

- Nic nie szkodzi - zapewniła Winona ciepłym głosem. - W odpowiednim momencie wszystko się wyjaśni. A teraz lepiej wskakuj do auta.

Niespodziewana zmiana tematu sprawiła, że Lynn bezwiednie cofnęła się o krok.

- Dajże spokój, wskakuj! - Winona sięgnęła poprzez siedzenie, by otworzyć drzwi od strony pasażera.

A jednak Lynn nie potrafiła wyzbyć się wątpliwości. Usłyszała od tej kobiety zbyt wiele dziwnych rzeczy, które zaprzętały jej skołowany umysł.

Pierścionek i kłamstwo?

I co za bliźniaczka? Przecież w jej życiu nie było żadnych bliźniaków. A może jednak?

- Wsiadasz czy nie? - Niecierpliwy ton przywrócił ją do rzeczywistości.

- Tak, tak, już wsiadam.

Podwiezienie wydawało jej się najlepszym rozwiązaniem. Skoro i tak została przyłapana... Ponadto mogła zaoszczędzić obolałym stopom powrotu do domu Rossa. Tylko w ten sposób uniknie spotkania z nim, rozmowy, patrzenia mu w oczy.

- No to się pośpiesz.

- Tak, już wsiadam. - Lynn obeszła samochód z przodu i zajęła miejsce pasażera.

- Zatrzaśnij drzwi. Włączę ogrzewanie. - Winona cmoknęła z dezaprobatą. - Spójrz no tylko na swoje biedne stopy.

- Nic im nie będzie, naprawdę.

- Masz, zwracam ci.

Lynn chwyciła czerwony pantofel jak skarb. Winona włączyła nadmuchi i w mgnieniu oka silny strumień gorącego powietrza owionął przemarznięte ciało Lynn.

- No i jak, lepiej?

- Cudownie. Dziękuję.

- Chcesz jechać do domu?

- Nie, jeżeli możesz, zawieź mnie do szkoły.

Winona wyprostowała się za kierownicą, włączyła silnik, wrzuciła bieg i wjechała na właściwy pas ruchu.

Była siódma rano, gdy Lynn zaparkowała swój wóz na podjeździe domu przy Shiloh Street. Miała dokładnie godzinę na doprowadzenie się do porządku i dojazd do szkoły, aby punktualnie o ósmej, równo z dzwonkiem, uśmiechem przywitać swoje dzieci.

Miała ogromną ochotę zatelefonować i powiedzieć, że jest chora, wskoczyć do łóżka i ukryć się w nim aż do... Aż do kiedy?

Nie. To nic nie pomoże. Winona prawdopodobnie siedziała teraz w Hip Hop Cafe, dzieląc się z Lily Mae najświeższymi plotkami. I uzupełniając brakujące elementy układanki. Jeszcze dziś wieczorem całe miasto będzie mówiło o upadku Lynn. Jeśli zamknie się teraz w czterech ścianach, to pogorszy tylko swoją i tak nie najlepszą sytuację. Z pewnością niektórzy będą ją nazywać kobietą upadłą. Ale ona nie podda się. Będzie chodzić z wysoko podniesioną głową, nie ulęknie się złych słów. Nie podda się, o nie!

Torebka i pantofel leżały na siedzeniu obok. Lynn wzięła je i wysiadła. Myślami była już w domu, gdzie niewątpliwie czekała na nią siostra.

Słodka, mała Trish, pomyślała z westchnieniem. Trish, która zagieła parol na Rossa. I która wpadnie w furję, gdy dojdą ją słuchy na temat tego, gdzie jej siostra spędziła ostatnią noc. Trish, która poczuje się zraniona i zdradzona...

Lynn miała ochotę tłuc czerwonym pantoflem o własną głowę. Jak mogła być tak naiwna, jak mogła sobie wyobrażać, że uda jej się zachować całą tę historię w tajemnicy?

Dama w czerwieni skradła noc miłości.

A teraz kobieta w brązie będzie musiała za to zapłacić.

Pokonując kolejne stopnie w drodze do drzwi wejściowych, zrozpaczona, postanowiła odwołać się do Najwyższego, licząc na odrobiną współczucia.

Dobry Boże, wiem, że źle postąpiłam. Błagam, niech Trish będzie jeszcze w łóżku. Oszczędź mi stawania z nią twarzą w twarz, jeszcze nie teraz... Zrób dla mnie tę jedną, jedyną rzecz. Proszę...

Bóg nie wysłuchał tej tchórzliwej prośby. Lynn natknęła się na Trish, gdy tylko przekroczyła próg domu. Siostra stała w przedpokoju, ubrana w dżinsową spódnicę i satynową bluzkę. Drobne dłonie, zaciśnięte w pięści, oparła na biodrach. Odrzuciła do tyłu lśniące czarne włosy i od razu zasypała Lynn lawiną pełnych gniewu pytań.

- Co się, do licha, z tobą dzieje? Gdzieś ty była! Jak mogłaś tak nas wszystkich wystraszyć!

- Trish, ja...

Było jednak zbyt późno na jakiegokolwiek tłumaczenia. Nie pozostało jej nic innego jak przeczekać atak złości siostry.

- Zniknęłaś na całą noc, co ci się dotychczas nie zdarzyło. Odchodziłam od zmysłów! Mama dzwoniła z życzeniami urodzinowymi. Telefonowała koło siódmej, więc jej powiedziałam, że oddzwonisz, jak tylko wrócisz. I co? Potem, około dziesiątej, znowu zatelefonowała. Kiedy jej powiedziałam, że jeszcze nie wróciłaś, strasznie się rozzłościła. A wiesz, że nie wolno jej się denerwować.

Jewel przeszła łagodny zawał tuż po śmierci ojca Lynn. Lekarz zalecił odpowiednie lekarstwa i spokój.

- Nie masz pojęcia, jak się wściekała - kontynuowała Trish. - Zadzwońłam do Danielle Mitchell i ona zapewniła, że nic ci się nie stało. Nie chciała jednak powiedzieć, gdzie jesteś. Więc znów zadzwoniłam do mamy i próbowałam ją uspokoić. Mama chciała

nawet zatelefonować do szeryfa. Z trudem ją powstrzymałam. Wreszcie zrezygnowałam i położyłam się, ale nie zmrużyłam oka, bo... - Nagle Trish przerwała tyradę, a jej zielone oczy zwęziły się.

Lynn skierowała wzrok tam, gdzie patrzyła jej siostra: na rozchylone poły płaszcza. Nie uszło uwagi Trish, co Lynn miała pod spodem.

- Skąd masz tę sukienkę? Coś ty zrobiła z włosami i dlaczego jesteś boso?

- Trish... - zaczęła Lynn, ale zupełnie nie wiedziała, jak się wytłumaczyć.

- Trish... - przedrzeźniała ją siostra. - Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Ja... muszę się pospieszyć. Spóźnię się na zajęcia.

Trish podeszła do schodów i usiadła u ich stóp, uniemożliwiając Lynn wejście na górę.

- Gdzie byłaś przez całą noc! - wykrzyknęła.

- Nie muszę ci się tłumaczyć - rzuciła Lynn z irytacją. - Posłuchaj, jest mi naprawdę przykro, że was przestraszyłam. Rzeczywiście, powinnam była zadzwonić.

- Szkoda, że dopiero teraz o tym pomyślałaś.

- Wybacz mi. To się już nigdy nie powtórzy - powiedziała z pełnym przekonaniem, wierząc, że naprawdę tak będzie. Ten jeden raz to i tak za dużo.

- Ale gdzie ty byłaś?

- Ja... nie mam teraz czasu. Muszę pędzić do pracy, naprawdę.

Trish złożyła ręce na piersi i nie dawała za wygraną:

- Chcę tylko wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie ma powodu do obaw.

Lynn zdawała sobie sprawę, że to wierutne kłamstwo, ale cóż mogła powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Nie miała czasu ani nie była w nastroju do wyjawienia prawdy.

A może bała się i w głębi serca wciąż jeszcze miała nadzieję, że w ogóle uniknie zwierzeń. Bo przecież może się zdarzyć, że Lily Mae i Winona powstrzymają się od rozsiewania plotek na ten temat.

- Proszę - powiedziała z naciskiem - porozmawiamy wieczorem. Teraz naprawdę muszę się przygotować do pracy.

Trish z ociąganiem przesunęła się na bok, robiąc przejście.

- W porządku, szykuj się, skoro się tak spieszysz. Lynn ominęła siedzącą siostrę i pobiegła na górę.

Pół godziny później zdołała wymknąć się z domu niepostrzeżenie. Trish nie zdążyła wyjść z kuchni i zadać kolejnych pytań.

Podchodziła już do samochodu, gdy zobaczyła mercedesa zaparkowanego kilka metrów dalej. Ross.

Siedział w samochodzie i przyglądał się jej.

Czego się spodziewałaś, powiedziała sobie w duchu, to chyba normalne, że pojawił się po tym, jak uciekłaś z jego domu poza miastem i szłaś taki kawał pieszo... Nawet jeśli potraktował cię jak przygodną partnerkę na jedną noc, to przecież z pewnością ma choć

tyle przyzwoitości, by dopilnować, aby kobiety, które u siebie gości, bezpiecznie dotarły do domu.

Podbiegła do samochodu, zanim Ross zdążył wysiąść. Opuścił szybę. Lynn uprzedziła Rossa i szybko powiedziała:

- Wszystko w porządku. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam. Jak widzisz, bez kłopotu dotarłam się do domu.

- Naprawdę? - Jego głos zabrzmiał dziwnie. Nie potrafiła określić, co ją zaskoczyło. Mówił z rezerwą i znużeniem. I jakby chłodno.

Zerknęła w boczne lusterko. Odbijało zasłonięte okna jej sąsiadki, mieszkającej na wprost parkingu. Nie mogła się zdobyć na spojrzenie mu prosto w oczy. I, Boże, miała nadzieję, że nikt go nie zobaczył.

- Tak, po prostu... udało się. Nie przywiozłeś przypadkiem mojego pantofla?

- Pantofla?

Ton jego głosu wskazywał, że w ogóle nie wiedział, o czym ona mówi.

- Tego, który spadł mi z nogi i potoczył się gdzieś po schodach. Rano nie mogłam go znaleźć.

- Nie zauważyłem, ale obiecuję, że poszukam.

- Świetnie. Muszę już iść, bo się spóźnię.

- Lynn...

- Proszę cię, daj spokój. - Westchnęła ciężko. - Strasznie się śpieszę. Nie martw się o mnie. Dam sobie radę, naprawdę.



Nie zdążył powiedzieć słowa, bo Lynn obróciła się na pięcie i odeszła spieszonym krokiem, modląc się w duchu, aby miał choć na tyle rozsądku, by za nią nie pobiec.

Na szczęście Ross nie wysiadł z samochodu. Usłyszała odgłos uruchamianego silnika mercedesa, Odjechał, zanim wsiadła do swojego blazera.

Lynn przebrnęła jakoś przez przedpołudnie w szkole. Starła się wykonywać swoją pracę nie mniej sumiennie niż zwykle.

Danielle nieco spóźniła się po Sarę, przyjechała po nią, kiedy pozostałe dzieci wyszły już ze szkoły. Przywiozła starą spódnicę i bluzkę Lynn i wręczyła jej z wyraźną troską w oczach. Najpierw zwróciła się do córki:

- Idź i pozbieraj swoje rzeczy, Saro, i włóż kurtkę. Dopiero gdy dziewczynka wybiegła do szatni, Danielle zwróciła się do Lynn.

- Trish dzwoniła do mnie w nocy.

- Wiem. Mówiła mi.

- Czy... wszystko w porządku?

Lynn spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. Dostrzegła w nich zrozumienie i troskę. Wiedziała, że kiedy będzie miała ochotę się wygadać, zawsze może liczyć na Danielle.

- Bywało lepiej. Nic nie słyszałaś... na mieście?

- A co miałam słyszeć?

- Plotki. O mnie i o Rossie Garrisonie.

- Nie, ani słowa.

- No tak, jeszcze za wcześnie. Danielle westchnęła.

- To nie brzmi dobrze.

- Rzeczywiście. Zachowałam się głupio i bezmyślnie. Szczerze mówiąc, nienawidzę siebie za to.

Danielle próbowała pocieszyć przyjaciółkę.

- Daj spokój, nie może być aż tak źle.

- A jednak jest źle, wierz mi. W drzwiach pojawiła się Sara.

- Mamo, nie mogę znaleźć mojego pudełka na drugie śniadanie.

- Poszukaj jeszcze, musi gdzieś być.

- Aleja...

- Córciu, zaraz do ciebie przyjdę.

Dziewczynka zrobiła urażoną minkę i znikła z powrotem w szatni.

- Przyjedź później, Lynn - poprosiła Danielle. - Dziś wieczorem. Kiedy Sara pójdzie spać, będziemy mogły spokojnie porozmawiać.

Lynn przypomniała sobie pełne gniewu, zielone oczy Trish.

- Myślę, że dziś wieczorem będę naprawdę zajęta.

- No to przyjedź wtedy, gdy będziesz mogła. O każdej porze dnia i nocy.

- Dzięki. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Lynn siedziała w klasie do piątej po południu. Uprzątnęła pracownię, poprawiła naderwaną gazetkę i zrobiła porządek na biurku. Opracowała także plan zajęć na najbliższe kilka lekcji i posklejała tradycyjne czapki dla swoich podopiecznych na zbliżające się Święto Dziękczynienia.

Znalazła w szufladzie paczkę krakersów i nieduże pudełko rodzynek, co musiało jej wystarczyć za lunch, którego rano nie zdążyła spakować.

Ukrywała się i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Odkładała moment, w którym będzie musiała stanąć twarzą w twarz z ludźmi z miasteczka - a przede wszystkim z siostrą i z resztą rodziny. W myślach usprawiedliwiała samą siebie, tłumacząc, że przecież i tak musi posprzątać i przygotować się do następnych zajęć z uczniami.

O czwartej przyszedł woźny i wyniósł śmieci. Lynn przywitała go serdecznie. Odwzajemnił pozdrowienie. Wszystko tak jak zazwyczaj.

O czwartej trzydzieści w drzwiach klasy pojawiła się szkolna sekretarka, pani Parchly.

- Wyjątkowo długo dzisiaj pracujesz.

Czy tylko jej się zdawało, że pytanie to zostało zadane z przekąsem? Czyżby dostrzegła w oczach pani Parchly błysk, którego tak bardzo się obawiała?

- Miałam parę rzeczy do zrobienia.

- Przyniosłam ci nową listę obecności.

Lynn podziękowała i wzięła papiery, a sekretarka wróciła do swoich obowiązków.

W drodze do domu Lynn postanowiła zajrzeć do sklepu spożywczego. To był jeszcze jeden sposób odroczenia i tak nieuniknionego spotkania z Trish i resztą rodziny. Chociaż wiedziała,

że nie uniknie konfrontacji z siostrą, wołała choć trochę odwlec tę przykrą chwilę.

Miała wrażenie, że kasjerka dziwnie jej się przygląda. Pocieszała się, że należy złożyć to na karb własnych skołatanych nerwów i silnych wyrzutów sumienia. Spotkała kilku znajomych, lecz wszyscy uśmiechali się i witali ją równie życzliwie jak zawsze.

Do domu dotarła dopiero o szóstej.

Na podjeździe stał zaparkowany samochód macochy.

Czekały na nią w kuchni, przy okrągłym stole z drewna klonowego. Wszystkie kobiety w rodzinie: Trish, Arlene i Jewel.

Lynn weszła do pokoju z dwiema torbami pełnymi zakupów, marząc jedynie o tym, by móc je rzucić na ziemię i uciec. Biec daleko, nie oglądając się za siebie.

One już wiedziały.

Mogła to wyczytać z ich twarzy. Na uginających się nogach przeszła przez kuchnię aż do blatu po drugiej stronie, gdzie wreszcie położyła ciężkie torby.

Jewel postanowiła przerwać ciszę.

- No cóż - zaczęła, cedząc słowa - zdecydowałam się wreszcie wrócić do domu i stawić nam czoło.

Ładnie się zaczynało. Jewel zgromadziła oskarżenia niczym pociski i rozpoczęła natarcie.

- Mało ci? Zabranie mojego domu ci nie wystarczyło? Lynn z trudem powstrzymała się od wypowiedzenia własnego zdania na ten temat.

Dom należał do matki Lynn, a ojciec zapisał go swojej córce w spadku. Nie było w tym nic nieuczciwego. Wręcz przeciwnie, nie mógł postąpić inaczej. Jewel dostała pieniądze ze sprzedaży sklepu komputerowego. Także Trish i Arlene otrzymały pokaźne sumy.

Ale czy wyjaśnienie cokolwiek by zmieniło? Czy miałyby w ogóle sens?

Sprawa domu powracała nie od dziś i nic nie wskazywało na to, że Jewel da się kiedykolwiek przekonać. Gdy przeszedł na własność Lynn, macocha wyprowadziła się do Arlene i zamieszkała z nią, jej mężem Clyde'em i ich dziećmi. Nigdy jednak nie przestała uważać domu Lynn za własny. Nie raz i nie dwa rozmawiały o tym na forum rodzinnym. Za każdym razem macocha i siostry przybierały postawę pokrzywdzonych, jakby Lynn ukradła coś, co się im należało. Pragnęła uspokoić je, wytłumaczyć, że nie czuje do nich najmniejszej niechęci. Marzyła, by zapomniały o całej sprawie i żyły w zgodzie, jak każda kochająca się rodzina.

Niestety, Jewel nie zamierzała ustąpić. Potrząsnęła głową.

- Zeszłej nocy zamartwiałam się o ciebie. Z rozpaczki odchodziłam od zmysłów, a przecież wiesz, że mam chore serce! Teraz wychodzi twój charakter. Zagarnięcie domu ci nie wystarczyło. Musiałaś jeszcze ukraść siostrze jej prawnika. Jesteś podstępna zmija, słowo daję!

Trish dołączyła się do oskarżeń matki.

- Ufałyśmy ci! - zawołała płaczącym tonem. - Liczyłyśmy na ciebie! I co zrobiłaś? Jak nas potraktowałaś? Podczas lunchu

dowiedziałam się wszystkiego. W Hip Hopie o niczym innym nie gadają. Całe miasto trzęsie się od plotek. Wszyscy wiedzą, co zrobiłaś. Kiedy wróciłam do biura, zszokowana, chciałam porozmawiać z Rossem, aby wiedział, w jakim jestem stanie. A on obrzucił mnie tym swoim lodowatym spojrzeniem i powiedział, że to nie moja sprawa. Powiedział, że poprosił cię o rękę, a ty się zgodziłaś! Powiedział, że jesteś jego narzeczoną!

Lynn była pewna, że się przesłyszała.

- Co? Jego... narzeczoną? Tak powiedział...?

- Nie wygłupiaj się, przecież aż za dobrze wiesz, o czym mówię.

Ross Garrison oświadczył ci się. Czyżbyś już zapomniała? Pewnie, taki drobiazg po prostu umknął twojej uwagi.

- On nie...

- Przestań już! Nie zgrywaj niewiniątka kosztem nas wszystkich!

Boże, jak mogłaś mi to zrobić? Mnie! Przecież wiedziałaś, że Ross Garrison był przeznaczony dla mnie!

Trish wybuchnęła głośnym, spazmatycznym szlochem. W dramatycznym geście rozpaczony oparła ręce na stole i ukryła twarz w dłoniach. Histeryczny płacz wypełnił pomieszczenie.

Lynn patrzyła na wstrząsane spazmami ramiona siostry i zastanawiała się, czy Ross Garrison przypadkiem nie oszalał. Zeszłej nocy rozmawiali o wielu rzeczach, ale nawet słowem nie wspomnieli o małżeństwie. Po co, do diabła, miałby opowiadać Trish takie kłamstwa?

Arlene, która była w szóstym miesiącu ciąży z trzecim dzieckiem, sięgnęła ponad stołem, do którego nie mogła się już przysunąć ze względu na brzuch, i zaczęła czule głaskać siostrę po czarnych włosach.

- No już, maleńka, już. Uspokój się. Uspokój się, kochanie.

- Zmierzyła Lynn złym wzrokiem i wykrzywiła śliczne usta.

- Zobacz, co jej zrobiłaś. Jesteś... po prostu śmieciem.

Jesteś śmieciem... Okrutne słowo odbijało się echem w skołatanej głowie Lynn.

Co gorsza, Arlene nie miała zamiaru skończyć.

- Powinnyśmy się domyślić po tym, jak zaczęłaś się odchudzać.

Nie przyszło nam do głowy, naiwnym dobrym duszom, że teraz, gdy masz dom, wykształcenie i pracę, nie będziesz już nas potrzebowała. Że w końcu wyjdzie sztydło z worka i pokażesz swoje prawdziwe oblicze.

Tego było już dla Lynn za wiele.

- Jesteście potwornie niesprawiedliwe. Traktuję was nadal jak najbliższą rodzinę i...

Jewel zaśmiała się ironicznie.

- Ha, ha, rodzinę! To, co zrobiłaś, nie jest godne członka naszej rodziny. Ludzie, którzy się kochają, nie traktują się jak śmieci. A ty tak właśnie nas potraktowałaś. Trish nerwowo uniosła głowę.

- Właśnie! Leenie i mama mają rację. Zawsze udawałaś niewiniątko, zachowywałaś się, jakby ci wcale nie przeszkadzało, że

jesteś wielka i gruba i chłopcy nie chcą się z tobą umawiać! Dopiero teraz poznałyśmy, jaka jesteś naprawdę. Nie zamierzam zostać tu ani chwili dłużej! Wyprowadzam się do mamy i Arlene. Wolę mieszkać z siostrą, Clyde'em i dziećmi. To przynajmniej jest rodzina! Spakowałam już część moich rzeczy, są w samochodzie. Po resztę przyjadę później. Oczywiście kiedy będę miała pewność, że cię nie zastanę w domu!

Trzy kipiące złością kobiety podniosły się niemal jednocześnie.

- Rzuciłam tę głupią robotę - oznajmiła Trish, potrząsając czarnymi lokami. - Nie mogę znieść widoku Rossa Garrisona, nie chcę go już nigdy widzieć!

Lynn czuła na sobie jadowite spojrzenie trzech par zielonych oczu.

Jewel zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Cóż. Nie zamierzasz niczego powiedzieć? W żaden sposób się usprawiedliwić? Fakt, nie masz nic na swoją obronę.

Lynn zamyśliła się. Nie przychodziła jej do głowy żadna rozsądna odpowiedź.

Jewel odczekała jeszcze chwilę, po czym pogardliwie machnęła ręką i zwróciła się do córek:

- Chodźmy, dziewczynki, szkoda naszego czasu.

Gdy trzasnęły drzwi wejściowe, Lynn resztką sił przyciągnęła do siebie krzesło i osunęła się na nie. Siedziała dobre dziesięć minut, tępo wpatrzona w jasnożółte, słoneczne zasłony, odgradzające przytulną kuchnię od chłodu panującego za oknem. Zastanawiała się, czy



macocha i siostry przyrodnie jeszcze kiedykolwiek się do niej odezwą. Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie jest jej przykro z ich powodu. Usiłowała odpędzić od siebie niegodne myśli, lecz świadomość, że wcale nie będzie za nimi tęsknić, była silniejsza.

Minęła jeszcze długa chwila, nim wstała. Podeszła do blatu i zaczęła wyjmować zakupy. Zdążyła rozpakować drugą torbę i starannie składała reklamówkę, by użyć jej do zbierania śmieci, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Westchnęła. Czuła ogromne zmęczenie, nie miała siły ani ochoty z nikim rozmawiać. Nie dzisiaj. Chciała przygotować coś szybkiego, zjeść, wejść na górę, wziąć gorącą kąpiel i czym prędzej zaszyć się w przytulnym, ciepłym łóżku.

Dzwonek zabrzmiał bardziej nagłaco niż za pierwszym razem. Nie sposób go było zignorować.

- Niech to będzie jakiś akwizytor - mamrotała pod nosem, ruszając w kierunku drzwi. - Ktoś, komu można stanowczo powiedzieć: „Nie, dziękuję”, i zamknąć drzwi.

Ale to nie był akwizytor.

Przed domem stał Ross Garrison.

- Lynn, musimy porozmawiać - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

## ROZDZIAŁ 9

Rano, na parkingu przed domem, Lynn unikała wzroku Rossa, za to teraz nie mogła oderwać od niego oczu.

Miał na sobie inną kurtkę niż poprzedniego wieczora, tym razem z miękkiej skóry. Inną kurtkę, inną koszulę i sweter, inne spodnie i buty. Tylko zegarek ten sam.

Patrzyła też w te same ciemne mądre oczy.

Naprawdę już nigdy więcej nie chciała w nie spoglądać.

Jednak teraz nie mogła uniknąć tego wiele mówiącego spojrzenia.

A dostrzegła w nim to wszystko, co złożyło się na ich wspólną, pamiętną noc. Każde chwytające za serce słowo, każdy czuły gest, każdą słodką pieszczotę.

- Wszędzie szukałem twojego pantofla, ale nie udało mi się go znaleźć - oświadczył.

- Trudno.

Czy tylko tyle chciał jej przekazać? Cóż, niech i tak będzie. Powiedział, co miał do powiedzenia, więc może zatrzaskać mu przed nosem drzwi. Nie będzie to grzeczne, ale i tak zdołała dużo znieść...

Już miała to zrobić, gdy Ross wyciągnął rękę.

- Wpuść mnie.

- Ross, nie sądzę, byśmy...

- Musimy. Wpuść mnie.

- Dość mam kłopotów jak na jeden wieczór. Właśnie pokłóciłam się z rodziną, tym razem na dobre.

Trzymał drzwi mocno, aż zbiełały mu kostki.

- Przykro mi.

- To przecież nie twój problem - zauważyła i znów popchnęła drzwi.

Nawet nie drgnęły. Ross trzymał je mocno.

- Posłuchaj, nie sprawię ci kłopotu. Chcę tylko porozmawiać.

- Porozmawiać?

- Właśnie.

Niechętnie wprowadziła go do salonu i wskazała na sofę. Jednak Ross nie usiadł. Stał po drugiej stronie kwiecistego dywanu i wpatrywał się w Lynn. Długo, natarczywie.

Może wciąż jeszcze był poruszony jej nie przemyślaną ucieczką?

- Przepraszam, że wybiegłam tak bez uprzedzenia - próbowała się wytłumaczyć. - Jest mi naprawdę przykro. Wiem, że postąpiłam głupio, uciekając bez słowa. Straciłam głowę. Później, kiedy wreszcie oprzytomniałam, akurat nadjechała Winona Cobbs.

Pomyślała o starszej kobiecie, kurczowo trzymającej czerwony but i ni to pomrukującej, ni to wyśpiewującej dziwaczne, nieskładne zdania.

Lynn potrząsnęła głową, jakby ten gest miał jej pomóc odrzucić przykre wspomnienie.

- Ona mnie podwiozła.

- I... nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. - Nie przyszło jej to łatwo, ale usilnie starała się, aby te słowa zabrzmiały szczerze. - Jestem tylko zmęczona i... przygnębiona, jakby odrętwiała. Ale przejdzie mi, naprawdę.

- Powinienem cię odwiedzić do domu o północy, wtedy, kiedy chciałaś wracać.

- Nie roztrząsajmy już tego, proszę. - Pomachała ręką zniecierpliwiona. - Tamta noc była i... minęła. Stało się. To już skończone. Po co do tego wracać, skoro i tak nic nie możemy naprawić.

- Warto spróbować. Może się uda, przynajmniej do pewnego stopnia - odrzekł Ross.

Pomyślał jednak, że to niewiele zmieni. Krzywda została wyrządzona. Lynn najwyraźniej czekała na wyjaśnienia, ale nie odezwał się już, tylko wsunął ręce do kieszeni i wpatrywał się w dywan.

- Ross? - szepnęła przynaglająco. Uniósł głowę.

- Powiedziałem twojej siostrze, że poprosiłem cię o rękę i że przyjęłaś moje oświadczenia.

- Wiem. Mówiła mi o tym. Aż trudno uwierzyć, że mogłeś powiedzieć coś tak absurdalnego.

- Cóż, stało się. Słowa same jakoś mi się wymknęły.

- Och, przestań. Nie jesteś typem człowieka, który rzuca słowa na wiatr, ot tak, bez namysłu - skwitowała, z trudem hamując złość.

Ross wyczuł wrogość w jej głosie. Nie mógł jej za to winić, choć kłamstwo o zaręczynach naprawdę nie było zamierzone. Ta okropna Trish sprowokowała go. A jemu tak bardzo zależało na Lynn. Martwił się o nią. Znienawidził siebie za to, że ją wykorzystał. Obwinił siebie tym bardziej, że przez cały czas wiedział, iż jedna wspólna noc wcale mu nie wystarczy... Uwiódł niewinną dziewczynę. Uwodził ją przez całą noc. Wyrządził jej krzywdę, wielką krzywdę.

A jednak pragnął to zrobić ponownie.

Jej ucieczka naprawdę go przeraziła. Przypomniała mu, co spotkało jego żonę.

Elanę trudno było uznać za niewinną, niemniej ją też wykorzystał. Posłużył się nią, aby zdobyć to, czego chciał. A kiedy Elana uciekła, wybiegając z domu po ostatniej piekielnej awanturze, nie spotkała dobrodusznej starej pani Cobbs, która by ją uratowała.

Poczuł na sobie przenikliwe spojrzenie Lynn, więc, choć nie przyszło mu to łatwo, odgonił ponure myśli o żonie.

- Twoja siostra strasznie mnie skrzyczała. Obwiniła mnie. Ciebie zresztą też. Nazwała to, co się wydarzyło, przygodą jednej nocy. I... wtedy to powiedziałem. Powiedziałem, że to nie była przygoda jednej nocy, przeciwnie, poprosiłem cię o rękę, a ty wyraziłaś zgodę.

Złość Lynn ulotniła się gdzieś. Czuła tylko znużenie. Wciąż jeszcze bolały ją stopy po porannej wędrówce długą drogą dojazdową.

Przy stoliku do kawy stały dwa lekkie fotele. Podeszła do jednego z nich i usiadła.

- Właściwie to, co powiedziałaś, nie ma znaczenia. Po prostu jeszcze jedna paskudna plotka, którą będziesz musiał jakoś zdementować.

- Może tak... a może nie. Lynn ułożyła się w fotelu.

- Ross, jestem zbyt zmęczona, aby się z tobą bawić w grę słów.

Do czego zmierzasz?

Postąpił krok w jej stronę.

- Cóż, pomyślałem tylko... że może lepiej byłoby postępować zgodnie z tym, co mówiłem Trish.

Nie siedziała już bezwładnie, przeciwnie, wyprostowała się błyskawicznie. Miała wrażenie, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi.

Głupiutkie serce, pomyślała. Co się z tobą dzieje?

- Że co...?

- Możemy udawać, że jesteśmy naprawdę zaręczeni. Serce przestało jej bić, kiedy powtórzyła za nim:

- Udawać?

- Właśnie.

- Ale jaki to ma sens?

- Zasadniczy. Pomyśl tylko. Czym się najbardziej zajmujesz. ...  
prócz tego, że twoja siostra się dowie, a właściwie już się dowiedziała? Martwisz się, bo jako nauczycielka powinnaś przestrzegać pewnych norm. O to ci chodzi, prawda?

Nie mylił się. Przeciwnie, miał całkowitą rację.

- Oczywiście. Złamałam pewne zasady. W każdym razie moja siostra tak twierdzi. Wstyd powiedzieć, ale rzeczywiście przeżyłam przygodę jednej nocy. Z tobą.

- Nie jesteś kobietą jednej nocy. Wiemy o tym oboje. Miasto też wie. Chciałbym tylko, żebyś się zastanowiła i powiedziała mi, czy możemy nie traktować tego jak historii jednej nocy.

- Ale przecież tak właśnie było. Och, Ross. To takie idiotyczne i przygnębiające. No i niepotrzebne. Właściwie jeśli o mnie chodzi, to najgorsze mam już za sobą. Mieszkańcy Whitehorn na pewno nie będą dla mnie aż tak surowi jak moja własna rodzina.

- Jesteś tego pewna?

- Absolutnie.

- Chyba masz rację - przyznał, przyglądając się jej badawczo. - Przecież wszyscy w tym mieście wprost cię uwielbiają. Cieszysz się niemal taką sympatią jak mała Jenny McCallum. Prawdopodobnie to nie ciebie będą obwiniać o to, co się stało.

- Sądysz, że całą winę będą przypisywać tobie? - Do tej pory nie przyszło jej to na myśl.

Skinął głową potakująco, a jednocześnie w kącikach ust pojawił się charakterystyczny ponury uśmiech.

- Przecież ja jestem tu obcy. Na domiar złego jestem prawnikiem, a od czasu niecnych postępów Wendella Hargrove'a prawnicy nie cieszą się szacunkiem w tym mieście.

- Może nikogo nie będą obwiniać. Poplotkują trochę i przestaną. Ponury uśmiech nadal gościł na jego twarzy.

- Może...

Lynn wstała, dając tym samym do zrozumienia, że ma sobie pójść.

- Więc nie wyrażasz zgody na udawane narzeczeństwo?

- musiał się jeszcze upewnić.

- Nie.

- Nie spodobał ci się ten pomysł? Wzruszyła tylko ramionami.

Ross nie miał już wątpliwości, że powinien wyjść. Lynn wyglądała żałośnie. Jej delikatną skórę pod dużymi błękitnymi oczami okalały cienie zmęczenia. W ogóle nie powinien do niej przychodzić. Wystarczyło przecież zadzwonić w sprawie zgubionego buta.

- Przepraszam - powiedział cicho, a chwilę później dodał:

- Wciąż to powtarzam, jakby to mogło pomóc.

- Nie szkodzi.

- Posłuchaj, jeśli mógłbym cokolwiek...

- Nie trzeba, naprawdę.

- Cóż, wobec tego... - Urwał, jakby szukał właściwych słów.

Grał na zwłokę, choć wiedział, że nie powinien przeciągać struny.

Lynn podjęła za niego decyzję.

- Odprowadzę cię do drzwi - zaproponowała.

Szkoda. Przecież chciał... czegoś więcej. Pragnął czegoś, do czego nie miał prawa. Więcej takich nocy jak tamta. Więcej czasu spędzanego w jej towarzystwie, słuchania jej śmiechu, dzielenia chwil radości. Udawania...



Owszem, udawania, że jest kimś innym niż w rzeczywistości. Że świat wcale nie jest taki, jakim on go postrzega, lecz lepszy. Że któregoś dnia, gdy wróci do swojego luksusowego domu, ktoś będzie tam na niego czekał.

Przywołał się do porządku. Powinien przestać bujać w obłokach i przywyknąć do tego, że nie ucieknie od przeszłości i jest skazany na własne towarzystwo.

- Nie trzeba. Trafię sam - stwierdził, ruszając do drzwi. Jednak poszła za nim. Wiedział, że to zrobi. Odebrał jej

niewinność, skłócił ją z rodziną, ale była typem kobiety, która nie wyobrażała sobie, że może nie odprowadzić gościa do drzwi. W małym holu wyprzedziła go i otworzyła drzwi.

- Żegnaj, Ross - powiedziała w taki sposób, jakby już nigdy nie mieli się zobaczyć.

Spojrzał na jej usta, a wtedy nasunęła mu się myśl: jeszcze jeden pocałunek. Nic więcej, tylko jeden, ostatni pocałunek. Resztką woli jednak się powstrzymał.

- Do widzenia, Lynn - powiedział, wychodząc.

Zamknęła za nim drzwi. Potem długo stała, spoglądając w kierunku schodów, ale nie widząc ich, żałując, że nie odważył się i jej nie pocałował. Dobrze wiedziała, iż miał na to ochotę.

Ona też tego pragnęła. Ross jej zaimponował. Był nieugięty, z ogromną determinacją postanowił bronić jej reputacji za wszelką cenę, nawet za cenę kłamstwa.

Kłamstwa.

Jak to powiedziała Winona? „Pierścionek i kłamstwo. Kłamstwo, które wyjawia prawdę”. Czy mogło chodzić o propozycję Rossa, by udawali, że są zaręczeni?

Nie, to niedorzeczna myśl. Pełna nadziei, szalona myśl.

Tylko prawnik mógł wymyślić tak absurdalny plan.

I tylko beznadziejna romantyczka mogłaby przystać na taki plan wyłącznie dlatego, że usłyszała przepowiednię Winony Cobbs wymruczaną o świcie na drodze numer siedemnaście.

Tylko beznadziejna romantyczka mogła zakochać się w ciągu jednej nocy.

Lynn oparła się o drzwi.

Czy to prawda? - zastanawiała się, unosząc ręce i przecierając zmęczone oczy. Czy rzeczywiście zakochała się w Rossie?

Boże, wszystko na to wskazywało. Niestety.

A skoro sama uznała się za beznadziejną romantyczkę, nie mogła już powstrzymać pragnień. Zapragnęła tego, co z pewnością było niemożliwe.

Zapragnęła, żeby Ross też się w niej zakochał.

Opuściła ręce i spojrzała na obolałe stopy. Nie. To doświadczony mężczyzna. Nie mógłby się zakochać tylko dlatego, że spędził z nią noc. Wystrzegał się miłości. Widziała to w jego oczach. Widziała w nich chłód. Chłód, który zdawał się maskować głęboki ból.

Roześmiała się krótkim, udręczonym śmiechem, kierując spojrzenie na staromodny żyrandol w kształcie tulipana.

Tylko beznadziejna romantyczką, pomyślała znów, mogła dostrzec cierpienie ukryte w zimnych oczach.

A przecież gdyby udawali, że są zaręczeni, musieliby często ze sobą przebywać. Wtedy z biegiem czasu może zdołałaby sforsować mur, który Ross zbudował wokół siebie. Może nawet w głębi duszy marzył, że ona tego dokona?

Och, cóż za szalony pomysł.

Nie powinna w ogóle dopuszczać takich myśli...

Choć z drugiej strony...

Dlaczego nie miałyby pofolgować wyobraźni?

I pomarzyć?

Dlaczego właściwie nie miałyby być po prostu tym, kim była, czyli niepoprawną romantyczką, chętnie korzystającą z rady wizjonerki?

Nauczyć swojego księcia miłości i... samej uwierzyć w magię miłości.

Energia znów rozpierała jej ciało. Wyprostowała się, odwróciła i z impetem otworzyła drzwi.

Mercedes stał jeszcze przed domem, rzucając ciemny, imponujący cień na krawężnik.

To dobry znak. Ross nie przekreślił jeszcze kluczyka w stacyjce, nie odjechał, lecz siedzi wciąż w tym swoim luksusowym samochodzie.

Dostrzegła go. On też zwrócił głowę w jej stronę i bacznie obserwował, co robi.

Objęła się rękoma, jakby chciała się osłonić przed chłodnym nocnym powietrzem. Postąpiła kilka kroków naprzód.

Szyba od strony pasażera została opuszczona. Ross wychylił się zza lusterka.

- Może wejdiesz na chwilę? - zaproponowała, po czym odwróciła się i pomaszerowała do domu, nie dając mu szansy na jakąkolwiek odpowiedź.

Wprowadziła go z powrotem do salonu i gestem wskazała, by zajął miejsce na kanapie, jak przedtem.

- O co chodzi? - zapytał niecierpliwie, ale usiadł.

- Tak sobie myślałam...

- O czym?

- Chcę ci zadać kilka pytań. Przybrał czujną minę.

- Na jaki temat?

- Cóż, powiedzmy, że zrobilibyśmy to, co zaproponowałeś.

Poruszył się niecierpliwie.

- Skoro i tak nie zamierzamy tego zrobić, po co to w ogóle rozważać?

- Zaczekaj... Przypuśćmy, że postąpilibyśmy zgodnie z twoją propozycją i udawali, że naprawdę jesteśmy zaręczeni. Co wtedy? Jak by to się skończyło? Myślałeś o tym?

- Lynn, nie rozumiem, dlaczego...

- Odpowiedz na moje pytanie. Czy myślałeś o tym?

- Owszem - przyznał. - Myślałem.

- I?

- Zerwałabyś ze mną. Za kilka tygodni, może za miesiąc.

Doszłabyś do wniosku, że jednak nie jestem właściwym partnerem dla ciebie.

Gdy to mówił, pociemniały mu oczy, aż Lynn zastanawiała się, jakie tajemnice przed nią skrywa.

- Chodzi ci o to, że nie powinnam żywić zbyt dużych nadziei, bo nie ma szans, że naprawdę chciałabyś mnie poślubić?

- Lynn... - Tym razem przemówił łagodnym głosem, patrząc na nią czule. - Wcale nie chciałabyś być żoną kogoś takiego jak ja.

- Niby dlaczego? - spytała od niechcienia, chociaż jego słowa bardzo ją poruszyły.

Przez chwilę miała wrażenie, że poda przyczynę. Jednak tylko powtórzył:

- Po prostu nie chciałabyś, to wszystko.

Jakże chciała drażnić temat aż do skutku, aż wyjawia jej najgłębsze sekrety. Pohamowała się jednak. Nie. Jeszcze nie teraz. Musi poczekać. Przyjdzie na to czas w ciągu następnych tygodni.

- W porządku - powiedziała pośpiesznie. - Podejmiemy próbę na miesiąc, a potem zerwę zaręczyny.

- Co mówisz...?

- Przyjmuję twoją propozycję. Będziemy udawać, że jesteśmy zaręczeni. Przez miesiąc.

Twarz Rossa wyrażała całkowite niedowierzanie.

- Żartujesz.

- Mówię absolutnie poważnie.

- Ale wcześniej twierdziłaś, że... - Słowa odpłynęły w nicość. Sprawiał wrażenie zagubionego, jakby zupełnie nie wiedział, jak wyrazić to, co czuje.

Nie przejmowała się tym. Z chwilą gdy podjęła decyzję, stać ją też było na determinację.

- Musimy ustalić pewne żelazne zasady - zawyrokowała. Patrzył na nią osłupiały.

- Żelazne zasady?

- Musimy często przebywać ze sobą. Spotykać się co najmniej dwa lub trzy razy w tygodniu. Przecież tak właśnie postępują pary, które zamierzają się pobrać, prawda?

- No... niby tak. Ale...

Przerwała mu, zanim zdołał wyrazić jakiegokolwiek wątpliwości. Nie chciała ich słyszeć.

- Jak ty to zniesiesz? Czy naprawdę możesz spotykać się ze mną kilka razy w tygodniu przez cały miesiąc?

- Oczywiście - obruszył się.

- Nie wyglądasz na uradowanego tą perspektywą.

- Zapewniam cię, że bardzo mnie to cieszy.

Wolała nie rozwodzić się znowu nad tym tematem. Wróciła do omawiania warunków, na jakich mieliby uchodzić za narzeczonych.

- Nie mógłbyś spotykać się z innymi kobietami przed upływem miesiąca; dopóty, dopóki postanowię, że nie jesteś dla mnie odpowiednim partnerem.

- Nie mam żadnych przyjaciółek... oprócz ciebie - zapewnił urażony.

Poczuła palące rumieńce na twarzy. Już miała dotknąć policzków zimnymi dłońmi, ale powstrzymała się, bo przecież nie powinien dostrzec jej zakłopotania.

- Cóż, po ostatniej nocy chyba rzeczywiście mogę się nazwać twoją przyjaciółką - zauważyła z przekąsem.

Nie zareagował na tę ironiczną uwagę. Milczał, obrzucił ją tak wymownym, pełnym żaru spojrzeniem, że oblała ją fala gorąca. Resztką woli nakazała sobie spokój, usiłując zignorować te doznania.

- Wobec tego - podjęła znów - będziemy się dość często spotykali. Oczywiście tylko w okresie, który dziś sobie wyznaczyliśmy. Poza tym sądzę... - Próbowała znaleźć jakieś subtelne słowa na wyrażenie najważniejszej kwestii.

- Co sądzisz?

- Uważam, że powinniśmy unikać takich nocy jak ta ostatnia. Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Masz na myśli seks.

- Właśnie.

- W porządku. - W jego głosie wyczuła więcej goryczy niż szczerości. - To chyba rozsądna decyzja.

- Też tak uważam.

Rzeczywiście tak sądziła. W każdym razie tak sądziła Lynn Taylor, jaką była dotychczas, do ostatniej, jakże niezwykłej nocy.

Za to nowa Lynn Taylor - ta w czerwonej kreacji z kaszmiru, która przeżyła cudowne chwile w ramionach Rossa... Cóż, ta Lynn poczuła teraz ogromny żal, że nie będzie jej dane po raz wtóry doświadczyć tej cudownej bliskości.

- Jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz?

- Tak.

- Wobec tego wszystko już ustalone - powiedział wstając.

Jeszcze raz tego wieczoru odprowadziła go do drzwi.

- Równie dobrze możemy zacząć jutro - zaproponowała, zanim wyszedł.

- Jutro...? - Spojrzał na nią niepewnie. Skinęła głową na potwierdzenie.

- Jutro jest sobota, więc nie idę do szkoły. Możesz przyjechać po mnie tu, do domu. Może w południe?

- I co będziemy robić?

- Zjemy razem lunch. W Hip Hop Cafe.



## ROZDZIAŁ 10

Przyjechał punktualnie w nowej marynarce i spodniach oraz pięknych butach z cielecej skóry. Uśmiechał się promiennie, najwyraźniej był w świetnym humorze.

Ogarnęła ją złość. Oto mieli razem pójść do Hip Hop, udając parę zakochanych, a on uśmiechał się, jakby go to szczerze bawiło. Po jego wyjściu poprzedniego wieczora miała wiele do przemyślenia. Fakt, że zaaprobowała kłamstwo Rossa i że w dodatku wspólnie z nim zamierzała oszukiwać mieszkańców Whitehorn, nadal nie dawał jej spokoju. Wciąż od nowa zastanawiała się nad całą sytuacją.

Poza tym zupełnie nie wiedziała, w co się ubrać na spotkanie z Rossem. Wszystko, co miała w szafie, z wyjątkiem czerwonej sukni, która z pewnością nie pasowała do lunchu w miejscowym lokaliku, wydawało się zbyt... pospolite i nudne. Brązowe lub szare. Niby były to różne stroje, ale wszystkie równie nieciekawe. Zdecydowanie nie mogła wyglądać w nich atrakcyjnie.

Przecież już dłużej nie chciała być szarą myszką. Potrzebowała modnych ubrań utrzymanych w jaskrawszych barwach! Postanowiła pojechać do Billings, gdy tylko nadarzy się okazja, i zaopatrzyć się w coś odpowiedniego.

Zdecydowała się wreszcie na niebieskie džinsy i puszysty biały sweter. Jedno i drugie było obcisłe, podkreślało krągłości sylwetki. Sweter miał kuszący dekolt w kształcie litery V. Nie mogła wymyślić nic lepszego w tak krótkim czasie.

Ross zmierzył ją krótkim spojrzeniem, które wprawilo ją w zakłopotanie, ponieważ jawnie wyrażało aprobatę dla jej wyglądu.

- Gotowa? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Wyglądasz, jakby ta sytuacja nagle wydała ci się całkiem zabawna - zauważyła tonem, który zdradzał zdenerwowanie.

Ross nie podzielał jej niepokoju i najwyraźniej postanowił, że nie będzie się przejmował jej humorami.

- Przecież wczoraj wszystko uzgodniliśmy. Dziś za późno na wątpliwości. Nie ma też powodu do obaw - skwitował jej uwagę.

Otworzyła usta, chcąc rzucić jakąś kąśliwą ripostę, ale zreflektowała się. Może faktycznie nie ma o co rozdzierać szat?

- Proszę - powiedziała, wręczając mu białą, urzędową kopertę.

- Co to jest? Wezwanie do sądu?

- Bardzo śmieszne. To sprawozdanie na temat Jenny, o które sam prosiłeś.

Przez pół nocy męczyła się, nie mogąc zasnąć, więc postanowiła, że równie dobrze może w ten sposób spożytkować czas.

- Wspaniale. - Ross wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Idziemy?

Może się wycofać? - pomyślała Lynn, bo dreszcz strachu przebiegł jej po plecach na myśl, że wkroczy do Hip Hop Cafe, trzymając pod rękę Rossa. Przecież już niemal całe miasto wiedziało, gdzie i jak spędziła urodzinową noc. Fakt, że się zaręczyli, usprawiedliwiał ją w znikomym stopniu.

Jej rozterki nie uszły uwagi Rossa.

- Znów wyglądasz na spiętą. Czy to strach przed pokazaniem się z narzeczonym w miejscu publicznym? - spytał beztróskim, wręcz kpiarskim tonem, który tak ją irytował.

- Wcale nie - skłamała. - Pomóż mi włożyć płaszcz.

Hip Hop Cafe urządzone w stylu, który przywodził Lynn na myśl określenie „magazyn różności”. Wokół stolików przykrytych ceratą w czerwoną kratę stały krzesła, przy czym każde z nich pochodziło z innego kompletu. Ściany dekorowały rozmaite ozdoby prawdopodobnie kupione gdzieś na pchlim targu. Wisiały tu oprawione w ramki obrazki z wyszytymi morałami, malowidło Geronima, a nawet wielki, wyciągnięty z lamusa łeb łosia.

Na widok wchodzącej Lynn wspartej na ramieniu Rossa w lokalu zapanowała cisza. Pierwszą osobą, którą zauważyli, była Lily Mae Wheeler. Największa plotkarka w miasteczku siedziała przy swoim ulubionym stoliku pod ścianą na wprost drzwi, skąd doskonale widziała, kto wchodzi i wychodzi. Towarzyszyła jej Winona Cobbs.

Lynn zacisnęła rękę na ramieniu Rossa, spoglądając ukradkiem na te dwie kobiety. Odpowiedział gestem, kładąc swoją dużą, ciepłą dłoń na jej rękę i uśmiechnął się promiennie, by dodać jej otuchy.

Jest szczery czy udaje? - zaczęła się zastanawiać, ale szybko uznała, że to nie ma znaczenia. Wprawdzie Ross był może zbyt pogodny jak na jej nastrój, ale był tu przy niej, stawiając czoło mieszkańcom miasta. I to się liczyło.

Lily Mae przerwała ciszę dziewczęcym chichotem.

- Patrzcie, toż to nasze papużki nierozłączki!

Ross przyciągnął Lynn nieco bliżej. Miała ochotę przytulić się do niego, a jednocześnie odsunąć go. Nie uczyniła ani jednego, ani drugiego, uśmiechnęła się tylko i miała nadzieję, że nie wygląda na wstrząśniętą, choć rzeczywiście targały nią emocje, z którymi nie potrafiła się uporać.

Nagle poczuła jego twarz w swoich włosach, i to w chwili, gdy stali na oczach wszystkich gości Hip Hop Cafe.

- Pamiętaj - szepnął z nosem wtulonym w jej włosy - że to ty wpadłaś na pomysł przyjscia tutaj.

Lynn wołała nie odpowiadać, zresztą nawet nie zdążyłaby, bo Lily Mae już zaczęła machać do nich ręką. Bransoletka wykonana z kamienia barwy karmelowej, połączonego ciężkimi złotymi ogniwami, zabrzęczała nagłaco.

- Tutaj, prosimy tutaj, przywitajcie się z nami.

Przeszli więc między stolikami, mrużąc „dzień dobry” osobom, które znali. Lynn ta krótka droga wydała się maratonem.

Wreszcie dotarli do stolika Lily Mae. Ta chodząca encyklopedia miasteczka nie marnowała czasu. Od razu przeszła do rzeczy.

- Podobno szykuje się wesele.

Lynn spojrzała na Winonę. Uśmiechała się. Ten uśmiech wydawał się zagadkowy, tajemniczy. Lynn miała szczerą nadzieję, że Winona nie skorzysta z okazji, nie wpadnie w kolejny trans i nie zacznie paplać o książkach i pierścionkach oraz ciemnych nocach pełnych grozy i nieszczęść.

- Jak tam, kochanie? - spytała Lily. —Czy ty i twój przyjaciel rzeczywiście chcecie się pobrać?

- Ależ my...-Głos uwiązał Lynn w gardle. Ross podjął za nią wyzwanie:

- Tak, pani Wheeler. Dzięki Lynn jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Wyraziła zgodę i wkrótce zostanie panią Garrison.

Lynn spojrzała na niego osłupiała, jednocześnie powtarzając w myśli jego słowa. „Najszczęśliwszym człowiekiem na świecie”. Doszła do wniosku, że zdecydowanie przesadził. Ross odpowiedział charakterystycznym promiennym uśmiechem.

- Gratuluję - wtrąciła znów Lily Mae. - Ma pan ogromne szczęście.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł, przy czym jego głos zabrzmiał absolutnie szczerze.

Dlaczego jestem na niego zła? - zadała sobie w duchu pytanie Lynn.

- Nie widzę pierścionka. - Lily Mae kontynuowała dochodzenie.  
- Lynn, kochanie, dlaczego go nie nosisz?

- Właśnie - wtrąciła słodkim głosikiem Winona. - Przecież musiałaś dostać pierścionek.

Lynn przeniosła spojrzenie na starszą panią, która wyglądała całkiem przytomnie, chociaż... Czy w jej mądrych oczach nie tliło się coś przewrotnego?

- Och, to wszystko nastąpiło tak szybko. Nawet nie... - zaczęła Lynn, ale Ross znów pospieszył jej na ratunek.

- Zajmiemy się tym zaraz po lunchu.

- Naprawdę? - To słowo samo wymknęło się z ust Lynn, zanim zdążyła pomyśleć, jak było niezręczne.

Lily Mae spojrzała na Rossa, unosząc brwi. Ross jednak nie stracił rezonu.

- To miała być niespodzianka. Ale skoro i tak wszystko wyszło na jaw... Natychmiast po wyjściu z restauracji zabieram Lynn do pewnego jubilera w Billings, aby sama wybrała to, co się jej spodoba.

- Ach, tak - rozpromieniła się Lily Mae. - Czyż to nie cudowne?

- Tak, wprost fantastyczne - zgodziła się Winona.

- Proszę jej kupić piękny duży brylant, panie Garrison - radziła Lily Mae. - Nic tak nie przekonuje dziewczyny o oddaniu mężczyzny jak brylanty.

- Wezmę to pod uwagę - zapewnił Ross. - A teraz, panie wybaczą...

Duże brązowe kamienie w bransoletce Lily Mae znów zabrzęczały.

- Oczywiście, zmykajcie. Znajdźcie sobie jakiś przyjemny, zaciszny kącik.

Lynn zaczekała, aż Janie, kelnerka, która wskazała im stół, przyjmie zamówienie. Dopiero wtedy nachyliła się do Rossa i szepnęła:

- Do Billings? Mielibyśmy jechać do Billings?

- Zamierzałem ci to zaproponować, ale Lily Mae mnie uprzedziła. Kochanie, przecież musisz mieć pierścionek.

Nie podobał jej się sposób, w jaki wymówił słowo „kochanie”...

Chociaż? Właściwie może nawet by zaaprobowwała ten ton, tylko wolałaby, żeby zabrzmiał bardziej szczerze.

Na środku stolika stała plastikowa karta z rysunkami deserów.

Ross wziął ją do ręki.

- Hm. Banan w cieście, ze śmietaną. Wygląda smakowicie.

- Zaczekaj najpierw, aż przyniosą kanapki.

- Cóż, planuję zawczasu.

- Mnie nie bierz pod uwagę w tych planach - przekomarzała się.

- Daruję sobie deser.

- Może zdołam cię namówić - stwierdził, odkładając kartę deserów.

Pomyślała o ciastku czekoladowym. Albo o lodach waniliowych, rozpuszczających się na języku. Ross z pewnością bezbłędnie odgaduje jej myśli.

- Nie dzisiaj - zdecydowała stanowczo.

- Mały deser od czasu do czasu na pewno ci nie zaszkodzi - kusił.

- Niby nie, ale... muszę dbać o linię.

- Co takiego?

To jawna kpina. Nie wierzył jej. Przyszło mu na myśl, że Lynn nawiązuje do ich wspólnej nocy, gdy kusił ją lodami...

- Naprawdę mam skłonności do tycia - brnęła dalej, chociaż było jej głupio i czuła się niezręcznie.

- To niemożliwe. Przecież wcale nie jesteś za graba -  
zaoponował.

Sprawił jej przyjemność tym stwierdzeniem. Naprawdę. Szkoda tylko, że nie była w odpowiednim nastroju i wszystko wyprowadzało ją z równowagi.

- Ale kiedyś byłam. Może jednak porozmawiamy o czymś innym? - zaproponowała, rozglądając się po sali, w której panował nieopisany zgiełk i niby nikt nie mógł ich słyszeć, ale kto to wie?

- Oczywiście - zgodził się. Oparł łokcie o blat stolika, pochylił się w jej stronę i spytał: - To o czym chciałabyś porozmawiać?

- Utrzymujmy to wszystko w lekkim, żartobliwym tonie -  
szepnęła wbrew samej sobie. - Bądź czuły...

- To mogę zawsze.

- Zauważyłam - przyznała, myśląc jednocześnie: potrafisz  
dobrze udawać. Aż nadto dobrze.

Janie przedarła się przez tłum gości, którzy przyszli na lunch, i przyniosła im kanapki. Lynn odczuła wyraźną ulgę, widząc zbliżającą się kelnerkę.

- Zjedzmy i wyośmy się stąd - ponaglała.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Dwadzieścia minut później siedzieli już w jego mercedesie, w drodze do Billings.



- Piękny dzień - zauważył, gdy nikt nie szosę, pozostawiając ogrodzenia i pasące się zwierzęta po obu stronach jezdni. - Słoneczko świeci, a niebo jest niebieskie jak twoje oczy. - Spojrzał na nią, ale zaraz przeniósł wzrok na drogę i dodał już poważniejszym tonem: - A teraz... o co chodzi?

Och, nic specjalnego, pomyślała. Prócz tego, że chyba się w tobie zakochałam. I chciałabym, żeby to wszystko działa się naprawdę.

Znow spojrzał na nią.

- Czyżbyś postanowiła coś innego w kwestii naszych zaręczyn na niby?

- Nie.

Nie miała takiego zamiaru. Chciała wykorzystać tę szansę, tylko że tak bardzo pragnęła zamienić kłamstwo w prawdę!

- Wobec tego dlaczego zachowujesz się jak dzieciuch? To do ciebie niepodobne.

Miała ochotę rozplakać się, wykrzyknąć, że przecież wcale nie wie, jaka ona jest naprawdę, zna ją zaledwie od dwóch dni!

Jednak się powstrzymała.

Miał rację. Rzeczywiście zachowywała się jak dziecko.

Rozdrażniona, poirytowana, rozkapryszona, sama nie wiedziała, czego chce i czego oczekuje.

Przestała być sobą. Nie była bez skazy, miała swoje wady, ale nigdy dotąd nie można jej było zarzucić, że postępuje infantylnie.

Tylko że... denerwowało ją takie zwodzenie, okłamywanie. Nie podobało jej się to. Złościło ją tak samo jak fakt, że poszła do łóżka z mężczyzną, którego na dobrą sprawę nie знаła.

Stało się jednak i nie da się tego odwrócić. Do tego tkwiła w kłamstwie. Co prawda, chciała w ten sposób uratować swoją reputację. A skoro zamierzała w nim wytrwać, to nie ma wyjścia, musi się z tym jakoś pogodzić.

- Martwisz się z powodu swojej rodziny? - spytał z nie udawaną troską.

Żal ścisnął jej serce.

- Tak - przyznała cicho.

- Naprawdę było aż tak źle? Mam na myśli to, co się wydarzyło wczoraj.

Dał jej szansę porozmawiania o tym, sugerując, że chętnie jej wysłucha. Poczowała falę przyjemnego ciepła. A przecież nie było to zgodne z jej planem. Przecież chciała, żeby to on się przed nią otworzył.

Z drugiej strony, jeśli ona podzieli się z nim swoimi kłopotami, może i jemu łatwiej będzie opowiedzieć jej o swoich.

- To było okropne - wyznała. - Macocha nazwała mnie podstępną zmiją. Arlene nakrzyczała, że jestem śmieciem, a Trish... Cóż, możesz sobie wyobrazić.

Owszem, mógł.

- Trish popłakała się i obwiniała cię o to, że zabrałaś jej chłopaka, czyli mnie.

Jedyne, na co Lynn mogła się zdobyć w tym momencie, to ciche potwierdzenie.

- Nigdy nie byłem jej chłopakiem, Lynn. Nawet o tym nie myśl. Dawałem jej wyraźnie do zrozumienia, że nie ma na co liczyć. Wielokrotnie. - Zmienił ułożenie rąk na kierownicy. -Przypuszczam, że powiedziała ci, iż zrezygnowała...

- Tak, wspomniała o tym. - Lynn zerknęła na Rossa. Patrzył przed siebie, na drogę. - Domyślam się, że poczułeś ulgę i... mniejsza o to. Nie chcę się wtrącać. Rozumiem cię, bo dobrze znam swoją siostrę. - Westchnęła ciężko. - Wyprowadziła się z mojego domu. Powiedziała, że ani chwili dłużej nie zostanie pod jednym dachem z kimś takim jak ja.

- Może nie powinienem, ale muszę to powiedzieć. Odnoszę wrażenie, że lepiej ci będzie bez niej. I bez Jewel i Arlene.

Lynn odwróciła głowę, spoglądając przez szybę na przydrożne skały i gęste, suche zarośla.

- Sama o tym myślałam - przyznała.

- Mówisz tak cicho, że ledwie cię słyszę. Obróciła głowę w jego stronę.

- Niełatwo się z nimi dogadać. Zrozumiałam wreszcie, że przez te wszystkie lata one mnie tłamsiły. Potrzebowałam ich miłości. Być może nawet nie okazywałam im, jaka jestem naprawdę, aby nie pogarszać sytuacji. Ale nie chcę tego dłużej tolerować, więc nie ma o czym mówić. Tyle że nie mogę zapomnieć, jak Jewel martwiła się o mnie i nie spała przez całą noc, by się mną opiekować, kiedy miałam

zapalenie płuc. Nie zapomnę, jak trzymała rękę na moim czole, sprawdzając, czy mam gorączkę. W tamtej chwili na pewno mnie kochała. - Lynn umilkła, zamyślona. Po chwili mówiła dalej: - Kiedyś jakiś chłopak w szkole nazwał mnie grubą, tłustą świnią. Trish napluła mu wtedy w twarz i podbiła oko. Ostrzegła, żeby lepiej nie lekceważył jej siostry, bo pożałuje. Zawieszono ją nawet za to na tydzień w prawach ucznia.

Na ustach Rossa zagościł nikły uśmiezek.

- Trish jest zadziorna. Wiem coś na ten temat.

- No, właśnie. A Arlene...

- Co Arlene?

- Sześć lat temu, kiedy wychodziła za Clyde'a... Clyde to jej mąż... bardzo jej zależało, żebym była druhną i wystarała się o odpowiednią sukienkę dla mnie. Wybrała mój ulubiony kolor, zadbała o to, żeby sukienka była dopasowana. A potem, gdy rzucała bukiet, celowała we mnie. - Lynn z trudem powstrzymała chichot. - Trish chyba nigdy jej tego nie wybaczy. Prawdopodobnie Arlene zdawała sobie sprawę, że... biorąc pod uwagę mój wiek, cóż, ja bardziej potrzebowałam tego bukietu niż Trish.

- Arlene źle to skalkulowała - skomentował Ross, spoglądając na Lynn.

- Potraktuję to jako komplement.

- Świetnie, bo właśnie to miałem na myśli.

Spojrzeni na siebie i uśmiechnęli się jednocześnie, po czym Ross skoncentrował się znów na prowadzeniu samochodu.

- Dlatego jeśli spytasz, czy zależy mi na pogodzeniu się z Jewel i moimi przyrodnymi siostrami, to odpowiem twierdząco. Tak, naprawdę mi na tym zależy. To moja rodzina. Nie chcę ich stracić. Muszę jakoś znaleźć sposób na zażegnanie konfliktu.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Lynn przerwała je pierwsza.

- A jak tobie układa się z rodziną?

- To znaczy? - spytał niby lekko, zdawkowo, ale trudno było nie wyczuć podtekstu: trzymaj się z dala.

- Wspomniałeś, że nie jesteście sobie bliscy...

- To prawda. Spróbowała jeszcze raz:

- Mówiłeś, że twoi rodzice już nie żyją. Co im się stało? Nie odzywał się tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle usłyszał pytanie.

Wreszcie jednak odpowiedział:

- W zasadzie nie rozmawiam z nikim na ten temat. Ludzie na ogół lubią, gdy ich prawnicy pochodzą z solidnego, wiarygodnego środowiska. Ponieważ ze mną jest inaczej, zwykle bagatelizuję pytanie, ilekroć ktoś takie zada. Nie kłamię, po prostu unikam rozmów na ten temat.

- Mam rozumieć, że prosisz, bym nikomu o tym nie mówiła?

- Właśnie.

Miała wrażenie, że za chwilę braknie jej tchu. To już jakiś postęp, prawda? W końcu wyjawí jeden sekret. Dostrzegła to w jego oczach.

- W porządku. Daję słowo. Na pewno nikomu nic nie powiem.

- Mój ojciec miał sporo wad - powiedział po chwili Ross. - Był hazardzistą, pił. Poza tym podrywał cudze żony. A matka też lubiła sobie wypić. Umarła na niewydolność wątroby. Ojciec skończył życie w cudzym łóżku. Mąż pewnej kobiety pojawił się nieoczekiwanie i zastrzelił go. Niezbyt przyjemny sposób pożegnania się z życiem...

Słowa współczucia cisnęły się Lynn na usta, ale nie odezwała się. Wyciągnęła tylko rękę i dotknęła ramienia Rossa.

- Jak widzisz, daleko mi do księcia.

- Za to daleko zaszedłeś - pochwaliła cicho.

- To proste: zawsze wiedziałem, czego chcę.

- I konsekwentnie dążyłeś do celu.

Spojrzał na nią oczami przypominającymi agaty: gładkie i nieprzeniknione.

- To prawda. Nic nie mogło mnie powstrzymać.

Zdjęła rękę z jego ramienia i odsunęła się. Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej, ale nie śmiała.

Później, pomyślała. Musi upłynąć trochę czasu. Przecież dzięki kłamstwu często będziemy przebywać razem.

Czas...

Kupił jej absurdalnie drogi pierścionek zaręczynowy wraz z obrączką. Obrączkę zdobiły brylanty, a klejnot w pierścionku był tak duży jak nowa gumka w końcówce grubego ołówka. Połyskiwał teraz na jej palcu.

Protestowała, tłumacząc, że nie trzeba, że równie dobrze mogą kupić jakiś sztuczny kamień. Wyglądają tak samo jak prawdziwe, a biorąc pod uwagę ich sytuację, sztuczny w zupełności by wystarczył, przekonywała.

Ross jednak zaproponował.

- Nie możemy zawieść Lily Mae, prawda? Zresztą, dlaczego nie miałbym kupić prawdziwego klejnotu? Stać mnie na to. Poza tym tak ładnie wygląda na twojej dłoni.

- Ross. To niepotrzebne. A już na pewno nie powinniśmy myśleć o obrączkach.

- Owszem, powinniśmy, skoro podoba nam się ten pierścionek. One tworzą komplet. - Zwrócił się do sprzedawcy, który, jak na elegancki sklep przystało, stał dyskretnie w pewnej odległości. Obserwował ich nieco zakłopotany. - Bierzemy je. Pani od razu włoży pierścionek zaręczynowy.

Sprzedawca, cały w uśmiechach, odmaszerował wzdłuż rzędu szklanych gablot, aby zapisać duży utarg.

Kiedy wyszli od jubilera, Ross zaprosił Lynn na obiad.

- Widzę, że koniecznie chcesz zobaczyć, jak wyglądam z kilkukilogramową nadwagą - powiedziała, krzywiąc się zabawnie.

Przyznał, że to niezbyt rozsądny pomysł, bo przecież dopiero co zjedli lunch.

- Wobec tego, co będziemy robić? - zastanawiał się. Lynn zerknęła na pierścionek na palcu. Rzucił imponujące refleksy, odbijając promienie słońca. Poczula się... wprost fantastycznie.

Wprawdzie wszystko jest kłamstwem, ale cóż to za cudowne kłamstwo. Pierścionek od Rossa. Perspektywa spędzenia wspólnego wieczoru. Wielu wieczorów. Przynajmniej przez miesiąc.

- Moglibyśmy pójść do zoo, ale chyba zamykają je już o piątej. Zerknął na zegarek.

- Została tylko godzina. Wymyślmy coś innego. zaproponowała galerię sztuki. Spodobał mu się ten pomysł. I tak przez kolejne dwie godziny przechadzali się po salach niedawno rozbudowanego muzeum, podziwiając dzieła wybitnych zachodnich artystów. Trzymali się za ręce, chociaż naprawdę nie było takiej potrzeby, bo nie spotkali nikogo znajomego.

Później Lynn uległa namowom Rossa i poszli do restauracji w pobliskim hotelu. Próbował ją nawet namówić na deser, ale oparła się pokusie.

Było już po dziesiątej, gdy podjechali pod jej dom. Miała ochotę go zaprosić, ale uznała, że byłoby to przeciąganie struny. Gdy weszli na schody przed domem, pocałował ją.

- To na wypadek gdyby widzieli nas sąsiedzi - szepnął, z ustami na jej ustach.

Poddała się pocałunkowi. Przesunęła ręce po klatce piersiowej Rossa, objęła jego szerokie ramiona i westchnęła słodko, czując delikatne muskanie języka.

Zanim się odsunął, była już na tyle oszołomiona i rozmarzona, że znów pomyślała o zaproszeniu go do domu. W końcu... cóż to szkodzi? Był sobotni wieczór. Nazajutrz nie musiała iść do pracy.



Ross z pewnością odgadł jej myśli, bo szepnął:

- Lepiej nie. To nie byłoby rozsądne.

Cofnęła się, aczkolwiek niechętnie. Powiedzieli sobie dobranoc i Lynn weszła po schodach, jednocześnie patrząc, jak Ross odmaszerowuje po pożółkłym trawniku do swojego mercedesa. Wsiadł wreszcie, ale zanim odjechał, odwrócił się jeszcze i spojrzał na nią zza kierownicy.

Pomachała mu ręką na pożegnanie, a on odwzajemnił ten gest zupełnie jak oczarowany kochanek. Jakby trudno mu było się z nią rozstać, chociaż wiedział, że najwyższa pora wracać.

Po wejściu do domu Lynn powiesiła płaszcz w szafie i wbiegła po schodach na górę. Czuła się bosko, lekko, jakby dobra wróżka zamieniła ją w musujący bąbelek szampana.

Roześmiała się, przechodząc obok pokoju Trish. Drzwi były uchylone, więc zajrzała do środka.

Siostra widocznie przyjechała w ciągu dnia po swoje rzeczy. Zostało tylko kilka starych czasopism dla kobiet, rozrzuconych po porysowanej drewnianej podłodze, i kilka grubych szarych kłębków kurzu. Odtruwały spod stóp Lynn, gdy stapała po pustej, rozbrzmiewającej echem przestrzeni.

- Och, Trish - westchnęła do gołych ścian i pustych okien - gdzie przechowujesz swoje meble?

Z pewnością nie ma na nie miejsca w domu Arlene i Clyde'a, gdzie Trish musi dzielić pokój z ich trzyletnią córeczką - Darią Sue.

Lynn schyliła się i podniosła czasopisma. Musi upłynąć trochę czasu, pomyślała. Chociaż tydzień. Potem zadzwonię do Arlene. Na tę myśl poczuła bolesny skurcz żołądka. Odrzucenie. Tylko tego może się spodziewać, kiedy podejmie taką próbę. Przynajmniej na początku.

- Na razie muszę trochę odczekać. - Znów przemówiła do pustki.

Tak, choć trochę...

Scandalous

## ROZDZIAŁ 11

Nazajutrz po południu Danielle odwiedziła Lynn w szkole. Przedtem zawiozła córeczkę do McCallumów.

- Zależało mi, żebyśmy choć przez chwilę były same - przyznała. - Uwielbiam swoje dziecko, ale Sara potrafi zagadać wszystkich, nie mogłybyśmy przy niej porozmawiać.

Lynn zaprowadziła przyjaciółkę do kącika śniadaniowego. Tu podsunęła jej krzesło i poczęstowała kawą.

- Podobno się zaręczyłaś. - Danielle od razu przeszła do rzeczy. - Brylant na twoim palcu potwierdza te pogłoski. Pokaż mi go - poprosiła, odsuwając filiżankę.

Żal ścisnął serce Lynn, gdy wyciągała rękę ponad stołem. Pod wpływem impulsu chciała wyznać przyjaciółce prawdę. Jednak w porę się pohamowała. To jej kłamstwo. Jej i Rossa. Danielle nie powinna poznać prawdy, bo zapewne czułaby się niezręcznie, utrzymując innych w kłamstwie, a przecież Lynn musiałyby ją o to poprosić.

- Jest śliczny. - Danielle puściła rękę przyjaciółki i przyjrzała jej się badawczo. - Szczęśliwa?

- Jeszcze jak!

- Sama widzisz, że moje życzenia się spełniają.

- Jesteś najlepszą wróżką, jaką, ja, Kopciuszek, mogłam sobie wymarzyć.

Danielle bawiła się kubkiem, przesuwając go po stole.

- Jak zareagowały na to twoje siostry? - spytała ostrożnie.

- Cóż, Trish... jak by to powiedzieć? Zakochała się, i to bardzo, w Rossie. Uznała więc, że ją zdradziłam. - Lynn przerwała, jakby chciała dać przyjaciółce szansę zapytania: „A miała rację?” - chociaż i tak nie wiedziałyby, co na to odpowiedzieć.

- Trish porzuciła pracę u Rossa i przeniosła się do Arlene - dokończyła po chwili.

- To straszne.

- Trafne określenie.

- Niełatwo mi to powiedzieć, ale...

- Wiem, wiem. Nie mam czego żałować, prawda?

- Niestety, przyjaciółki, podobnie jak fryzjerki, zawsze powiedzą ci prawdę.

- Może masz rację, ale ja kocham macochę i siostry i muszę się z nimi pogodzić.

- Życzę powodzenia. Na pewno będzie ci ono potrzebne.

We wtorek i czwartek Ross przyjechał po Lynn do szkoły w porze, gdy kończyła zajęcia. Zabrał ją na lunch. We wtorek do Hip Hop, a w czwartek do State Street Grill.

W czwartek poinformował ją, że zatrudnił nową sekretarkę

- panią Beatrice Simms. Pani Simms od niedawna mieszkała w Whitehorn, więc Lynn jeszcze jej nie знаła.

- Po twojej minie widzę, że sekretarka dobrze wywiązuje się z obowiązków - zauważyła.

- Wydaje się... bardzo zorganizowana i kompetentna. Lynn wiedziała, że Ross mówi dość oględnie ze względu na jej lojalność wobec Trish.

- Mam szczerą nadzieję, że okaże się bardzo pomocna - powiedziała z przejęciem. - Czyli teraz potrzeba ci już tylko gosposi, prawda?

- W rzeczy samej. Warstwą kurzu na stołach jest tak gruba, że mógłbym na nich pisać palcem. We wtorek przyszła kobieta do pomocy, ale prawdę mówiąc, nigdy byś nie powiedziała, że ktoś tam sprzątał. Jedyne ślad, jaki po niej pozostał, to pranie w suszarce.

- Czy przypadkiem nie znalazła mojego pantofla?

Na chwilę w oczach Rossa pojawił się ciepły błysk. Lynn nie miała wątpliwości, że wywołało go wspomnienie ich wspólnej nocy.

- Nie... w każdym razie nie raczyła nic o tym wspomnieć.

Czerwone buty były bardzo drogie. I podobnie jak kaszmirowa sukienka, stanowiły pamiątkę po tamtej magicznej, zakazanej nocy. Nawet gdyby miała już nigdy ich nie nosić, koniecznie chciała je zatrzymać.

- Sądzisz, że mogła go wyrzucić?

- Znając tę kobietę... wszystko możliwe. Porozmawiam z nią w przyszły wtorek, dobrze? I sam się jeszcze rozejrzę.

- To dość dziwne, nie uważasz? Że mógł tak po prostu zniknąć.

- Musi gdzieś być - odparł, wzruszając ramionami.

Przez chwilę miała nawet wrażenie, że może jednak on sam znalazł but, tylko z jakichś powodów nie chce jej go oddać. Może

wolał go zachować na pamiątkę? Na samą myśl o tym poczuła, jak fala ciepła zalewa jej policzki.

Ross zmarszczył brwi.

- Lynn, przysięgam, nie zatrzymałbym twojego pantofla -odgadł jej myśli.

- Nie wątpię. Gdybyś go jednak znalazł...

- Na pewno się znajdzie. Przyrzekam ci to. Czy masz ochotę na deser?

Odmówiła z czarującym uśmiechem.

W piątek wieczorem wybrali się na bal zorganizowany w ratuszu z okazji Halloween. Lynn przebrała się za kota. Wypożyczyła odpowiedni kostium od pewnej nauczycielki, koleżanki z pracy. Ross włożył strój pirata. Podobał się Lynn w śmiesznej haftowanej kamizelce i krawacie plecionym ze sznurka. Przykleił sobie nawet wąsy.

Niespodziewanie na balu spotkali Trish. Wyglądała ślicznie. Ubrana w sukienkę z czerwonej satyny, niewątpliwie była królową balu. Gdy ich spojrzenia na chwilę się spotkały, Lynn zauważyła, że drobna twarz siostry odzwierciedla emocje, jakie wywołał ich widok: zaskoczenie szybko przeszło w złość. Trwało to zaledwie kilka sekund, po czym Trish odwróciła głowę i wybiegła jak szalona.

Lynn okręciła dyndający koci ogon dookoła ręki i zaprosiła Rossa do tańca.

- To najlepsza oferta, jaką mi złożono dzisiejszego wieczoru - wyznał z czarującym uśmiechem.

Tańcząc w ramionach Rossa, Lynn była szczęśliwa jak nigdy, zdołała nawet odsunąć powracającą myśl, że przecież będzie musiała jakoś nawiązać kontakt ze swoją rodziną.

Wyszli z balu o pierwszej w nocy. Ross odwiózł ją do domu i pocałował, gdy stali na schodach, podobnie jak w wieczór, gdy kupił jej pierścionek, i później dwukrotnie po wspólnym lunchu.

Nie wszedł do środka. Nie zapraszała go, a i on nie wyraził takiej chęci. Oboje starali się zachować ostrożność i nie kusić losu, dlatego unikali bycia sam na sam w ustronnych miejscach.

W poniedziałek wieczorem Lynn, choć nie bez oporów, zadzwoniła do Arlene. Odebrała Jewel. Ledwo Lynn zdążyła rzucić na powitanie „cześć”, usłyszała szcęk odkładanej słuchawki i sygnał. Poczula się okropnie i przez resztę wieczoru trudno jej było nie myśleć o macosze, która nie chciała z nią zamienić nawet słowa.

Nazajutrz po szkole Lynn pojechała do Billings na zakupy, chcąc poprawić sobie humor. Długo wędrowała po centrum handlowym Rimrock Mall od jednego stoiska do drugiego. W końcu zdecydowała się na trzy spódnice, pięć jasnych swetrów, trzy pary butów na dość wysokich obcasach, dwa kaszmirowe żakiety - jeden jaskrawoczerwony, drugi barwy jasnioletowej. Na koniec sprawiła sobie płaszcz z jasnoczerwonej wełny, dopełniając liczne jak na nią i nietypowe zakupy.

Wróciła do domu wieczorem, po dziewiątej. Chowiała właśnie nowe ubrania do szafy, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

To był Ross.

- Dzwoniłem trzy razy. Nikt nie odpowiadał, więc... Ucieszyła się na jego widok, a myśl, że tak bardzo zależało mu na rozmowie, iż dzwonił do niej praktycznie co godzina przez cały wieczór, sprawiła jej szczególną radość.

- Powinnaś sobie kupić automatyczną sekretarkę. Mógłbym przynajmniej zostawić ci wiadomość, a tak... okropnie się denerwowałem, że cię nie ma. Martwiłem się, czy coś ci się nie stało.

- Miałam automatyczną sekretarkę. To znaczy... ona należała do Trish. Zabrała ją ze sobą.

- Kupię ci nową.

- Sama o to zadbam, przyrzekam... Może wejdiesz na chwilę?

Sam uśmiech Rossa natychmiast poprawił jej nastrój i przyspieszył bicie serca.

- Wejdz, proszę - zachęcała, starając się nie dopuszczać myśli, że przecież łamią milczącą umowę, która nakazywała unikanie przebywania sam na sam.

- Napijesz się czegoś? - zaproponowała, wprowadzając go do kuchni. - Mam wszystko prócz alkoholu.

Poprosił o szklanekę soku jabłkowego i usiadł.

- Co porabiałaś od piątej?

- Wybrałam się do Billings na zakupy.

- Co zamierzałaś kupić?

- Ciuchy. Wreszcie kolorowe, a nie szare czy brązowe - roześmiała się.

- I znalazłaś coś ciekawego?



- O, tak. Gdyby moja karta kredytowa mogła jęczeć, zapewne usłyszałbyś straszne narzekania dobiegające z torebki.

Niewiele brakowało, a otarłaby się o niego, gdy przechodziła w kierunku krzesła. Chwycił ją za rękę. Natychmiast poczuła miłe mrowienie przechodzące w górę, rozprzestrzeniające się na policzki, a potem znów w dół aż do piersi.

- Co...? - spytała bez sensu, jakby chciała go powstrzymać. Nie odpowiedział jednak, tylko wstał i przyciągnął ją do siebie.

Położyła mu ręce na piersi i serce natychmiast zaczęło jej bić przyspieszonym rytmem.

- Ross...

- Ciii...

Pocałował ją, zsuwając rękę w dół pleców, by móc przyciągnąć ją do siebie i przytulić, jakby chciał ją w ten sposób przekonać, że bardzo się cieszy, iż znów są razem.

Mogłaby tak stać bez końca, odwzajemniając pocałunki, czując narastające rozkoszne ciepło ciała przygotowującego się... Ale nie mogła się poddać marzeniom, bo przecież wtedy nie zdołaliby się powstrzymać i nieuchronnie wylądowaliby w łóżku.

Przytuliła się jeszcze na chwilę, szepcząc znów jego imię, ostrzegawczo i... z żalem.

- Przepraszam - Puścił ją i cofnął się. Spróbowała obrócić to w żart.

- Widzisz? Nie możemy być razem, to niebezpieczne. Niezbyt dobrze znosił jej kpinę, przynajmniej w takiej jak ta chwili.

- To znaczy, że chcesz, bym sobie poszedł?  
- Ależ nie. Usiądź. Wypij sok.  
- Wypij sok - przedrzeźniał ją chłodno. - Mówisz zupełnie jak przedszkolanka.

- Przecież uczę najmłodszych.
- Ale ja nie jestem przedszkolakiem.
- Ross. Nie złość się, proszę.
- Nie powinienem był tu przychodzić - rzekł nachmurzony.
- Nie wiem, co mnie napadło.

Pragnęła go dotknąć, ale obawiała się, że tylko pogorszy sytuację.

- Może po prostu... chciałeś się ze mną zobaczyć. Przecież nie ma w tym nic złego.

- Czyżby?
- Oczywiście, że nie. Cieszę się, że wpadłeś.
- Nie wierzę.
- Naprawdę się cieszę. Ale teraz... usiądź, porozmawiajmy.
- O czym?
- O czym chcesz. - Wymieniła kilka bezpiecznych tematów:
- O pogodzie, o moich uczniach, o przykładowej pani Simms.
- Jednocześnie pomyślała o kilku mniej bezpiecznych: jego dzieciństwie, byłej żonie...

- Wątpię, czy sama rozmowa mnie usatysfakcjonuje - wyznał, patrząc na jej usta.

- Zdaję sobie z tego sprawę - szepnęła z czułością. - Ale nawet nie myśl o tym.

- Łatwo ci powiedzieć.

- Och, nie. Prawdę mówiąc, wcale nie jest mi łatwo. Ciekawa jestem, jak ci minął dzisiejszy dzień - podjęła nowy temat, gdy wreszcie usiedli. - Opowiedz mi. A jak skończysz, ja opowiem ci o swoim dniu. Potem, jeśli do tego czasu nie zaśniemy, wymyślimy sobie jakiś inny temat.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony i... Och, wyglądał tak bosko, że poczuła ukłucie w sercu.

- To przecież szaleństwo - skomentował.

- Szaleństwem nazywasz udawanie, że jesteśmy zaręczeni, czy to, że to dzisiaj przyszedłeś?

- Jedno i drugie.

- Możemy to przerwać w każdej chwili - powiedziała, natychmiast żałując tych słów. Bo przecież równie dobrze on może uznać też, że powinni się z tego wycofać.

Na szczęście nie zrobił tego. Przeciwnie, wstał i rzekł z powagą:

- Za wcześnie jeszcze na odwołanie narzeczeństwa. Musimy z tym poczekać kilka tygodni.

Czy na pewno? - korciło ją, powstrzymała się jednak od pytania w obawie, że mogłaby w ten sposób przyspieszyć zakończenie całej sprawy. A przecież to była ostatnia rzecz, jakiej pragnęła. Absolutnie.

Skoro koniec i tak miał nastąpić, chciała za wszelką cenę wykorzystać każdą chwilę z Rossem.

- Pójdę sobie - zdecydował. - Już po dziesiątej, a jutro oboje musimy wczesnie wstać do pracy.

- W każdym razie bardzo miło, że przyszedłeś.

- To szalony pomysł - powtórzył w zamyśleniu. Wstała, by odprowadzić go do drzwi.

W czwartek Lynn znów wykręciła numer do domu Arlene. Tym razem siostra odebrała telefon i nie odłożyła słuchawki, przynajmniej nie od razu.

- Och - westchnęła. - To ty. Jak się miewasz?

- U mnie wszystko w porządku.

Po chwili milczenia Arlene stwierdziła:

- Muszę przyznać, że żałuję, iż nazwałam cię śmieciem.

Naprawdę wcale tak nie myślę.

- Wiem.

- Jednak to, co zrobiłaś, było podłe i niskie.

- Przykro mi, że tak uważasz.

Arlene znów westchnęła ciężko, po czym na linii zapanowała głucha cisza. Mimo to Lynn uznała tę rozmowę za krok na drodze do naprawienia rodzinnych stosunków.

Nazajutrz wstąpiła na pocztę, by kupić specjalne karty z napisem „Kocham cię i tęsknię”. Wysłała po jednej do Jewel, Arlene i Trish.

Podczas weekendu, w sobotę, pojechała z Rossem do Billings. Zjedli w restauracji obiad i wybrali się do kina. W drodze powrotnej próbowała go nakłonić, aby opowiedział o swojej rodzinie, o tym, jak żył przed przyjazdem do Whitehorn. Wyznał, aczkolwiek niechętnie,

że gdy miał kilkanaście lat, pracował przez dwa letnie sezony jako pomocnik na ranchu. Było rozległe, większe od Kincaid, nieopodal Billings. Właściciel rancha polubił go, więc chętnie mu pomógł, pisząc odpowiednie referencje, gdy zaczął się starać o studenckie stypendium. Ów właściciel miał nawet kilku przyjaciół, którzy byli absolwentami Princeton.

- Prawdę mówiąc, użył swoich wpływów i w ten sposób pomógł mi w uzyskaniu stypendium, dzięki któremu mogłem podjąć studia na tej uczelni.

Lynn skwapliwie skorzystała z okazji, by zapytać:

- A jaką uczelnię skończyła twoja żona?
- Nie jestem żonaty - odparł, patrząc przed siebie, na drogę.
- Ale... byłeś żonaty? Kiedy mieszkałeś w Denver?
- Owszem.
- Jak ona miała na imię?
- Elana.
- Opowiedz mi o niej.

Wreszcie spojrzał na nią, ale w nieodgadniony sposób.

- Nasze małżeństwo nie układało się. Żona zmarła. Wolałbym nie mówić na ten temat.

- Umarła? A ja słyszałam, że się rozwiodłeś. - Lynn nie dawała za wygraną.

- Wiesz o tym od Trish, prawda? - zapytał z wyczuwalną odrazą.
- Tak, ale...

- Posłuchaj. Być może powiedziałem twojej siostrze, że jestem rozwiedziony. Gdyby moja żona żyła, i tak nie byłibyśmy razem. Zapewniam cię, że właściwie nie byliśmy już małżeństwem, kiedy to się stało.

-Ale...

- Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy mężczyzna mówi, iż jest rozwiedziony, ludzie zaczynają węszyć, wścibiać nos... Z drugiej strony, jeśli powie, że jest wdowcem, zewsząd odbiera wyrazy współczucia i... pytania. Mnóstwo pytań. Począwszy od: „Jak długo byliście małżeństwem?”, po: „W jaki sposób umarła?”. Chciałem tego uniknąć, więc możliwe, że powiedziałem, iż jestem rozwiedziony.

- Ale to nieprawda. Przecież jesteś wdowcem.

- Zgadza się, jestem. Zmieńmy temat.

- Chciałabym tylko wiedzieć...

- To już przeszłość. Skończyłem z tym. Lynn nie wierzyła mu.

Ani przez chwilę.

- Czyżby? - zapytała.

- Daj sobie z tym spokój, proszę - rzekł stanowczo głosem, w którym na próżno doszukiwałaby się nuty sympatii.

Lynn zrozumiała, że musi ustąpić, inaczej doprowadzi do kłótni. Zamilkła i przez pozostałą część drogi nie odezwali się już do siebie ani słowem.

Kiedy podjechali pod dom, podprowadził ją pod drzwi. Ale nie pocałował jej. I nie zadzwonił nazajutrz.

W poniedziałek Lynn dowiedziała się, że pani Parchly, sekretarka szkoły, zamierza zatrudnić asystentkę, kogoś, kto zajmie się dokumentami, a jednocześnie będzie pomagał w nauczaniu. Pensja miała być dość niska, za to świadczenia całkiem zadowalające. Lynn pomyślała, że to praca w sam raz dla Trish.

Długo biła się z myślami, nie bardzo wiedząc, czy powinna przekazać siostrze tę wiadomość. Dotychczas Trish niezbyt przykładała się do pracy. Właściwie może nie do końca byłaby uczciwa wobec szkoły, polecając ją na to stanowisko. Przecież gdyby się okazało, że Trish zaniedbała obowiązki, Lynn również czułaby się za to odpowiedzialna.

Nie podjęła jeszcze decyzji przed końcem pracy, a gdy o czwartej wróciła do domu, zastała Trish siedzącą na schodach przed wejściem.

- Czy... mogę wejść? Tylko na chwilkę.

- Jasne.

Usiadły naprzeciwko siebie przy okrągłym klonowym stole w kuchni.

- Dzięki za kartkę - zaczęła Trish głosem, w którym pobrzmiwało zakłopotanie.

- Bardzo proszę.

- Kiedy ją dostałam, po prostu usiadłam i rozplakałam się.

- Nie taki był mój cel.

- Nie mogłam się powstrzymać. Myślałam o tobie... przecież jesteśmy siostrami. Cóż, mężczyźni przychodzą i odchodzą, ale sióstr

nie będę miała więcej. - Trish złożyła dłonie i oparła je na stole. Potem długo wpatrywała się w nie, zanim wreszcie ponownie się odezwała. - Muszę ci wyznać coś ważnego - oznajmiła załamującym się głosem.

Lynn wstrzymała oddech.

- Tak naprawdę to wcale nie ukradłaś mi Rossa Garrisona. Prawdę mówiąc, on nigdy za mną nie przepadał. Widocznie nie jestem typem dziewczyny, który mu odpowiada. Uważałam jednak, że jakoś uda mi się go przyciągnąć. A potem, gdy się okazało, że on spotyka się z tobą, myślałam, że oszaleję z zazdrości. Sama wiesz, jak się wściekam, kiedy coś idzie nie po mojej myśli...

Lynn rzeczywiście wiedziała. Rozumiała również, ile determinacji i miłości kosztowało Trish przełamanie się i przyjście do niej. Już miała podejść do siostry i podać jej rękę na zgodę, ale zreflektowała się. Skrzyżowała ramiona na piersi, nie wiedząc, co z nimi zrobić, a wtedy Trish zauważyła pierścionek.

- Ooo... To brylant!

Ich oczy spotkały się i Lynn bardzo żałowała, że nie zdjęła pierścionka wcześniej, gdy zobaczyła siostrę czekającą na nią na schodach.

Ale właściwie co by to dało? Kolejne kłamstwo, wypowiedziane po to, aby ukryć inne, ważniejsze. Takie, które zdaniem Winony doprowadzi do wyjawienia prawdy.

Jakiej prawdy?



Na pewno nie chodziło o prawdę Rossa Garrisona. Ilekroć Lynn próbowała coś z niego wydobyć, zbywał ją. Wciąż miała przed oczami jego zawziętą twarz, gdy wyznawał, że nie jest rozwodnikiem, lecz jego żona umarła. Zaciśnął zęby i z dziwną determinacją patrzył gdzieś przed siebie.

- Nie przejmuj się-przerwała jej rozmyślenia Trish, nerwowo kręcąc się na krześle. - Cóż, jesteście zaręczeni i powinnam zacząć oswajać się z tą myślą. Rozumiem to, naprawdę. - Pociągnęła nosem. - Mama wciąż jest wściekła, ale przejdzie jej. Nie wierzysz? Zobaczysz, że się uspokoi. Ona zawsze tak... Zresztą... już za tobą tęskni. Tak samo jak Arlene i ja. Ciągłe się wszystkie kłócimy, wiesz? Biedny Clyde. Doprowadzamy go do szaleństwa. Działamy sobie na nerwy, a teraz, gdy ty mieszkasz osobno, nie ma nas kto pogodzić. Dopiero kiedy znalazłyśmy się same, zrozumiałyśmy, nawet jeśli niechętnie się do tego przyznajemy, jak bardzo mogliśmy na tobie polegać. I wcale nie chodzi o to, że ty zawsze utrzymujesz porządek, wiesz?

Lynn zrobiło się lżej na duszy. Może nigdy nie uda jej się zdobyć Rossa Garrisona, ale przynajmniej ma szansę na poprawienie stosunków z rodziną.

- Och, Trish...  
- Brakuje mi ciebie, Lynn.  
- Ja też za tobą tęsknię.  
- Musimy jakoś zażegnać nieporozumienia. Przecież jesteśmy rodziną.

- No właśnie.

- Pamiętasz, papa zawsze nam mówił, że...

Lynn uśmiechnęła się. Trish zawsze nazywała Horace'a Taylora „papa”.

- Pamiętasz, Lynn, co on powiedział? Że rodzina jest ważniejsza od brylantów i złota. I że on, mama, Arlene, ty i ja jesteśmy rodziną.

- Pamiętam.

- Cóż, papy już nie ma. Brakuje mi go, naprawdę.

- Mnie też.

- Ale wszyscy pozostali - ty, ja, mama i Leenie - wciąż przecież istniejemy. I nadal jesteśmy rodziną, chyba nie zaprzeczysz.

- Oczywiście, że jesteśmy.

- Byłoby fatalnie, gdybyśmy zerwały tę więź. Nie można dopuścić do tego, by nas poróżniły takie idiotyczne sprawy jak to, która otrzyma dom, czy której przypadnie w udziale konkretny mężczyzna. Po prostu nie wolno nam do tego dopuścić.

- Zgadzam się z tobą.

- Zadbamy, aby do tego nie doszło, prawda?

- Z pewnością.

Po policzku Trish spłynęła łza.

- Wiedziałam, że to powiesz. I cieszę się, że mnie nie zawiodłaś.

Okno nie było zasłonięte i przez chwilę Trish patrzyła na podwórze.

- Muszę już wracać - zreflektowała się i badawczo spojrzała na Lynn. - Nie obawiaj się, nie robię aluzji, byś mnie przyjęła z powrotem. Najwyższa pora, żebym znalazła sobie jakieś miejsce, gdzie będę samodzielna. Myślę o małym, przytulnym mieszkaniu. Bylebym je miała dla siebie. - Zabawnie wysunęła podbródek, zdradzając tym lęk i niepewność. - Muszę wreszcie wydorosnąć, prawda?

- Czy udało ci się znaleźć nową pracę? - cicho spytała Lynn.

- Jeszcze nie, ale szukam. Dopóki nie znajdę, dopóty nie mogę się przeprowadzić, chyba że Clyde będzie mnie miał dość i każe mi się wynieść. Mam jeszcze pieniądze, które zostawił mi papa, ale chcę zamieszkać w miejscu, za które sama zapłacę, rozumiesz? Dużo ostatnio rozmyślałam i doszłam do wniosku, że powinnam sama na siebie zarabiać. A kiedy wreszcie poznam właściwego faceta, to podobnie jak ty nie będę od niego zależna materialnie. Chcę mieć pewność, że jestem z nim nie dlatego, że muszę, że czegoś od niego potrzebuję, lecz dlatego, iż po prostu tego chcę.

Wszystko wskazywało na to, że młodsza siostra naprawdę dorośleje.

- Posłuchaj... - Lynn zawahała się, wciąż niepewna, czy postępuje właściwie.

Trish czekała, aż dokończy, a jej zielone oczy zajaśniały nadzieją.

- W naszej szkole jest wakat...

W środę był Dzień Kombatanta, ale Ross miał otwartą kancelarię. Rano umówiony był z trzema klientami. Pierwszy chciał złożyć pozew o rozwód, drugi zamierzał zmienić testament, a trzeci wystąpił o adopcję. Późniejsze sprawy dotyczyły sporów o ziemię i bankructwa.

Przez pozostałą część przedpołudnia Ross, z pomocą pani Simms, załatwiał zaległą korespondencję. Nowej sekretarce zawdzięczał uporządkowanie dokumentacji. W biurze zapanował nieskazitelny porządek, wszystko było na swoim miejscu. Aż go kusilo, by zapytać panią Simms, czy w wolnym czasie nie zechciałaby dorabiać sprzątaniami domów.

Chociaż był bardzo zajęty pracą, nie przestawał myśleć o Lynn. Przypuszczał, że jest w domu, bo tego dnia dzieci nie miały szkolnych zajęć.

Nie kontaktował się z nią od sobotniego wieczoru, kiedy próbowała wydobyć z niego informacje o Elanie. Szczerze go to martwiło. Nie chciał rozmawiać z Lynn o żonie i niepotrzebnie wspomniał jej o swoim dzieciństwie. Nie powinna wiedzieć o jego ojcu hazardziście niestroniącym od kieliszka i uganiającym się za kobietami i o matce - notorycznej pijaczce.

Ale zapytała go o to wprost, tak niespodziewanie, że nie potrafił się wymigać. Właściwie nie miał wielkiego wyboru. Mógł albo odpowiedzieć, albo stanowczo odmówić wyjaśnień. Z niezrozumiałego dla siebie powodu nie chciał jej zbywać.

Teraz jednak czuł niesmak na myśl o zwierzeniach i postanowił, że w przyszłości będzie bardziej stanowczy i zdecydowanie sprzeciwi się rozmowom o Elanie. Poczucie winy i odrazy do samego siebie były wyłącznie jego sprawą.

Po ustanowieniu takiej bariery wydawało się rozsądne nie spotykać się przez jakiś czas. Powinni sobie zrobić przerwę na złapanie oddechu. Od ponad dwu tygodni byli „zaręczeni”. Kupił jej pierścionek i często widywano ich razem. Jeśli nie będą się spotykać przez kilka dni, nie powinno to wzbudzić niczyich podejrzeń.

Ale, niestety, tęsknił za nią. Zdecydowanie za bardzo. Przerazało go, że nie potrafi przestać o niej myśleć. Co najmniej czterokrotnie, a może nawet pięciokrotnie w ciągu dnia z trudem powstrzymywał się od wystukania numeru jej telefonu. Zdarzało się nawet, że podnosił słuchawkę i wystukiwał pierwsze dwie lub trzy cyfry jej numeru.

Przerywał jednak połączenie, myśląc: Nie, zaczekaj. Musi upłynąć jeszcze trochę czasu... Czy wystarczy na przykład trzy i pół dnia? Musi wystarczyć.

Skontaktuje się z nią dopiero w środę przed południem. Dłużej nie wytrzyma!

## ROZDZIAŁ 12

Telefon zadzwonił pięć po dwunastej. Lynn poczuła przyspieszone bicie serca i ucisk w gardle. Nie miała wątpliwości, że to Ross. I nie myliła się.

- Wybierzmy się na lunch - zaproponował.

- Teraz? - rzuciła bezwiednie, a radość rozpieła jej serce, zupełnie jakby ktoś napompował je helem w ilości wystarczającej do uniesienia się w przestworza.

- Dzwonię z kancelarii. Za ile przyjechać po ciebie? Mogę za dziesięć minut?

- Świetnie.

Odłożyła słuchawkę i pobiegła na górę, by się ubrać.

Dwukrotnie zmieniała sweter, wreszcie zdecydowała się na jeden z najnowszych, niebieski, z satynową lamówką przy kołnierzyku i na rękawach. Poprawiła makijaż i włosy.

Kiedy usłyszała dzwonek, niemalże sfrunęła po schodach, żeby otworzyć drzwi.

Gdy zobaczyła Rossa przed domem, natychmiast zapomniała o wszystkich rozterkach, które ją nękały w ciągu kilku ostatnich samotnie spędzonych dni. Może jest idiotką, żyjącą mrzonkami. Ale dla Rossa warto poddać się takim marzeniom, nawet jeśli są nierealne.

Pojechali do State Street Grill. To dziwne, ale zaczęła myśleć o tej wspaniałej, mało uczęszczanej restauracji jako o ich miejscu.

Serwowano tam pyszne potrawy, poza tym mogli się cieszyć większą

intymnością niż w Hip Hop Cafe. Ross przyznał, że chętnie daje zarobić właścicielom tej restauracji, zwłaszcza teraz, gdy sezon letni się skończył i nie ma turystów, więc interesy idą nie najlepiej.

Podczas posiłku myślała wciąż, że powinna nawiązać do ostatniego wspólnie spędzonego wieczoru i przynajmniej spróbować mu wyjaśnić, dlaczego poruszyła temat, jego zdaniem, zakazany, przez co naraziła mu się tak bardzo, że przez kilka dni unikał jej i nie chciał się z nią spotkać.

Ilekcroć jednak zebrała się na odwagę, wystarczyło, że spojrzała na niego i po prostu nie mogła o tym mówić, bo urzekał ją ujmującym, smutnym uśmiechem, a w jego oczach odczytywała serdeczność i zrozumienie. Nie mogła zepsuć takiej chwili i patrzeć potem, jak jego twarz przybiera odpychający wyraz, a spojrzenie staje się chłodne.

Podjęła więc zupełnie inny temat. Powiedziała mu, że ma szansę pogodzenia się z rodziną, że Trish już prawie zawarła z nią pokój, poza tym udało jej się umówić siostrę na poniedziałek w przyszłym tygodniu na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie podjęcia pracy w szkole. I że wczoraj znów zadzwoniła do Arlene i rozmawiała ze swoją macochą.

- No i...?

- Rozmawialiśmy dość długo. Zdążyła mi się nawet poskarżyć na lekarstwo, które bierze na nadciśnienie. Uważa, że znów powinna je zmienić - z betablokerów na inhibitory ACE.

- Czy to właściwe?

- Zmiana lekarstwa? Musiałbyś o to spytać jej lekarza.

- Nie to mam na myśli. Chodzi mi o to, czy to dobry znak, że narzekała na lekarstwa, które bierze.

- O, tak. Fakt, że opowiada o swoich kłopotach, oznacza, że prawie mi już wybaczyła.

- Powinno być odwrotnie. To ty możesz jej wybaczyć, nie ona tobie. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Sama już nie wiem, komu bardziej potrzebne wybaczenie. Jeśli zdaniem mojej macochy mnie, to w porządku, niech tak będzie.

Nie zgadzał się z nią. Widziała to po jego minie. Jednak nie sprzeczał się już i była mu za to wdzięczna.

Przy pożegnaniu obdarzył ją długim, gorącym, namiętym pocałunkiem. Marzyła, żeby ta chwila trwała wiecznie. Kiedy Ross podniósł głowę, z trudem chwyciła powietrze, ale miała ochotę wspiąć się na palce, by znów poczuć jego usta na swoich. Nagle jak przez mgłę dotarły do niej słowa:

- W sobotę będzie zabawa w ratuszu.

- Czy to zaproszenie?

- Przyjadę po ciebie o ósmej wieczorem.

- Będę czekać.

- A w piątek... zjemy razem lunch?

- Świetnie.

- To do zobaczenia - rzekł wychodząc.

- Do widzenia...



W ciągu kolejnego tygodnia spotkała się z nim pięć razy. Trzykrotnie poszli na lunch, raz na zabawę do ratusza i raz, w piątek wieczorem, zjedli razem obiad. Pojechali do Bozeman, restauracji znanej z dobrej kuchni włoskiej i francuskiej.

Podczas żadnego z tych spotkań nie wspomnieli o zmarłej żonie Rossa. Rozmawiali o tym, jak dobrze funkcjonuje teraz jego kancelaria, o jej uczniach, o pogodzie, która dotychczas była wyjątkowo łagodna. Flirtowali i droczyli się ze sobą, ale konsekwentnie unikali zagłębiania się w poważniejsze tematy.

Dwu- lub trzykrotnie Lynn próbowała skierować rozmowę na bardziej osobiste sprawy. Za każdym razem robił unik, ale choć starał się to robić niepostrzeżenie, nie udało mu się jej nabrać.

Usilnie strzegł swojej przeszłości przed wścibstwem Lynn.

Coraz bardziej umacniała się w przekonaniu, że nie tylko przeszłość Rossa jest dla niej niedostępna. Niezależnie od tego, jak bardzo będzie się starała, on nigdy nie wpuści jej do swego serca.

A skoro tak się rzeczy mają, to dlaczego ona wciąż siebie oszukuje? Przecież już niemal przez miesiąc kręcą się w tym tyglu wspólnych obiadów i kolacji, zakupów, wypraw do Billings i do kina.

Miesiąc.

Dokładnie taki czas sobie wyznaczyli, zaczynając całą tę farsę. Jak na ironię, ich kłamstwo zaczynało się przeradzać w prawdę. Z wyjątkiem zaręczyn, które były udawane od początku do końca.

Potrzebowała czasu, aby dotrzeć do Rossa. Najwyższa pora nakłonić go do wyjawienia tajemnic, które przecież miały wpływ na ich wzajemne relacje.

Cóż, dano jej czas, ale go zmarnowała.

W poniedziałek po lekcjach, gdy uczniowie już wyszli, Trish wpadła do klasy. Wystarczyło jedno spojrzenie na uradowaną twarz siostry, by Lynn odgadła.

- No i...?-spytała jednak.

- Właśnie rozmawiałam z panią Parchly.

- I...?

Trish wydała okrzyk radości:

- Przyjęli mnie! - Przebiegła przez klasę i objęła siostrę.

- Gratuluję. - Lynn serdecznie uściśnęła drobną, szczupłą Trish. -

Tak się cieszę...

- Ja też. Och, nie masz pojęcia, jak bardzo. Lynn, naprawdę bardzo się postaram. Zobaczysz, nauczę się wszystkiego i będę sumiennie wykonywała obowiązki, tak że będziesz ze mnie dumna.

- Już jestem.

- To dobrze. - Trish odsunęła się, przygładziła włosy i otarła łzy szczęścia z policzków. - Wobec tego zrobię wszystko, żebyś miała jeszcze więcej powodów do dumy. Co ty na to?

- Trudno ci coś zarzucić. Trish pociągnęła nosem.

- Muszę wracać do biura - zreflektowała się. - Pani Parchly pokaże mi co i jak, nauczy mnie paginacji i obsługi systemu intercom. Wiesz, że bym się znała na rzeczy.

- Widzę, że jesteś bardzo podekscytowana.
- Aha, jednak trochę się denerwuję.
- Na pewno wszystko ci się uda.
- Mam nadzieję. Och, niemal zapomniałam...
- Co?
- Arlene pytała, kiedy się z nią zobaczysz. Może w Święto

Dziękczynienia?

- Bardzo chętnie.

Lynn rozejrzała się po klasie. Papierowe indyki i czapki pielgrzymów, róg obfitości na ścianie, z wylatującymi liczbami i literkami. Jeszcze tylko dwa dni. A potem - czterodniowy weekend. Od poniedziałku dzieci zaczną dekorować klasę na Boże Narodzenie. Już szykowały się do uroczystych dorocznych jasełek, w których mieli brać udział wszyscy uczniowie szkoły podstawowej w Whitehorn.

Czas biegł zdecydowanie za szybko.

Trish przygryzła dolną wargę, najwyraźniej zatroskana.

- Arlene mówiła... wiesz, ona chce cię poprosić, żebyś do nas przyszła w Święto Dziękczynienia. A nawet, jeśli to będzie dla ciebie dogodniejsze, my możemy przyjechać do ciebie.

Wszystkie uważamy, że trzeba puścić w niepamięć urazy. Nawet mama jest tego zdania. Wiesz, co powiedziała wczoraj?

- Powiedz mi.

- Kazała Arlene zadzwonić do ciebie. Podkreślała, że święta powinnyśmy wszystkie spędzać razem tak, jakby tego chciał papa.

- Też tak uważam - przyznała Lynn. - I jest mi wszystko jedno, czy spotkamy się u mnie, czy u Arlene.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- Wobec tego Arlene skontaktuje się z tobą dziś wieczorem.

Telefon zadzwonił o piątej. Lynn odebrała przekonana, że usłyszy głos starszej siostry. Ale to dzwonił Ross.

- Może wybralibyśmy się na obiad do Grilla?

Zerknęła na kalendarz wiszący w kuchni obok telefonu i przeczytała datę na otwartej stronie: Poniedziałek, 23 listopada. Tego dnia upływał dokładnie miesiąc od czasu, gdy się „zaręczyli”.

- Lynn? Jesteś tam?

- Tak, oczywiście.

- Czy przyjmujesz moją propozycję?

- Bardzo chętnie.

- Wobec tego przyjadę po ciebie o siódmej. Powiedziała, że będzie gotowa. Kwadrans później zadzwoniła Arlene.

- Zbliża się Święto Dziękczynienia - zaczęła raczej sztywno. - To dobra okazja do pogodzenia się, nie sądzisz?

- Oczywiście - odpowiedziała Lynn z uśmiechem.

- Jesteśmy ci wszystkie wdzięczne za to, że znalazłaś Trish pracę.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Gdzie będziemy obchodzić Święto Dziękczynienia - u ciebie czy u mnie?

- Też się nad tym zastanawiałam. Mogłybyśmy się spotkać u mnie. Na pewno byłoby miło. Z drugiej strony warto by spędzić święta tam, gdzie zawsze. - Arlene mówiła teraz łagodniej, bardziej melancholijnie. - W końcu to rodzinna tradycja. A ty jesteś... tak dobrze zorganizowana. U ciebie w domu jakoś wszystko wypada lepiej. Nie wiem, dlaczego mnie jest zawsze trudniej utrzymać porządek.

- Wobec tego spotkajmy się tutaj.

- Jesteś pewna... ? - Arlene wstrzymała oddech.

- Oczywiście.

- To załatwione. Mam już indyka.

- Możesz go przynieść wcześniej, powiedzmy w środę wieczorem.

- A ty, jak zwykle, przygotujesz cebulę w śmietanie? I ziemniaki na słodko?

- Przygotuję.

- Poproszę mamę, żeby zrobiła galaretkę malinową z serkiem śmietankowym na wierzchu. I placki...

- ...z dyni-z bakaliami.

- I szarlotkę. Przygotowałam w tym roku weka, między innymi z koperkiem. Mam też dżem z jeżyn, do bułeczek.

- Już cieknie mi ślinka...

- Lynn... ?

- Słucham?

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że możemy rozmawiać jak dawniej.

- Ja też się cieszę. Co u ciebie słyszeć?

- Cóż mogę powiedzieć? Jak to w ciąży: puchną mi kostki, mam zgagę. Lepiej nie pytaj.

- A mama?

- Mama czuje się dobrze. Lekarz zmienił jej lekarstwo na serce. Jestem pewna, że sama ci wszystko opowie. W czwartek.

Przypuszczam... - Urwała, żeby odchrząknąć. - Przypuszczam, że zaprosisz też swojego narzeczonego... Lynn odpowiedziała bez zastanowienia:

- Tak, chcę zaprosić Rossa.

Jednak w głębi serca poczuła niepokój, bo skąd mogła wiedzieć, czy on przyjmie zaproszenie? Czy w ogóle do tego czasu będą jeszcze „zaręczeni”?

- W porządku. - W głosie Arlene zabrzmiała nutka rezygnacji. - Więc Ross Garrison też z nami będzie.

- Tak. - Lynn starała się, aby zabrzmiało to jak pewnik. - Czy nie miałybyście nic przeciwko temu, bym zaprosiła również Danielle i Sarę Mitchell? Oczywiście, jeśli nic jeszcze nie zaplanowały. One są same, więc...

- Nie musisz się tłumaczyć. Zaproś je.

- Świetnie.

- Ja... jestem szczęśliwa, że będziemy razem. Lynn zapewniła, że czuje dokładnie to samo.

Ross przyjechał punktualnie, jak zwykle.

- Chciałabym porozmawiać z tobą przez chwilę, zanim pojedziemy do restauracji - powiedziała, gestem ręki zapraszając go do środka.

Ciemne oczy Rossa pociemniały jeszcze bardziej, można w nich było dostrzec niepokój. Nie mógł jeszcze wiedzieć o jej planach na Święto Dziękczynienia, ale było oczywiste, że on też doskonale zdaje sobie sprawę, że miesiąc ich „zaręczyn” dobiega końca.

Próbował grać na zwłokę.

- O ile pamiętam, uzgodniliśmy, że nie powinienem wchodzić do środka.

Stłumiła uśmiech, chociaż w głębi duszy wcale nie było jej wesoło.

- Przysięgam ci, Ross, że nie będę próbowała cię uwieść.

- To nie o siebie się martwię.

- Wierzę, że i ty możesz się opanować, jeśli tylko się postarasz.

- Lynn...

- Wejdz. Chcę ci coś zaproponować. Na osobności. Teraz.

Wszedł za nią do salonu. Gestem wskazała mu krzesło, ale w odpowiedzi potrząsnął przecząco głową.

- O co chodzi? - spytał.

Nie chce usiąść. Niech i tak będzie. Ona jednak zagłębiła się w jednym z dwóch foteli, zastanawiając się, od czego zacząć.

- Czekam - ponaglał.

Jest w złym humorze, zauważyła. Postanowiła najpierw poruszyć łatwiejszy temat, chociaż zdawała sobie sprawę, że taka gra na zwłokę niczego nie zmieni. Jeśli za kilka minut odwołają wszystko, to Ross i tak nie przyjdzie do niej na Święto Dziękczynienia.

- Rozmawiałam dziś z Arlene.

Jego niepokój najwyraźniej wzrósł, rzucił jednak od niechcienia:

- Chcesz powiedzieć, że z nią też się pogodziłaś, czyż nie tak?

- Dokładnie.

- To dobrze. Przecież bardzo ci zależało na pogodzeniu się z całą rodziną.

- To prawda. Marzyłam o powrocie do rodziny - przyznała, myśląc jednocześnie: I nie tylko o tym. Przede wszystkim marzyłam o tobie.

Stał zamyślony, sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Jakże chciała wyciągnąć do niego rękę, uspokoić go delikatnym dotykiem. Zamiast tego chwyciła oparcie fotela.

- Postanowiłyśmy spędzić Święto Dziękczynienia w gronie rodzinnym tu, w moim domu - powiedziała.

Nie odzywał się przez chwilę, tylko przyglądał się jej. Potem zaklął.

- Obiad w Święto Dziękczynienia. Tutaj? Z twoją macochą, Arlene i... Trish też?

- Też.

Wsunął ręce do kieszeni eleganckich wełnianych spodni.

- To o to chodzi? Chcesz... żebym przyszedł?



- Tak, bardzo proszę.

Wykonał gwałtowny ruch ręką, wyjmując ją z kieszeni i przeczesując włosy.

- Cholera! - zaklął znów, nie umiając lub nie chcąc ukryć zdenerwowania.

Roześmiała się wtedy cicho, gorzko.

- Mam wrażenie, że jednak odmówisz - skomentowała. Powiódł wzrokiem po zasłonach w oknie, potem popatrzył na dywan i wreszcie z powrotem na nią.

- Wybacz, ale zapraszanie mnie na obiad w towarzystwie Jewel, Arlene i Trish brzmi jak... przepis na katastrofę.

- Zapewniam cię, że nie dojdzie do żadnej katastrofy.

- Och, nie mów tak. Przecież znam twoją przyrodnią siostrę.

Lynn wyprostowała się w fotelu.

- Przykro mi, ale widocznie nie znasz. Moja rodzina nie ma nic przeciwko temu, żebym cię zaprosiła. Będą postępowały nienagannie, więc na pewno nic złego się nie stanie. Może nie będzie przesadnie wesoło, zdaję sobie z tego sprawę, ale w życiu nie zawsze się bawimy.

Pomaszerował do okna i stał tam zamyślony. Lynn wpatrywała się w jego szerokie plecy, czekając, aż znów odwróci się twarzą do niej.

Nie zrobił tego. Przemówił do zasłoniętego okna.

- Święto Dziękczynienia będzie trwało aż cztery dni. Nie marnujmy tego czasu... Wyjedźmy gdzieś. - Dopiero teraz odwrócił się, a jego twarz wyrażała nadzieję, a zarazem smutek. - Możemy

polecieć do San Francisco. Albo na Hawaje. Chyba uda mi się to załatwić. Co ty na to? Cztery dni na Maui?

Potrząsnęła głową, cicho wymawiając jego imię.

Ross dodał coś jeszcze, dobitnie, ale prawie szeptem, tak że nic nie usłyszała. Potem podszedł do niej. Wyprostował się i stanął kilka kroków przed jej fotelem.

- Nie patrz tak na mnie.

- Niby jak?

- Jakbym zaproponował coś zdrożnego. Wzięlibyśmy osobne pokoje, jeśli właśnie o to ci chodzi.

- Dlaczego? - spytała, przypatrując mu się uważnie.

- Co dlaczego? Dlaczego wzięlibyśmy osobne pokoje?

- Nie, Ross. Dlaczego mielibyśmy wyjechać razem? Czemu niby to by miało służyć? Przecież to, co mamy, i tak nie jest prawdziwe.

Spojrzał na nią z wściekłością. Wyglądał, jakby się znalazł w potrzasku, uwięziony pomiędzy tym, czego pragnął, a tym, na co z przyczyn, których jeszcze nie znał, nie mógł sobie absolutnie pozwolić.

Wreszcie nadszedł czas.

Na prawdę zrodzoną z kłamstwa.

To ona mu ją zaoferowała.

- Kocham cię, Ross.

- Nie-jęknął boleśnie.

Poczuła, jak coś w środku niej rozdziera się, rozszarpuje i tak już postrzępioną ranę, gdy odwrócił się od niej ponownie.

- Nie - powtórzył stanowczo.

Wystarczyły trzy długie kroki, aby się znalazł znów przy zasłoniętym oknie, jak najdalej od Lynn, odwracając się do niej plecami.

Lynn podniosła się z fotela. Wreszcie odważyła się powtórzyć, tym razem dobitniej:

- Kocham cię.

Nie poruszył się. Zupełnie, jakby był z kamienia.

- Zakochałam się od razu, na samym początku, kiedy byłeś moim księciem jednej nocy, subtelnym, doskonałym. Wiedziałam, że za tymi zimnymi oczami kryje się coś więcej niż to, co pozwalasz ludziom widzieć. Zgodziłam się na grę. Ponieważ tak ci na tym zależało, udawałam, że jesteśmy zaręczeni. Ale nie chodziło mi o reputację, o to, co ludzie będą mówić, bo tak naprawdę przekonałam się, że nie to jest najważniejsze. Ja tylko...

- Przestań - szepnął chrapliwie.

Tymczasem Lynn ciągnęła, jakby nie dosłyszała jego słów.

- ..potrzebowałam trochę czasu, żeby znaleźć jakiś sposób na dotarcie do ciebie. I żeby pomóc tobie znaleźć sposób na dotarcie do mnie. I miałam dość czasu. Ale w gruncie rzeczy ten czas zaprowadził nas donikąd. Oboje wciąż jeszcze udajemy. To, co mamy wspólnego, nie jest prawdziwe ani... kompletne. Przyjeżdżasz po mnie, bywamy w restauracji, śmiejemy się i żartujemy, rozmawiamy na bezpieczne tematy. Ale to do niczego nie prowadzi. Nigdy nie jesteśmy ze sobą sam na sam. Nie mamy odwagi przebywać tylko we dwoje. Oboje

wiemy, że nie możemy sobie na to pozwolić. Nie możemy... znów się kochać, bo to nie byłoby w porządku.

Przez chwilę czekała na jego reakcję. Ponieważ nie odezwał się, mówiła dalej:

- Ross, skończył się czas udawania.

Wtedy dopiero odwrócił się. Popatrzył na nią tak lodowato, że miała wrażenie, iż zmrozi ją wzrokiem.

- Umawialiśmy się na miesiąc, a potem mieliśmy to zakończyć - przypomniała łagodnie.

Wiedziała, że teraz musi zareagować. Uniósł ramiona w bezradnym geście.

- Och, Ross, o co w tym wszystkim chodzi?! - nie mogła już powstrzymać krzyku. - Dlaczego nie chcesz zaryzykować?! Niczego więcej nie oczekuję. Pozwól mi tylko spróbować zmienić to kłamstwo w rzeczywistość. Powiedz mi, proszę, dlaczego nie chcesz, żebyśmy podjęli to wyzwanie.

Nie odpowiedział jednak.

Nie dawała za wygraną, przeciwnie, wkroczyła na zakazane terytorium.

- Czy to ma związek z tym, co się stało twojej żonie? Zaklął cicho.

- Ross... - Postąpiła kilka kroków w jego stronę, ale odgrodził się od niej ręką.

- Przestań! - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Znieruchomiała.

Ross powtórzył przekleństwo. Dostrzegła błysk bólu w jego oczach. Ból. I coś jeszcze. Coś przejmująco desperackiego. I... ostatecznego.

- Koniecznie chcesz wiedzieć, prawda? Musisz wiedzieć. O Elanie.

Bezwiednie skinęła głową.

- Dobrze. Opowiem ci - zgodził się.

Scandalous

## ROZDZIAŁ 13

Elana była piękna - zaczął Ross. - Miała kasztanowe włosy i duże piwne oczy. Kiedy wchodziła do pokoju, wszystkie oczy zwracały się na nią. Poznałem ją zaraz po skończeniu studiów prawniczych, na tydzień przed rozmową kwalifikacyjną w kancelarii Turów, Travis i Lindstrom. Potrzebowałem porządnego garnituru na tę rozmowę i ona mi go sprzedała.

- To znaczy, że pracowała w sklepie z męskimi ubraniami? - Lynn zaryzykowała pytanie.

- Pracowała w najlepszym sklepie z odzieżą męską w Denver. Była kierowniczką sprzedaży. Wszedłem do tego sklepu i oniemiałem na jej widok. Miała na sobie obcisłą czarną spódniczkę, odpowiednio dobrany żakiet i wyglądała. .. bosko. Wzięła mnie za rękę, mówiąc: „Zaopiekuję się panem”. Potem, jak to sama określiła, wykreowała mój nowy wizerunek. „Wykreuję pański nowy image, panie Garrison” -oznajmiła.

Sprzedała mi wtedy całą cholerną szafę ubrań. Musisz wiedzieć, że w tamtym czasie naprawdę nie było mnie na to stać. Garnitury, koszule, krawaty i buty. Wszystko. A potem zaprosiła mnie do restauracji. Nie upłynął tydzień, a zostaliśmy kochankami. I uznaliśmy, że... jesteśmy dla siebie stworzeni.

Lynn zagłębiła się w fotelu, mówiąc półgłosem:

- Zakochałeś się.

Rzucił jej niewidzące spojrzenie.

- Miłość nie wchodziła w grę. Żadne z nas jej nie oczekiwało. W każdym razie... ja jej nie oczekiwałem.

Twarz Lynn zdradzała niedowierzenie. Odpowiedział więc na nie zadane pytanie.

- Masz rację. Mówiłem jej to. Powiedziałem, że ją kocham. Ona też mi to mówiła. Ale słowa właściwie nie miały znaczenia, traktowaliśmy je lekko. Pasowaliśmy do siebie, widzieliśmy w sobie potencjał. W moim odczuciu byliśmy partnerami. Partnerami, którzy mają do siebie zaufanie i szanują się. Chcieliśmy być wobec siebie w porządku i wspólnie pracować na naszą przyszłość. Pochodziła z biednej rodziny, podobnie jak ja. Z jakiegoś miasteczka w Arkansas. Miała poważne problemy rodzinne: matkę alkoholicką i ojca, którego nigdy nie było w domu. Czyli... taka sama sytuacja jak u mnie. Mówiła mi, że szuka właściwego faceta, który zabierze ją tam, gdzie chciałaby być i... Cóż, znalazła go w mojej osobie.

Pobraliśmy się po miesiącu znajomości. Spełniała wszystkie moje oczekiwania. Kolejno mieliśmy cztery domy, ponieważ szybko awansowałem w firmie. Urządziła je wszystkie z takim gustem, że żony moich kolegów z pracy zieleniały z zazdrości. Poza tym zawsze była duszą towarzystwa. Urocza i zabawna. A przy tym tak seksowna, że wykrzesaliby iskry nawet z umarłego faceta.

Ross zamilkł i zamyślił się. Podjął opowieść dopiero po dłuższej chwili.

- Zanim w wieku dwudziestu ośmiu lat zostałem wspólnikiem w kancelarii, wydawało mi się, że osiągnąłem wszystko. Uważałem, że

zarobiłem na to, co mam - z pomocą mojej wspaniałej żony. Że mamy wszystko, o czym marzyliśmy, żyje nam się wygodnie, osiągnęliśmy sukces. Nieważne, że mama dokonała żywota zapatrzona w dno butelki whisky, a ojciec został zastrzelony w łóżku jakiegoś zazdrosnego męża. Mnie się udało. Odniosłem sukces.

Przerwał, by zaczerpnąć tchu. Lynn czekała w napięciu na dalszy ciąg historii. Wreszcie podjął opowiadanie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że ona pomaga mi w taki sposób! Niczego nie przeczuwałem. W całej firmie trudno było znaleźć faceta, który by jej nie pragnął. Więc... zawarła kilka transakcji sama. Spała z moimi szefami i z niejednym ze wspólników. A jak się z kimś przespała, ja otrzymywałem awans.

Lynn jęknęła bezwiednie. Spojrzał na nią surowo.

- Sama nalegałaś, żebym ci się zwierzył, więc mi nie przerywaj.

Zacisnęła wargi i skinęła potakująco głową. Ross roześmiał się tak gorzko, że ciarki przebiegły jej po plecach.

- Jak to ludzie mówią? Że mąż zawsze dowiaduje się ostatni? Cóż, tak właśnie było. Dowiedziałem się na końcu. Byłem wspólnikiem niemal od trzech lat, kiedy to do mnie dotarło. Wróciłem do domu tamtego wieczora, do ślicznej żony w naszym pięknym domu i wszystko jej wygarnąłem, wreszcie stawilem jej czoło.

Musiała podejrzewać, co się święci, bo widać było, że piła przez całe popołudnie, chociaż zazwyczaj poprzestawała na jednym, najwyżej dwu drinkach nie częściej niż dwa razy w tygodniu.



Zacząłem krzyczeć, oskarżać ją. Nalała sobie jeszcze jednego drinka i starała się zachować spokój. Przynajmniej na początku.

Twierdziła, że robiła to ze względu na mnie, że bym awansował. Kiedy nazwałem ją kłamczucha, przyznała, że były też inne, mniej ważne powody. Częściowo postępowała tak z zemsty. Bo ponoć nigdy jej nie kochałem. Czują, że jej nie Kocham. Przez te wszystkie wspólne lata podobno ledwo zauważałem, że ona jest przy mnie. Twierdziła, że oczekiwałem od niej wyłącznie gry, niczego więcej. Żeby prowadziła dla mnie dom, wydawała przyjęcia i zabawiała moich znajomych z pracy. Więc zabawiała ich. Bez ograniczeń. Dawała mi to, czego chciałem. Zadbala o to, że bym w krótkim czasie został wspólnikiem w firmie.

Po takich wymówkach z jej strony krzyczałem jeszcze głośniejsze. Nawet nie pamiętam wszystkich wyzwisk, jakimi ją obrzucałem. Jedyne, co mi utkwilo w pamięci, to ogromna pogarda dla Elany. Sam jej widok przyprawiał mnie wtedy o mdłości. Uważałem, że my dwoje jesteśmy partnerami. Ufałem jej, wierzyłem, że wspólnie coś budujemy. A ona mnie zdradziła. Przywiodła mnie do moich korzeni. Syn pijaczki i hazardzisty kradnącego cudze żony... którego własna żona zachowuje się jak dziwka!

W końcu złapała torebkę i wybiegła z domu. Słyszałem jeszcze, jak uruchamia samochód i odjeżdża. Usiadłem i godzinami wpatrywałem się w ścianę. Wreszcie powlokłem się do łóżka.

Ross wrócił do okna i stanął przodem do zasłon, wpatrując się w nie, jakby były przezroczyste i mógł widzieć, co się dzieje na zewnątrz.

- Około drugiej w nocy obudziło mnie pukanie do drzwi. To była policja z Denver. Kazali mi jechać do kostnicy, zidentyfikować jej ciało. Nasz czwarty dom stał na szczycie stromego wzgórza.

Zjeżdżając w dół, Elana zawadziła o skałę.

Lynn chciała wstać i podejść do niego. Zwrócił ku niej twarz i wpatrywał się w nią lodowatym wzrokiem.

- Dlaczego płaczesz, do cholery? - zirytował się. Dopiero kiedy zamrugała, zorientowała się, że ma policzki mokre od łez, spływających aż na podbródek.

- Nie płaczę - przelknęła łzy. - Och, Ross, tak mi przykro. Żal mi ciebie... i jej.

- Nie ma potrzeby - rzucił oschle. - W każdym razie ja nie zasłużyłem na żal. Elana miała rację. Nigdy jej nie kochałem. Posłużyłem się nią. Pamiętasz, wspominałem o zmianie, że w tym właśnie celu przeprowadziłem się tutaj, do Whitehorn. Chodziło mi o zmianę, to prawda. Chciałem uciec jak najdalej z Denver, od Turów, Travis i Lindstrom - firmy, w której połowa wspólników spała z moją żoną.

Lynn otarła łzy z policzków. Potem wstała, choć z trudem.

- Ross, proszę...

Potrząsnął głową gestem przypominającym cięcie noża - błyskawicznym i bezwzględny.

- Nie - gwałtownie pomachał ręką. - Boże, jesteś niesamowita. Jesteś... wszystkim najlepszym, co mogłem sobie wymarzyć. Spójrz na siebie. Stoisz i płaczesz z mojego powodu. Nie myślę się, prawda? - mówił oskarżycielskim tonem.

Uznała, że nie ma potrzeby mu odpowiadać. Miał rację. Płakała przez niego. I przez kobietę, którą poślubił. Przez dwoje ludzi, którzy tak desperacko potrzebowali miłości, a nigdy nie mieli nikogo, kto by im wskazał, jak ją znaleźć, jak ją mieć i wreszcie jak jej nie stracić.

- Oszczędź sobie łez, Lynn. Oszczędź dla kogoś, kto na nie zasługuje.

Znów otarła łzy z policzków.

- Och, Ross, jestem przekonana, że ty na nie zasługujesz.

- Nieprawda. I miałaś rację. Powiedziałaś, że ja udaję. I tak było. Udawałem kogoś, kim mógłbym być, gdybym postępował inaczej. Gdybym ciebie wcześniej poznał. Tak się jednak nie stało. Nie mylisz się też co do innych kwestii. Nasz miesiąc dobiega końca. Właśnie się dowiedziałaś, dlaczego nie możemy być razem.

Otworzyła usta, chcąc zaprzeczyć, ale nie pozwolił jej wypowiedzieć ani słowa.

- Nie jestem księciem - powiedział ostro. - Teraz już wiesz o tym.

- To nie ma znaczenia. Och, Ross. To przecież... przeszłość. Rozumiem, że nie daje ci spokoju. I boli cię. Ale liczy się przede wszystkim to, kim jesteś, co robisz, jak żyjesz teraz. Ważne jest to, że opowiedziałeś mi rzeczy, które chciałeś zachować w tajemnicy. Że się

na to wreszcie zdobyłeś. I to, że nie znienawidziłam cię za nie. Teraz.... rozumiem cię lepiej. Chyba zauważyłeś? Moja miłość nie osłabła. Wciąż należy do ciebie. Gdybyś tylko mógł ją odwzajemnić...

- W tym rzecz, Lynn. Właśnie o to chodzi - odparł przytłumionym głosem.

- Co? Ja nie...

- Rzecz w tym, że nie mam pojęcia, czym jest miłość.

Te słowa trafiły ją prosto w serce. W jego oczach wyczytała, że on wierzy w to, co mówi.

Zrozumiała również, że bez względu na to, co by w tej chwili powiedziała, i tak nic do niego nie dotrze.

Chociaż może, po pewnym czasie...

O, Boże, znów to samo. Myślała, że czas to załatwi, ale dotychczas tak się nie stało. Sądziła, że jej miłość może czynić cuda, jak przyrzekła serdeczna stara Winona Cobbs. Że wystarczy, by w to wierzyła, a uniknie rozczarowania.

Cóż, wierzyła. Całym sercem i duszą.

Szkoda tylko, że on w to nie wierzył.

Ostatnia łza spłynęła na dolną wargę Lynn. Wytarła ją z namysłem.

- Skoro tak, to... Zaczekaj chwilkę. Zaraz wracam.

Stał wciąż w tym samym miejscu w odległości kilku metrów od fotela, kiedy wróciła, zbiegając po schodach.

- Proszę, to pierścionek i obrączka - powiedziała, wręczając mu aksamitne pudełeczko.

- Nie chcę ich - odparł urażony, patrząc na nią wilkiem.

- Ja też nie.

Uparcie trzymała pudełeczko, dopóki nie wziął go z jej ręki i nie wsunął do kieszeni.

Uśmiechnęła się na pożegnanie.

- Odprowadzę cię do drzwi.

Scandalous

## ROZDZIAŁ 14

Po wyjściu Rossa Lynn zadzwoniła do Danielle, by zaprosić ją i Sarę na Święto Dziękczynienia. Okazało się jednak, że przyjaciółka wcześniej przyjęła zaproszenie od McCallumów.

- Czy coś się stało? - spytała Danielle. - Masz taki dziwny głos.

Lynn powiedziała, że już nie jest narzeczoną Rossa.

Danielle okazała jej serdeczność i współczucie. Ponad godzinę rozmawiały przez telefon, przy czym Danielle pocieszała ją, mówiąc to, co zwykle w takiej sytuacji mówią przyjaciółki: „Wszystko się jeszcze ułoży”, albo: „Jestem do twojej dyspozycji, zawsze możesz na mnie liczyć, wystarczy, że zadzwonisz...”

Lynn rzeczywiście poczuła się lepiej po tej rozmowie.

W środę wieczorem Arlene przyniosła indyka. Obie z Lynn stały przy kuchennym blacie i przygotowywały nadzienie, podczas gdy dzieci Arlene - Daria Sue i Bobby Clyde - oglądały telewizję w drugim pokoju.

Arlene paplała przez cały czas podczas krojenia selera w kostkę i siekania podrobów. Skarżyła się, że przytyła w obecnej ciąży bardziej niż w dwu poprzednich i że Clyde pracuje za dużo, jeżdżąc codziennie do Billings i z powrotem, aby sprzedawać maszyny rolnicze.

Wyznała, że praktycznie nie widuje męża. Martwiła się, że może Clyde celowo przebywa poza domem, ponieważ mieszkanie z dwójką dzieci, ciężarną żoną, jej matką i młodszą siostrą jest dla niego zbyt uciążliwe.

Lynn przypomniała siostrze, że mąż ją wprost uwielbia, że Trish zamierza niedługo się wyprowadzić, a poza tym, o ile Lynn dobrze pamięta, Arlene i Clyde wspominali kiedyś o zamiarze kupna większego domu.

Arlene potwierdziła te informacje. Trish faktycznie niedługo się wyprowadzi, a i większy dom jest coraz bardziej realny. W związku z tym należy się cieszyć, że Clyde tak dużo pracuje, bo przynajmniej mają pieniądze.

- Mimo to czasami, gdy spoglądam w lustro i widzę grubą brzuch i mysie włosy - narzekała Arlene, wzdychając ciężko - i patrzę na wieczny bałagan w domu, to... wydaje mi się, że wolałabym cofnąć czas i być w twojej sytuacji. Zareczona i szczupła. - Znow westchnęła.  
- Tak, to wspaniały okres w życiu kobiety. Już z pierścionkiem na palcu, ale wciąż jeszcze szczupła sylwetka. Apropoz...

Lynn wiedziała, do czego siostra zmierza. I nie myliła się.

- Trish wspomniała, że dostałaś pierścionek...

Lynn, zajęta akurat nabieraniem oliwek i wrzucaniem ich do dużej miski z sosem, udała, że nie słyszy. Arlene nie dała jednak za wygraną.

- Lynn, gdzie twój pierścionek? Dlaczego mi go nie pokazałaś?

- spytała ostrożnie.

- Bo go oddałam - wyznała Lynn, odwracając się do zlewu.

Odkręciła kran i wypłukała ręce.

Arlene przestała machać dużą drewnianą chochlą.

- Och, jak mogłaś... - Z wrażenia przerwała mieszanie oliwek.

Lynn chwyciła ręcznik i wytarła ręce.

- Po prostu nie wyszło nam, to wszystko - odparła, odwieszając ręcznik.

Arlene wrzuciła chochlę do miski. Wytarła ręce o fartuch i wyciągnęła je do siostry.

- Chodź tu do mnie.

Lynn pozwoliła się przytulić. Nie było jej wygodnie, bo wielki brzuch stanowił nie lada przeszkodę. Arlene jęknęła cichutko, poklepując ją po plecach. W końcu wzięła siostrę za rękę i odsunęła się, by móc spojrzeć jej w oczy.

- Co się stało? Opowiedz mi wszystko.

- Wolałabym tego nie roztrząsać. Zerwaliśmy ze sobą w poniedziałek wieczorem. On po prostu.

Potrząsnęła głową. Przypomniało jej się wytłumaczenie, które ona i Ross uzgodnili między sobą, i pomyślała, że będzie ono równie dobre jak każde inne.

- Okazało się, że to nie jest dla mnie odpowiedni mężczyzna.

- Jesteś pewna?

Lynn skinęła głową potakująco.

- Nie chodzi tu o zwyczajną sprzeczkę zakochanych?

- Nie. To skończone. Naprawdę.

- Cóż... - Arlene puściła Lynn. Troska w jej oczach zamieniła się w coś w rodzaju szyderstwa. - Muszę to powiedzieć. Mnie on się nigdy nie podobał.

- Arlene...



- Och, nie.

- O co ci chodzi?

- Bronisz go.

- Ja go nie bronię.

- Bronisz. Nawet jeśli nie powiesz mi dokładnie, co się stało, trudno nie zgadnąć.

- Arlene, proszę. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Nikt nie ponosi winy. Nic się nie stało, po prostu nie wyszło nam.

- Jasne, że nie powiesz prawdy. Taka już jesteś. Ty nawet o samym diable nie powiedziałaś złego słowa!

- Arlene...

- Przyznaj tylko... kto zerwał - ty czy on?

- To ja zerwałam.

- Niemożliwe.

- Ależ tak.

- Nie wierzę.

- Szkoda, bo to prawda.

- Przecież widać po tobie, że masz złamane serce.

- Nie martw się, moje serce ma się dobrze - skłamała. Dobrze znała swoje siostry i macochę. Tym bardziej nie chciała, aby przesiadywały w Hip Hop Cafe i plotkowały o Rossie. Arlene podeszła do stołu, wysunęła krzesło i ciężko usiadła.

- O, Boże. - Z trudem chwyciła powietrze w charakterystyczny sposób, tak jak to często robiła, gdy była w ciąży i zdenerwowała się. - Ojej...

Lynn podeszła do niej.

- Nie wolno ci się tak irytować. Wiesz, że to może zaszkodzić tobie albo dziecku.

- Ale ja już jakoś przywykłam do myśli, że za niego wyjdiesz. A teraz...

- Poradzimy sobie z tym.

Arlene pociągnęła nosem.

- Nie...

Ale gdy Arlene coś zaczęła, trudno ją było powstrzymać.

- Popatrz na mnie - łkała. - Dlaczego to ja beczę? Przecież to ty powinnaś płakać, nie ja. Kocham swoje dzieci, dobry Bóg wie, jak bardzo. Ale nienawidzę ciąży. Jestem gruba jak beczka i mażę się z byle powodu.

Lynn uklękła, by objąć ramiona siostry.

- Popłacz sobie, skoro to ci ulży.

- Boże, jaka szkoda - lamentowała Arlene, z głową na bluzce Lynn. - Trish powiedziała, że to taki śliczny pierścionek. Co najmniej dwukaratowy brylant. Wiesz, ja już nawet myślałam o twoim ślubie. Zamierzałam pójść z tobą do sklepu, by ci pomóc wybrać odpowiednią suknię. Wszystko zaplanowałam. Chciałam ci wynagrodzić te okropności, które o tobie mówiłam, za to, jak niegodziwie postępowaliśmy z tobą wszystkie, gdy się dowiedziałyśmy o tobie i o nim...

Na stole leżało pudełko chusteczek higienicznych. Lynn wyjęła kilka i włożyła Arlene do ręki.

- Proszę, uspokój się już...

Arlene pociągnęła nosem i przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Bez względu na to, co powiesz, nienawidzę Rossa Garrisona.

Najpierw zbałamucił Trish, a potem...

- Ja nie żartuję. - Lynn wyprostowała się. Mówiła teraz stanowczo. - Nie życzę sobie, żebyś obrażała Rossa Garrisona. Prawdą jest, że on nigdy nie interesował się Trish. Ona sama to teraz przyznaje. A jeśli o mnie chodzi, traktował mnie niczym księżniczkę. I to ja z nim zerwałam.

- Ale...

- Musisz mi przysiąc, że nie będziesz go krytykować. Arlene znów jęknęła żałośnie.

- Och, jesteś zawsze taka dobra, że czasami aż mnie to irytuje. Muszę to przyznać.

- Przysięgnij. Mówię poważnie.

- Och - znów jęknęła Arlene, pociągając nosem.

- No, czekam.

- Dobrze już, dobrze. Nie pisnę słówkiem na jego temat. Zamknę buzię na kłódkę. Ale wiesz, że niechętnie składałam takie przyrzeczenie.

- W każdym razie dziękuję. Arlene jęknęła po raz ostatni.

- Jesteś za dobra. Wiesz o tym? - Z trudem podniosła się z krzesła. - No, to do dzieła. Trzeba napęłnić ptaka nadzieją.

Lynn zdążyła nakryć do stołu, zanim przyjechała rodzina. Siostry i Jewel były zachwycone świąteczną dekoracją stołu. W ciągu

popołudnia i wieczora chwaliły ją przy każdej okazji, ścisnęły, delikatnie poklepywały po ramieniu, starając się okazać na milion sposobów, że ją kochają i pragną za wszelką cenę na zawsze zażegnać dawne spory.

Zarówno Jewel, jak i Trish korzystały jednak z każdej okazji, by dać Lynn odczuć, co sądzą o Rossie Garrisonie. Za każdym razem Lynn reagowała tak samo jak w stosunku do biadoleń Arlene: kazała im zostawić Rossa w spokoju.

Aczkolwiek niechętnie, zgodziły się nie krytykować Rossa wobec innych osób. Nie będą go zniesławiały w obecności zacnych obywateli Whitehorn. Jednak Lynn musi pogodzić się z tym, że wśród rodziny będą się wypowiadać szczerze na jego temat. W końcu nie muszą tego robić w jej obecności, skoro ona nie chce ich słuchać. Mają jednak prawo do własnych opinii, prawda?

Lynn westchnęła tylko i postanowiła nie roztrząsać już więcej tego tematu.

Kiedy usiadły do posiłku, Clyde odmówił modlitwę. Po sakramentalnym „amen” Lynn zauważyła łzy w oczach Jewel. Domyśliła się, że macocha myśli o ojcu. Dopóki żył Horace, to on zawsze odmawiał modlitwę w Święto Dziękczynienia.

Po kolacji wspólnie pozmywały i poukładały naczynia. Potem siedziały w salonie i rozmawiały, spoglądając na dzieci bawiące się zabawkami, które Lynn trzymała dla nich w kufrze. Gdy upłynęło sporo czasu od kolacji, wróciły do stołu, by zjeść ciasto. Potem stanęły przy pianinie, które kiedyś należało do mamy Lynn. Lynn

grała i wszystkie śpiewały hymny. Po nich przysła kolej na piosenki dziecięce, żeby Boby Clyde i Daria Sue się nie nudzili.

Okolo ósmej siostry powkładały niezjedzone potrawy do plastikowych pojemników i na półmiski i owinęły je folią.

- Było cudownie - cieszyła się Jewel.

Siostry Lynn i szwagier zawtórowali jej. Potem uściskali na pożegnanie gospodynię i odjechali.

Lynn wróciła do kuchni, by dokończyć sprzątanía. Później usiadła w kąciku, gdzie zwykle jadła śniadania, zaparzyła sobie herbatę i przez chwilę wpatrywała się w telefon.

Nie podniosła słuchawki, chociaż miała ochotę to zrobić. Och, Boże, marzyła o tym...

Ross siedział samotnie przy kominku w dużym drewnianym domu nad jeziorem. Telefon miał w zasięgu ręki, na stoliku.

Do tej pory ta niezdolna rodzina Lynn powinna już wyjechać. Z pewnością Lynn jest sama.

Co porabia? Może siedzi przy stoliku w kuchni. Albo ogląda telewizję. A może poszła już na górę, do sypialni? Jak wygląda jej sypialnia?

Mieli wspólny miesiąc. Nie do wiary: cały miesiąc!

A on nawet nie widział jej sypialni. I... właściwie to dobrze. Powinien się z tego cieszyć.

Odebrał jej niewinność, skomplikował życie, popsuł stosunki z rodziną.

Z drugiej strony zrobił wszystko, by naprawić krzywdę, jaką jej wyrządził. Był przy niej, ilekroć go potrzebowała. I powstrzymał się, nie poszedł z nią do łóżka po raz drugi.

Zresztą, zdążyła się już pogodzić ze swoją rodziną, o której miał nie najlepsze zdanie. Nie rozumiał, dlaczego tak bardzo zależało jej na utrzymaniu kontaktów z nimi. Ale uparła się i dopięła swego.

Pogodziła się z macochą i siostrami.

Na pewno już wyjechały... Lynn jest teraz sama.

Cóż ona może robić? - ta myśl nie dawała mu spokoju.

Wyciągnął rękę w stronę telefonu. Tylko kilka centymetrów i już dotknął gładkiej powierzchni aparatu. Podniósł słuchawkę i przez chwilę wsłuchiwał się w sygnał.

- Nie - zganił się i odłożył telefon.

Rano Lynn zadzwoniła do Danielle.

- Zastanawiam się, czy już jadłaś śniadanie - powiedziała, słysząc pogodny głos przyjaciółki.

- Sara właśnie rozsypała płatki kukurydziane po całym dywanie.

- Każ jej je zebrać i włożyć z powrotem do torebki. Zapraszam ciebie i Sarę na śniadanie w Hip Hop Cafe.

- No, ładnie. Widzę, że jesteś gotowa sprostać każdemu wyzwaniu.

- Muszę wyjść. Chcę sobie poprawić humor. Poza tym... i tak na pewno wszyscy zdążyli się już dowiedzieć o tym, że zerwałam z Rossem.

- Tak sądzisz?

- Aha. Mam ochotę na obfite śniadanie, którego nie muszę przygotowywać sobie sama.

- Dobrze, przyjdziemy. Spotkamy się w Hip Hop Cafe za dwadzieścia minut.

- Do zobaczenia.

Lily Mae i Winona siedziały już przy swoim stoliku. Lily powitała Lynn, machając ręką, jak zwykle obwieszoną brzęczącymi bransoletkami. Nalegały, żeby przysiadła się do nich, a potem, kiedy przyszła Danielle z Sarą, przysunęły jeszcze dwa krzesła.

Lynn szczerze wyznała starszym paniom, że ona i Ross zmienili plany. Ślub się nie odbędzie.

Lily Mae zatrzepotała sztucznymi rzęsami.

- Nie martw się, złotko. Pamiętasz? To chyba Szekspir porównał prawdziwą miłość do pokonywania wyboistej drogi. Ale dojdziecie do celu, sama się przekonasz. Nie mam co do tego wątpliwości.

Lynn nie zamierzała zaprzeczać. W głębi duszy liczyła, że Winona doda coś od siebie. Coś bardzo ważnego, a zarazem mistycznego. Coś, co dałoby Lynn choć cień nadziei, że Lily Mae może mieć rację.

Jednak tego dnia Winona nie roztaczała swych proroczych wizji. Uśmiechnęła się tylko i poprosiła Lynn, żeby jej podała łyżeczkę do śmietanki.

- Udało mi się ograniczyć cukier - powiedziała. - Ale jakoś nie potrafię sobie odmówić śmietany.

Później Lynn poszła do swojej klasy, chociaż o tej porze nie miała lekcji. Zdjęła dekoracje zawieszono na Święto Dziękczynienia i przygotowała ozdoby i materiały na Boże Narodzenie.

Po południu zadzwoniła Trish. Chciała zaprosić ją do Arlene na obiad.

Lynn przyjęła zaproszenie. Z rodzinnego spotkania wróciła do domu o dziewiątej, wykapała się i położyła do łóżka. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w tonący w mroku sufit, rozmyślając.

Chciałaby...

Ależ nie. Przecież z Rossem wszystko skończone. Musi się oswajać z tą myślą.

W poniedziałek spadł pierwszy śnieg. Duże, mokre płatki, które szybko się roztopiały. Ross wyjrzał przez okno swej kancelarii, a widząc śnieg... pomyślał o Lynn.

Wyobrażał sobie, jak wygląda, stojąc na boisku szkolnym ze swoimi uczniami, jak śmieje się i podnosi twarz...

Sięgnął po telefon. Wiedział, że nie ma jej w domu, ale może zdążyła już kupić automatyczną sekretarkę? Więc zadzwoni. A co potem?

Wysłucha nagranych przez nią głosu, proszącego o pozostawienie wiadomości, której wcale nie miał zamiaru zostawić?

Zaklął i błyskawicznie cofnął rękę, jakby telefon mógł go oparzyć. Potem wstał i zaciągnął zasłony, by nie musiał wyobrażać jej sobie z głową odchyłoną do tyłu i płatkami śniegu rozpuszczającymi się na wargach.



We wtorek niebo było pogodne. Ross wstał rano, zerknął na brudną obwódkę z piany na wannie i postanowił zostać w domu, aby porozmawiać z gosposią. Kiedy wreszcie się pojawiła, mocno spóźniona, podziękował jej za pracę.

Po przyjsciu do kancelarii zapytał panią Simms, czy może mu polecić kogoś do sprzątania domu.

- Dobrze się składa, bo moja kuzynka prowadzi małą firmę zajmującą się sprzątaniem.

Ross zadzwonił do kuzynki pani Simms i umówił się z nią w swoim domu na piątą po południu. Przyszła kobieta dość potężnej postury, siwiejąca, sprawiająca wrażenie osoby bardzo konkretnej. Miała na sobie kombinezon, flanelową koszulę i ciężkie buty robocze. Rozejrzała się uważnie po salonie i zawyrokowała:

- Panie Garrison, nie ulega kwestii, że potrzebna panu pomoc.

Dobili targu i ustalili, że gosposia rozpocznie pracę w czwartek o siódmej rano.

Gdy w czwartek wieczorem Ross wrócił z pracy, zastał nieskazitelnie czysty dom, a na kartce papieru na kuchennym blacie stał zgrabny czerwony pantofel Lynn.

Widok tego buta przyprawił go o katusze. Aktówka wypadła mu z rąk z głuchym łoskotem i... natychmiast wróciła pamięć tamtej wspólnej nocy. Czerwona suknia nakrapiana pyłem gwiazdnym. Cichy śmiech Lynn. Tańczące bąbelki w kieliszku szampana.

I to, co wydarzyło się potem, kiedy zaniósł ją na górę do sypialni. I pantofel, który zsunął się z jej stopy i spadł na dół, odbijając się od schodów.

I jeszcze później, w jego pokoju, kiedy nazwała go swoim Księciem Jednej Nocy.

Roześmiał się gorzko. Księżę Jednej Nocy.

Ostrożnie wyciągnął rękę i odsunął but z kartki. Potem schylił się, by odczytać notatkę pieczołowicie napisaną przez nową gosposię.

„Panie Garrison. Znalazłam ten but wciśnięty w szparę pod schodami. Nie wygląda na zniszczony. Właścicielka zapewne ucieszy się, gdy go dostanie z powrotem”.

Znów spojrzął na pantofel.

Tydzień. Przez cały tydzień trzymał się z dala od Lynn. I chciał, żeby tak już zostało na zawsze, bo chyba nie przeżyłby spotkania z nią.

Z drugiej strony kuzynka pani Simms miała rację. Trzeba zwrócić Lynn tę zgubę. Przecież kilkakrotnie pytała go, co mogło się stać z pantoflem.

Czy miał jakiś wybór?

Nie. Po prostu musi jej oddać tę cholerną zgubę.

## ROZDZIAŁ 15

Musimy mieć skrzydła, panno Taylor - przypomniała Sara. - Skrzydła i długie, białe sukienki. Takie... szaty.

- Anielskie szaty - Jenny poprawiła koleżankę. - One się nazywają anielskimi szatami.

- Właśnie - przytaknęła Sara. - Jenny ma rację. Anielskie szaty. Każdy, kto należy do chóru, będzie miał takie. Nasze mamy muszą je uszyć. I zrobić skrzydła. A Jenny i ja będziemy miały specjalne skrzydła. Z większą ilością lśniących złotych gwiazdek, ponieważ stworzymy duet.

- Aha, tak to się nazywa. - Jasne loki Jenny podskakiwały, gdy kiwała główką. - Duet. Kiedy dwie osoby śpiewają razem jak ja i Sara podczas jasełek.

- Proszę to sobie wyobrazić, panno Taylor - nalegała Sara. - W dużej sali, na podwyższeniu, z mnóstwem pięknych dekoracji dookoła. I wszystkie dzieci w tym chórze anielskim, ustawione w rzędach w swoich szatach anielskich, z przypiętymi skrzydłami. A potem ja i Jenny wychodzimy do przodu. Powoli. Jakbyśmy się unosiły... jak anioły. Widzi to pani?

Lynn złożyła ręce na biurku i uśmiechnęła się do obu dziewczynek, które zostały po lekcjach, żeby przećwiczyć swoje role w jasełkach.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić - zapewniła.

Sara i Jenny wymieniły spojrzenia, a ich twarzyczki rozjaśniły iście anielskie uśmiechy.

- To widać. Pani to naprawdę widzi - zauważyła Sara.

- Aha - przytaknęła Jenny, a w chwilę później przeniosła wzrok za okno wychodzące na boisko. - Ojej, pada śnieg. - W jej oczach błysnęła radość.

- Mam nadzieję, że śnieg nie przestanie padać do Bożego Narodzenia - oznajmiła Sara. - Uwielbiam takie białe święta.

- Ulepimy wtedy bałwana - wtórowała jej Jenny. - Będzie miał ręce z patyków i nos z marchewki, a...

- Dziewczynki, to miała być próba przed przedstawieniem. - Lynn usiłowała przywrócić je do porządku.

Aniołki westchnęły i stanęły na wprost nauczycielki. Postąpiły krok naprzód, pozostawiając resztę wyimaginowanego chóru w tyle.

- Teraz zaśpiewamy pani w duecie - z dumą powiedziała Sara.

- Zamieniam się w słuch.

Dziewczynki spojrzały na siebie i zachichotały.

- To takie wyrażenie. - Sara pouczyła Jenny.

- Wiem o tym - zapewniła Jenny i znów wybuchnęły śmiechem.

- Śmiało - zachęcała Lynn. - Chciałabym was posłuchać, a zostało nam mało czasu.

Wyprostowały się, unosząc podbródki i zaśpiewały czystymi, wysokimi głosikami.

Zimą, w złości, w ciemnej, ponurej stajence

Wzdycha sobie Dzieciątko Boże. Słyszycie?

Stoją przy nim osiołek, baranek, pastuszek i trzej królowie.

I matka, i ojciec, i ten, którego my...

Trzykrotne mocne pukanie do drzwi przerwało śpiew.

- Kto to może być? - zdziwiła się Sara. - Właśnie przechodziłyśmy do najważniejszego... - Popatrzyła z dezaprobatą na Jenny. - A ty jak zwykle wszystko zepsułaś. W części, którą trzeba śpiewać wysoko, tej z trzema królami.

- Wiem - przyznała Jenny, spuszczać wzrok. - Nie jestem taka dobra jak ty. Ale popracuję nad tym. Naprawdę.

Sara zmiękła i poklepała przyjaciółkę po ramieniu.

- W porządku, już dobrze. Nie przejmuj się, na pewno ci się uda. Mamy jeszcze dużo czasu na przeciwienie roli.

- Obie wypadłyście świetnie - zapewniła Lynn, podchodząc do drzwi. - Pora kończyć. Ubierajcie się, szybciotko. Teraz musicie przejść na właściwą próbę do dużej sali.

- Ale, panno Taylor... - Sara zrobiła żalostną minę. - Nie zaśpiewałyśmy jeszcze wszystkiego.

- Zaśpiewacie w poniedziałek. - Lynn nacisnęła kłamek, mówiąc do dziewczynek przez ramię. - Albo we wtorek - dodała, otwierając drzwi, by przywitać gościa. - Obiecuję, że znajdziemy czas ha... - Urwała gwałtownie, bo na usta cisnęło się tylko jedno słowo, które wypełniało wszystko: jej umysł, serce, cały świat: - Ross.

Powiedział coś. Prawdopodobnie „dzień dobry”. Nie dosłyszała, bo serce waliło jej jak młotem, w głowie wirowało. Nie mogła się zdobyć na nic więcej, tylko znów wyszeptała jego imię.

- Ross...

- Witaj, Lynn.

Ten głos - głęboki, o tak różnorodnym brzmieniu. Jak dobrze go pamiętała.

To nie majaki. Ross stał tam rzeczywiście, w cieniu korytarza pomiędzy klasami. Trzymał torbę na zakupy, ubrany był w ciemne spodnie, czarny sweter i grubą kurtkę z wielbłądziej wełny. Płatki śniegu przylgnęły do szerokich ramion, połyskując srebrzyście.

- To mój prawnik - oznajmiła Jenny.

- Wiem, że jest prawnikiem - pochwaliła się Sara. - Mama mi mówiła.

- Dzień dobry, panie Garrison! - zawołała Jenny. Na zewnątrz było bardzo zimno. Lynn zadrzała.

Ale z niej idiotka. Stoi i gapi się na niego, zamiast zamknąć drzwi.

- Wejdz - zaprosiła wreszcie.

- Pospieszcie się - zwróciła się do dziewczynek, zatraskując drzwi. - Wkładajcie płaszcze, czapki i rękawiczki. Worki zostawcie w szafce. Odbierzecie je później. - Zaklaskała w dłonie. - Nie ociągajcie się tak. Chyba nie chcecie się spóźnić na próbę?

Podskakując ochoczo, dziewczynki popędziły do szatni. Lynn obserwowała je, jakby nie śmiała odwrócić się do Rossa, który stał tuż za nią. Wreszcie aniołki z blond lokami zniknęły, ale wciąż słychać było ich chichot. Zapewne znów zamieniały się płaszczykami, szalikami i kolorowymi wełnianymi czapczkami.

- Lynn.

Na dźwięk swojego imienia poczuła, jak całe jej ciało ogarnia fala ciepła. Ledwie trzymała się na nogach, a serce biło bez opamiętania, jakby tęsknota miała je rozsadzić.

- Muszę zaprowadzić Sarę i Jenny na dużą salę - powiedziała, obracając się w jego stronę.

- Nie widzę przeszkód. Mogę poczekać.

Ledwo zdążył to powiedzieć, gdy znów ktoś zapukał do drzwi. Poszedł otworzyć.

Była to pani Parchly, opatulona w kraciaste palto, ciągnący się wełniany szal, z rulonem jaskrawoczerwonej bibuły w ręku. Lynn wprowadziła sekretarkę i przedstawiła Rossa.

- Ach, tak. To pan jest tym prawnikiem, u którego pracowała Trish - przypomniała sobie pani Parchly.

- Tak, to ja.

- Trish to dobra pracownica, prawda? Zapewne niełatwo było panu się z nią rozstać. - Ross odchrząknął, co kobieta najwyraźniej przyjęła za potwierdzenie. - Prawdę mówiąc, staram się ją zachęcić do samodzielnej pracy - dodała, uśmiechając się do Lynn, po czym rozpakowała plik ulotek. - Mogłam je włożyć do pudełka, ale celowo wyszłam, żeby zostawić Trish samą. Wolę pokręcić się po szkole, zwłaszcza o tej porze, zaraz po lunchu, kiedy przedszkolaki wracają do domów, a starsi uczniowie mają zajęcia popołudniowe. Wtedy jest najspokojniej.

- Masz rację. - Lynn wzięła ulotki w chwili, gdy dziewczynki, wciąż jeszcze chichocząc, wróciły z szatni. Lynn nie myliła się. Sara i Jenny jak zwykle zamieniły się płaszczkami. Lynn przyglądała im się cierpliwie.

- Gotowe? - zapytała.

- Tak, panno Taylor - odparła Jenny.

- Musimy się spieszyć - ponaglała Sara.

- Dokąd to się wybieracie? - zainteresowała się pani Parchly. - Zapewne na próbę?

- Właśnie - odparła Sara z wielką powagą. - To prywatna próba. Będziemy tylko ja, Jenny i pan Beals, dyrektor.

- Może wolałabyś, żebym to ja je zaprowadziła? - sekretarka zwróciła się do Lynn.

- Dzięki - odpowiedziała Lynn z wdzięcznością.

- Nie możemy już czekać. Idziemy - niecierpliwiła się Sara.

- Ależ oczywiście. Jestem gotowa. Widzę, że jesteś pełna zapału - roześmiała się pani Parchly, po czym skinęła głową w stronę Rossa.  
- Miło było pana poznać.

W odpowiedzi pochylił głowę.

Sekretarka wyszła za dziewczynkami i zamknęła drzwi.

I tak Lynn została sam na sam z Rossem. Stała bezradnie, kurczowo trzymając w ręku ulotki. Zaszło jej w gardle, czuła ucisk w sercu.

Sam na sam z Rossem.



Natłok myśli nie dawał jej spokoju. Po co przyszedł? Może jednak zmienił zdanie? Czy był skłonny uwierzyć? I gotów przyjąć jej miłość?

Widziała to w jego oczach. Patrzył na nią z takim przejęciem, z takim żarem.

To chyba dobry znak? To znaczy, że tęsknił za nią? Wskazówka, że...

- Zatrudniłem nową gosposię - przerwał jej rozmyślenia.

- Gosposię...? - powtórzyła za nim rozczarowana, bo przecież nie to chciała usłyszeć.

- Jest bardzo sumienna.

- To chyba dobrze, prawda?

- Znalazła to. Pod schodami - powiedział, wyciągając do niej rękę z torbą na zakupy.

Odłożyła ulotki na biurko i wzięła od niego torbę.

- Otwórz ją.

Przyglądał się, gdy otwierała torbę i zaglądała do środka. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby jej odebrał i odrzucił gdzieś tę cholerną torbę, i przytulił ją do siebie.

Boże, tak bardzo pragnął odczuć jej bliskość. Pocałować ją, zdjąć puszysty, zielony sweter i cieniutką spódniczkę i kochać się z nią. Pragnął położyć ją, tu, obok rulonów jaskrawo-czerwonej bibuły, ulotek, na dziecięcych biurkach złączonych w półkole.

Tak. Pożądał jej, potrzebował. Teraz i tutaj, w obecności papierowych Mikołajów przyklejonych na tablicy ogłoszeń i

uśmiechających się do nich od ucha do ucha. Tak bardzo chciał się z nią zjednoczyć. Nieważne, za jaką cenę, nieważne, że ktoś

mógłby ich przyłapać. Nawet gdyby sekretarka niespodziewanie wróciła i zobaczyła ich. Nie dbał o to... Spojrzała na niego. Jej słodkie usta drżały.

- Och, Ross. Mój pantofel? Więc tylko po to wróciłeś? Żeby mi oddać pantofel?

Wiedziała, że nie był to jedyny cel jego wizyty. Dostrzegła to w jego oczach, zorientowała się, jak bardzo jej pragnął. Z trudem powstrzymywał się, by jej nie dotknąć. Usta wykrzywił mu ponury grymas, zacisnął pięści, aż zbieleły mu kostki.

- Lynn - wymówił jej imię z tęsknotą i ogromnym zakłopotaniem.

Krzyknęła, upuściła torbę na podłogę i gwałtownie wtuliła się w niego, podnosząc ku niemu usta.

Obsypał je pocałunkami, przytulając ją i jęcząc z udreki, a gdy zamknął ją w ramionach, miała wrażenie, że jego jęk przeszywa ją na wskroś.

Całował ją, jakby się obawiał, że umrze, jeśli tego nie zrobi. Przepeliła ją niewysłowiona radość, ogarniająca każdy nerw ciała. Przesunęła ręce do góry i poczuła mokre płatki śniegu, roztopiające się na jego kurtce.

Potem objęła go za szyję i przytuliła się jeszcze mocniej. Wsunął język w jej usta. Ścisnął ją w talii i sięgnął wyżej, pod sweter.

Zadrżała, z jej ust wyrwał się jęk rozkoszy.

- Nie możemy... nie wolno nam... - szepnął.

- Wiem - przyznała, wzdychając ciężko.

Te słowa zmieniły wszystko w ułamku sekundy. Ross wygładził jej sweter i oparł jej głowę na swoim ramieniu. Przez chwilę trwali tak, w czułym uścisku.

Rozkoszowała się tą czułością tak samo, jak przed chwilą napawała się jego namiętym, gwałtownym pocałunkiem. Mogłaby tak pozostać na zawsze wtulona w jego ramiona, wsłuchując się w bicie serca i w urywany oddech.

Słodka chwila nie trwała długo. Nagle za nimi otworzyły się drzwi i Jenny McCallum wpadła do klasy jak burza.

- Panno Taylor, panno Taylor! - Dziewczynka z trudem łapała oddech, a na jej śmiertelnie bladej, anielskiej twarzyczce malowało się przerażenie. - Źli ludzie porwali Sarę. Niech pani tam biegnie, natychmiast!

## ROZDZIAŁ 16

Jenny podbiegła do Lynn i chwyciła ją za rękę.

- Proszę się pospieszyć. Musimy ich powstrzymać. Oni zrobią Sarze krzywdę. Jest z nimi jakaś pani, ona jest ranna! Leży tam, na zimnej ziemi. Proszę, panno Taylor, pospieszmy się!

- Gdzie to jest? - spytał Ross. - Jenny, gdzie są ci źli ludzie?

- Na parkingu. Pani Parchly szła za wolno, więc ja i Sara pobiegłyśmy same i... - Urwała ze szlochem. - Nie mogę teraz opowiadać... - kwiliła. - Trzeba ratować Sarę! Spieszmy się!

W drzwiach stanęła pani Parchly.

- Tu jesteś, Jenny. Wystarczyło, bym na moment się odwróciła i... a gdzie Sara? Och, tak mi przykro. Zatrzymałam się tylko na chwilę i prosiłam dziewczynki, żeby na mnie poczekały, a one...

- Przepraszam. - Ross przerwał wywody sekretarki, mijając ją pędem.

- Co tu się dzieje? - zdziwiła się pani Parchly. - Powiedźcie mi, proszę.

Ale nie było czasu na wyjaśnienia.

- Proszę pójść z moim prawnikiem - błagało dziecko, ciągnąc Lynn za rękę. - Nie możemy zwlekać!

Wybiegły za Rossem. Jenny kurczowo trzymała Lynn za rękę, a pani Parchly szła z tyłu, usiłując za nimi nadążyć.

- Tędy, tędy - ponaglała wciąż Jenny. - Szybko... Minęli zacienione przejście pomiędzy budynkami. Na parkingu nie było

nikogo, stało tylko kilka rzędów samochodów przykrytych warstwą śniegu.

- Odjechali! - krzyknęła Jenny. - Żli ludzie zabrali Sarę i uciekli z nią!

- Co takiego? - przeraziła się pani Parchly. - Żli ludzie? Jacy źli ludzie? Boże, co tu się dzieje?!

Ross stanął na końcu przejścia dla pieszych i zwrócił się do Jenny:

- Powiedziałaś, że była z nimi kobieta?

- Leżała tam - wskazała Jenny. Pobiegli wszyscy we wskazanym kierunku.

Kilka metrów za rzędem drzew cedrowych, okalających zewnętrzną krawędź parkingu, pomiędzy vanem należącym do jednej z nauczycielek a innym samochodem, którego Lynn nie rozpoznała, znaleźli kobietę. Leżała nieprzytomna na asfalcie, z bladą, śliczną twarzą zwróconą do góry. W jej brwiach srebrzyście połyskiwały płatki śniegu, które przedostały się nawet w szczelinę pomiędzy wargami.

- To ona. To ta pani! - krzyknęła Jenny.

- O, Boże - wykrztusiła pani Parchly. - Przecież to pani Sheppard...

- Kto? - Lynn nigdy przedtem nie widziała tej kobiety.

- Nowa nauczycielka. Była umówiona z panią Taggert na ostatnią rozmowę kwalifikacyjną. Boże, o co tu chodzi?

Tymczasem Ross zrzucił kurtkę i okrył nią nieruchome ciało na ziemi. Potem sprawdził tętno kobiety.

- Tętno jest prawidłowe - powiedział i ostrożnie podniósł powiekę leżącej. - Źrenice nie reagują. Nie powinniśmy jej ruszać - zawyrokował. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i pośpiesznie wybrał numer.

Lynn stała obok pani Parchly, trzęsąc się z zimna, bo nie zdążyła włożyć płaszcza. Ross wezwał karetkę i szeryfa, po czym skinął na Jenny. Kiedy dziewczynka puściła rękę Lynn i podeszła do niego, ukucnął, aby móc patrzeć jej w oczy podczas rozmowy.

- Czy widziałaś, w którą stronę odjechali ci źli ludzie? - zapytał.

- Nie. Jeden z nich chwycił Sarę z tyłu za jej płaszcz... to znaczy mój płaszcz... Bo my.

- Uspokój się. Opowiadaj powoli.

- Ja... Kiedy Sara i ja wbiegłyśmy na parking, zobaczyłyśmy, jak źli ludzie szamocą się z tą panią.

- Ilu było tych złych ludzi?

- Dwóch panów.

- Czy widziałaś ich kiedykolwiek przedtem?

- Nie wiem. Nie jestem pewna. Mieli coś na twarzach, jakieś... maski.

- Zapewne kominiarki? Jenny przytaknęła.

- Co się stało potem?

- Jeden z nich popchnął tę panią. Uderzyła się w głowę o samochód i upadła. Wtedy Sara strasznie się zezłościła. Zaczęła biec

w ich stronę, krzycząc, żeby zostawili tę biedną panią w spokoju. No to ci mężczyźni odwrócili się do nas. Zaczęłyśmy uciekać, ale Sara nie mogła za mną zdążyć i jeden z nich ją złapał. Chciałam Sarze pomóc, ale ona krzyczała, żebym uciekła i sprowadziła pomoc. Więc pobiegłam najszybciej, jak mogłam. Nawet się nie obejrzałam, dopóki nie dobiegłam do klasy. Ja... nie zauważyłam, w którą stronę pojechali. - Śliczną twarzyczkę Jenny wykrzywił grymas. - Nie odwracałam się, tylko biegłam. A powinnam się odwrócić, prawda?

Ross mocno uściśnął dłonie dziewczynki i uważnie popatrzył jej w oczy.

- Jenny, posłuchaj. Postąpiłaś tak, jak powinnaś.

Spojrzał na Lynn i dał jej znak skinieniem głowy. Natychmiast podeszła do dziewczynki i wzięła ją na rękę.

- Gdybym się obejrzała... - Lynn poczuła na szyi zimny nosek i łzy. - A jak jej nie znajdziemy? - chlipała Jenny. - Może zrobili jej krzywdę?

- Nie martw się, kochanie. - Lynn przytuliła ją mocno. - Na pewno ją znajdziemy. Nic jej nie zrobią... - Uświadomiła sobie, że chyba bardziej pociesza siebie niż zrozpaczone dziecko.

- Lepiej będzie, jak zabierzecie ją do szkoły - wtrącił Ross. - Czy szkoła zatrudnia pielęgniarkę? - zwrócił się do pani Parchly.

Sekretarka stała z boku wciąż oniemiała i zamiast odpowiedzi wydała z siebie tylko cichy jęk.

- Pielęgniarka przychodzi tylko we wtorki i czwartki - odpowiedziała za nią Lynn.

Ross zaklął.

- Postaraj się znaleźć jakieś koce - poprosił. - W każdym razie coś, czym moglibyśmy ją przykryć do czasu, gdy przyjedzie karetka.

Lynn, z twarzą ukrytą w miękkim pomponie różowej, wełnianej czapki Jenny, przytaknęła. Sprawiała wrażenie dość opanowanej, choć miała ochotę krzyczeć z rozpaczy. Sara. Dziecko wiecznie paplające, słodkie, a zarazem gotowe bronić potrzebujących pomocy.

Sara porwana przez dwóch mężczyzn w maskach. Zbirów, którzy bez cienia skrupułów brutalnie rozprawili się z kobietą i zostawili ją na pastwę losu.

Gdzie jesteś, Saro? Oby tylko nic ci się nie stało...

Lynn jeszcze raz rozejrzała się po parkingu, ale nie dostrzegła żadnych ludzi, tylko rzędy samochodów i drzewa. Śnieg padał dużymi płatkami i cała sceneria przypominała widokówkę z ładną, białą scenką zimową...

- Pospiesz się, Lynn - ponaglał Ross. - Przynieś koce. Ja zaczekam przy tej kobiecie.

- Dobrze - zreflektowała się, przytulając płaczącą Jenny jeszcze mocniej. - Pędzimy.

Wróciły wszystkie do szkoły i pani Parchly tu dopiero dała upust żalom.

- To okropne - stwierdziła, potrząsając głową. - Jak mogłam tak postąpić? Nie powinnam ich spuścić z oczu.

Trish, która słysząc hałas, przybiegła z sekretariatu, zaprowadziła panią Parchly na kozetkę w odległej części korytarza.



Lynn ruszyła za nimi, ciesząc się z obecności siostry w trudnych chwilach. Co prawda, Trish bywała rozpieszczona i samolubna, ale gdy zachodziła potrzeba, potrafiła zdobyć się na powagę i zachować przytomność umysłu.

Gdy tylko zdołała uspokoić panią Parchly, Lynn oddała jej pod opiekę Jenny.

- Co się właściwie stało? - Trish nie mogła się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi.

Lynn w kilku słowach przedstawiła jej sytuację.

Siostra usiadła na krześle, kołysząc Jenny, która szlochała i prosiła, żeby wezwać jej mamę.

- Już dobrze, kochanie. Uspokój się. Mama zaraz po ciebie przyjedzie. Za chwilę tu będzie, zobaczysz. - Jednocześnie wskazała na szafkę i zwróciła się do Lynn. - Tam są koce. I weź mój płaszcz. Jest na wieszaku przy samych drzwiach.

Lynn narzuciła na siebie płaszcz siostry i wybiegła. Kiedy dotarła do Rossa, słychać już było sygnał karetki. Pomogła mu owinać wciąż jeszcze nieprzytomną kobietę kocami. Ross podniósł jej głowę i wsunął pod nią poduszkę, a kiedy cofnął rękę, zauważył krew na palcach.

- Boże - szepnęła przerażona Lynn, spoglądając w stronę nadjeżdżającej karetki.

- Po dotyku poznaję, że to tylko powierzchowne skaleczenie

- pocieszał ją Ross. - Zresztą krew na wierzchu nie świadczy o poważnym zagrożeniu.

Skinęła głową na potwierdzenie. Pamiętała jeszcze, czego ją uczono na kursie pierwszej pomocy. Życie tej kobiety byłoby rzeczywiście zagrożone, gdyby krew zakrzepła pod czaszką. To doprowadziłoby do opuchlizny, mogącej spowodować zgon.

- Co tu się dzieje? - Lynn usłyszała nad sobą głos pani Taggart, dyrektorki szkoły. Widocznie Trish zdążyła ją zaalarmować.

- Boże, to pani Sheppard - przeraziła się, klękając obok Rossa i Lynn. - Dopiero co wyszła z mojego gabinetu. Może z dziesięć minut temu. - Zerknęła w stronę wjazdu na parking.

- Całe szczęście, że jest już karetka.

W okamgnieniu zatrzymała się przy nich karetka, a za nią służbowy samochód szeryfa.

Zabrali nieprzytomną Angelę Sheppard do szpitala. Szeryf Rafe Rawlings, który od niedawna sprawował urząd, rozpytywał wszystkich o przebieg zdarzeń. Jednocześnie jego zastępca Shane McBride zabezpieczył parking i zarządził intensywne poszukiwania dwóch mężczyzn i porwanego dziecka. Pod samochodem, obok miejsca w którym leżała Angela, znaleźli teraz jej torebkę.

Danielle i Jessica McCallum przyjechały po córki, zanim Rafe i Shane zakończyli rutynowe działania.

Lynn nigdy nie zapomni wyrazu niemej rozpacz, który pojawił się na twarzy przyjaciółki, kiedy się dowiedziała, że zginęło jej dziecko. Danielle nie histeryzowała, zachowała spokój, ale był to spokój pozorny, w którym wyczuwało się śmiertelne przerażenie.

Kilka minut później przyjechał Sterling McCallum, przybrany ojciec Jenny, a zarazem specjalny oficer śledczy w biurze szeryfa. Po krótkiej rozmowie z udziałem szeryfa, jego zastępcy, dyrektorki i Rossa, który musiał wszystko opowiedzieć, aby przyspieszyć działania, Sterling nalegał, by Danielle pojechała do domu z Jessicą i Jenny.

O wpół do trzeciej Ross musiał wrócić do kancelarii. Przed wyjściem poprosił Lynn na stronę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał z troską w głosie. Przytaknęła.

- Jestem umówiony z klientami o trzeciej i czwartej, ale przyjadę do ciebie, jak tylko zdołam wyrwać się z pracy.

Nie odezwała się. Trudno było zrozumieć, o co mu chodziło. Czy chciał dać im obojgu jeszcze jedną szansę, czy po prostu zamierzał się upewnić, jak ona się czuje w sytuacji, gdy wprowadzono jedną z jej ulubionych uczennic.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - spytał jeszcze raz, przyglądając się jej uważnie.

- Wszystko w porządku, naprawdę.

- To dobrze - rzucił, stojąc już w drzwiach.

Chwilę później Lynn zaproponowała pani Parchly, że ją odwiezie do domu. Została z nią aż do czwartej, do powrotu jej męża. Potem pojechała do McCallumów i tu przesiedziała z Danielle dwie godziny przy stole w kuchni. Jessica zrobiła kanapki. Lynn jadła je automatycznie, nie czując w ogóle smaku, tak bardzo martwiła się o

Sarę i Jenny, bo przecież dramatyczne przeżycie mogło pozostawić trwałe ślad również na psychice Jenny.

Wezwano nawet Careya Halla Kincaida, pediatrę opiekującego się Jenny. Teraz dziewczynka odpoczywała w swoim pokoju. Leżała w łóżku z psem Sugar, na co Jessica pozwoliła wyłącznie ze względu na sytuację.

Danielle, Jessica i Lynn omawiały niezwykle wydarzenia, które były czymś niespotykanym w spokojnym, ustabilizowanym życiu miasteczka. Jessica dodała, że Rafe Rawlings i Shane McBride zaczęli już zbierać informacje o Angeli Sheppard. Sądziła, że może jakieś dane z przeszłości tej kobiety wskażą, dlaczego ścigali ją bandyci. Liczyli też na to, że wkrótce Angela odzyska przytomność i sama im to powie.

Staraly się nie snuć domysłów na temat Sary, nie zastanawiać się, gdzie ona może być, chociaż Lynn była przekonana, że Jessica, podobnie jak jej, nie daje to spokoju.

Mimo to Danielle była coraz bardziej poruszona. Koniecznie chciała wrócić do domu. Wyobrażała sobie, że może Sara i porywacze będą próbowali się z nią skontaktować. Jessica przypominała, że Rafe Rawlings wysłał do jej domu swojego zastępcę i ten z pewnością profesjonalnie wywiąże się z obowiązków, Danielle upierała się jednak, że na wszelki wypadek woli też tam być, choćby po to, by czuwać przy telefonie.

Sterling przyszedł pięć po szóstej. Nie miał żadnych wieści, ale poprosił Danielle o najnowsze zdjęcie Sary. Nakleiliby odbitki na

ulotki, a potem poprosili wszystkich znajomych, by rozlepiali je na wszystkich okolicznych tablicach ogłoszeniowych i słupach telefonicznych.

- Mam jej zdjęcie szkolne - powiedziała Danielle, wstając. - U siebie w domu. Już tam jadę.

- Naprawdę wolałabym, żebyś została z nami. - Jessica jeszcze raz próbowała ją zatrzymać.

Sterling zaproponował:

- Ona ma rację. Powinna być w domu na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił.

- Proszę jechać za mną, to dam panu zdjęcie - zwróciła się Danielle do Sterlinga.

Lynn zaproponowała, że może pojechać do Danielle na noc, ale ta odmówiła:

- Jedź do swojego domu. Nie będę sama, przecież będzie ze mną zastępca szeryfa.

- Ale...

- Dam sobie radę. Nie przejmuj się mną.

Lynn popatrzyła uważnie na bladą twarz przyjaciółki i przypomniała sobie o jej mężu. Gdzie on się podziewa? Czy Danielle spróbuje się z nim skontaktować teraz, gdy zginęło ich dziecko? Chciała o to zapytać, ale uznała, że w tej dramatycznej sytuacji rozdrapywanie ran byłoby całkowicie zbędne.

- Gdybyś jednak potrzebowała pomocy, zadzwoń do mnie.

- Oczywiście.

Lynn wsiadła do samochodu i odjechała. Śnieg nie padał już, ale pozostawił kilkucentymetrową warstwę bieli na podwórzach domów, które mijała, i utworzył zaspę na krawężnikach.

Gdy podjeżdżała do domu, zauważyła mercedesa Rossa zaparkowanego przed wejściem i mały samochód Trish na podjeździe.

Czekali na nią oboje w salonie. Najwyraźniej nie byli zachwyceni swoim towarzystwem.

- Powiedział, że jesteście umówieni, więc go wpuściłam - usprawiedliwiała się Trish cierpkim tonem. - Gdzie byłaś?

- U państwa McCallum. Z Danielle.

- Danielle... biedna kobieta. Jak ona to znosi?

- Całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Dzięki Bogu - oświadczyła Trish. Spojrzała z ukosa na Rossa, po czym znów zwróciła się do Lynn: - Odprowadzisz mnie do drzwi?

- Nie musisz wychodzić.

Trish machnęła tylko ręką zniecierpliwiona. Lynn wyprowadziła ją więc na korytarz, gdzie siostra pochyliła się i szepnęła jej do ucha:

- Wciąż jesteś w nim zakochana. To widać. I wiesz co? On też szaleje za tobą. Chyba powinnaś do niego wrócić.

Lynn zrobiła zdziwioną minę i zniżyła głos.

- Jeszcze kilka dni temu twierdziłaś, że go nienawidzisz. Trish wzruszyła ramionami i przysunęła się jeszcze bliżej.

- Przyznaję, że nie przepadam za nim, ale cóż, jako twoja siostra muszę go zaakceptować, skoro go kochasz.

Lynn nie wydawało się to takie proste.

- Wiesz, czasami najlepszym sposobem na osiągnięcie tego, czego pragniesz, jest po prostu śmiało wyjście naprzeciw.

- Jestem ci wdzięczna, że byłeś tam dzisiaj - powiedziała Lynn, dotykając ramienia siostry.

- Chyba udało mi się zachować zimną krew, prawda?-Trish uśmiechnęła się szeroko.

- Byłaś wspaniała.

- Biedna Sara. Boże, mam nadzieję, że nie zrobili jej krzywdy. A jak się czuje pani Parchly?

- Jakoś to przeżyje. Wszyscy musimy się z tym uporać. Trish otworzyła drzwi, ale zatrzymała się jeszcze w progu i dodała ściszym głosem:

- Wracając do Rossa... Nie wahaj się, skoro ci na nim zależy. On nie widzi za tobą świata. Wystarczy spojrzeć, jak na ciebie patrzy. - Zielone oczy Trish zabłyśły. - Poza tym, jest bajecznie bogaty, a to też się liczy. Nie twierdzę, że należy wychodzić za męża dla pieniędzy, ale gdyby o mnie chodziło, cóż, nie pogardziłabym bogatym kandydatem.

- Dość już tego, zmykaj.

Trish mrugnęła i chichocząc, ruszyła do samochodu. Lynn postąpiła chwilę w holu, żeby opanować zdenerwowanie. Wreszcie wróciła do Rossa.

Stał przy pianinie w rogu pokoju i przyglądał się rodzinnym zdjęciom ustawionym w różnorodnych ozdobnych ramkach na podpartym pulpicie.

Lynn stanęła w pewnej odległości. Odwrócił się przodem do niej i wtedy dostrzegła w jego oczach ogromną tęsknotę. Radość przepełniła jej serce. Tak, pomyślała, powiedz to, Ross. Proszę, wypowiedz te słowa.

Ale on wskazał tylko na fotografię i rzucił od niechcenia:

- Miałś przystojnego ojca.
- Owszem. Jednak przede wszystkim był dobrym człowiekiem - odparła, starając się ukryć rozczarowanie.
- Niebieskie oczy. Zupełnie jak twoje.
- Aha...
- A to pianino... ?
- Należało do mojej mamy.
- Ty też grasz?
- Nie tak dobrze jak mama, ale czasami zdarza mi się coś wystukać.

Nie skomentował tego. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie postanowiła go zachęcić.

- O co chodzi, Ross? Po co przyjechałeś?
- Martwiłem się o ciebie - odparł nieco za szybko.
- Jak widzisz, nic mi nie jest.

Spojrzał pełen zwątpienia. Może po prostu nie chciał jej wierzyć? Gdyby uwierzył w to, co powiedziała, nie miałby powodu pozostać choć na chwilę dłużej.

- Oddałeś mi pantofel, a w każdym razie wiem już, gdzie on jest.
- Zostawiła go w klasie, na podłodze. W miejscu, gdzie wypuściła go



z ręki, kiedy Ross wziął ją w ramiona. - I, jak przed chwilą powiedziałam, nie po raz pierwszy zresztą, radzę sobie zupełnie nieźle. Właściwie nie ma powodu, żebyś tu siedział dłużej. Chyba że chcesz zostać.

Długo nie odpowiadał, a kiedy wreszcie się odezwał, jego głos niespodziewanie nabrał ostrych tonów.

- Do diabła. Dobrze wiesz, czego chcę.
  - To dlaczego się wahasz? Zamknął oczy i odwrócił głowę.
  - Ross, proszę... - Postąpiła krok w jego stronę.
  - Nie - powstrzymał ją. - Stać cię na kogoś lepszego ode mnie.
  - Och, Ross, gdybyś tylko... Uciszył ją, unosząc rękę.
  - Pójdę już.
  - Wcale nie proszę, żebyś wyszedł. Nie słuchał jej.
  - Dobranoc, Lynn - wymamrotał, po czym wyminął ją i wyszedł.
- Dała mu dziesięć minut, po czym ruszyła za nim.

## ROZDZIAŁ 17

Dwadzieścia sześć minut później zapukała do drzwi domu Rossa. Dość długo trwało, zanim otworzył, ale czekała cierpliwie.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał obcesowo, gdy wreszcie wpuścił ją do środka.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - odparła z przekąsem. Ross zdążył się przebrać. Trzewiki zamienił na mokasyny, a elegancki sweter i spodnie na szarą bluzę i wytarte dżinsy.

- Wyglądasz na rozluźnionego, najwyraźniej dobrze się czujesz w domowych pieleszach - pochwaliła.

- Czułbym się tak, gdyby nie...

- Chcesz powiedzieć, że mój widok odebrał ci humor?

- Czego chcesz, Lynn?

- O ile pamiętam, ten temat już przerobiliśmy. Czy mogę wejść? Nie ustąpił.

Może trzeba mu było uzmysłować kilka przykrych, niezbitych faktów.

- Ross. W tę nieprzyjemną zimną noc gdzieś tam cierpi dziecko, które kocham. Może je zranili. Może nawet, Boże wybac mi te słowa, Sara już nie żyje. Jeśli jednak przeżyła, wiem, że jest przerażona. Ilekroć o niej pomyślę, mam ochotę krzyczeć. Z rozpaczyny gotowa jestem wyrywać sobie włosy z głowy. Czuję się chyba tak, jak ty się czułeś, kiedy zastałeś żonę z kochankiem.

Patrzył na nią wilkiem, ale nie przestała mówić.

- Wyobraź sobie matkę Sary. Siedzi tam sama i rozpacza. Bez męża. Spędzi tę noc w obecności zastępcy szeryfa przy telefonie, który prawdopodobnie i tak nie zadzwoni.

Nagle poczuli lodowaty powiew wiatru. Lynn zadrżała i szczerzej owinęła się płaszczem.

- Mówiłam ci, że nic mi nie jest. Faktycznie, w porównaniu z sytuacją Sary i jej matki nie mam prawa narzekać. I tak sobie myślałam... Sara jest sama, nie licząc bezlitosnych bandytów, którzy ją porwali. Danielle jest sama, bo, jak mówi, przywykła do samotności. Ale ja nie chcę być sama, Ross, chcę być z tobą. Rozumiesz mnie?

Boże, wygląda na to, że udało jej się do niego dotrzeć. Przynajmniej nie dąsa się już.

- Jesteś pewna? - zapytał cicho.

- Oczywiście. Wpuścisz mnie wreszcie? Zimno mi. Odsunął się. Lynn podeszła do szafy, powiesiła płaszcz i postawiła torebkę na podłodze. Potem zamknęła szafę.

Ross stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, oparty o poręcz schodów i wpatrywał się w nią. Wszystko po kolei, pomyślała.

- Czy jadłeś już coś?

- Kiedy?

- No, powiedzmy, że w ciągu sześciu ostatnich godzin.

- Nie.

- To chodźmy do kuchni, spróbujemy sobie coś przyrządzić. Po kilkunastu minutach Lynn postawiła na stole omlet z grzybami,

szkłankę mleka i kilka tostów. Odsunęła najbliższe krzesło zapraszającym gestem.

- Usiądź i zjedz - zachęcała.

Ross odburknął coś poirytowany, ale usiadł.

- A ty ? - Spojrzał na nią sceptycznie.

- Zjadłam kanapkę u Jessiki. Nie jestem już głodna - stwierdziła stanowczo, podsuwając mu talerz.

Wziął widelec i zaczął jeść. Lynn usiadła naprzeciw, oparła łokcie na stole i obserwowała go.

- Byłeś bardzo głodny.

- To brzmi niemal jak zarzut.

- Wcale nie.

Gdy zjadł już prawie wszystko i popił mlekiem, powiedział:

- W porządku. Zdradź mi teraz, co cię trapi.

- Chcę z tobą porozmawiać...

- O czym?

O nas, pomyślała. W tej chwili jednak było jeszcze coś, czym naprawdę chciała się z kimś podzielić. A kto nadawałby się do tego lepiej niż mężczyzna, którego kocha?

- Tak sobie myślałam...

Wsunął w usta ostatni kęs omleta i spojrzał pytająco.

- Nigdy o tym nie wspominałam. Było mi niezręcznie ze względu na okoliczności. Ale... czy pamiętasz ten poranek po naszej... wspólnej nocy?

Całe szczęście, że nie stała, bo spojrział na nią w taki sposób, że na pewno ugięłyby się pod nią kolana.

- Pamiętam.

- Wspominałam, że podwiozła mnie Winona Cobbs. -I...?

- Otóż kiedy zbliżyła się do mnie i zatrzymała samochód tam, na końcu podjazdu, miała... wizję. Chyba tak to można określić.

Ross uniósł brwi.

- Wizję - powtórzył za nią takim tonem, że nie miała wątpliwości, co on sądzi o takich sprawach.

- Wysłuchaj mnie, proszę.

Popatrzył na nią przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Mów, śmiało.

- Podobno Winona jest wizjonerką. Przepowiedziała już niejedno nieszczęście, zanim wydarzyło się ono w tych okolicach, potrafi przewidzieć, co się wydarzy, jak się dana sprawa zakończy. Czasami nawet szeryf zasięga jej rady, gdy...

- Rozumiem, co masz na myśli. Wróćmy jednak do tamtego dnia.

- Dobrze. Otóż... ona wtedy wzięła w rękę mój czerwony pantofel i...

- Zaczekaj. Jak to... twój pantofel?

- Niosłam go w rękę, bo nie znalazłam drugiego, a ona wysunęła dłoń przez okno samochodu, by wziąć go ode mnie. Przycisnęła go do piersi i zaczęła się tak dziwnie kołysać, mrużąc coś jednocześnie. A potem jakby... śpiewała. Intonowała jakieś niezrozumiałe rzeczy.

- Co konkretnie? - zainteresował się.

Usłyszeli bicie zegara na kominku. Jedno uderzenie. Siódma trzydzieści. Lynn zamknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć wszystko, co się wydarzyło w tamten chłodny zimowy poranek, kiedy tak bardzo bolały ją okaleczone stopy. A potem Winona - kołysząca się, śpiewająca.

- Winona powiedziała, że to, co zginęło, znajdzie się w chmurze pyłu. - Lynn otworzyła oczy i spojrzała na Rossa wyczekująco.

Najwyraźniej to, co usłyszał, nie zrobiło na nim większego wrażenia.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

- Mój czerwony pantofel...

- Lynn...

- Pomyśl tylko. Mój pantofel zginął, a potem się odnalazł „w chmurze pyłu”. Rozumiesz? Przecież twoja nowa gosposia znalazła go podczas odkurzenia.

Zacisnął usta, ale starał się nie okazywać zdziwienia.

- Co jeszcze mówiła Winona podczas tej... wizji?

- Wspomniała o „pierścionku i kłamstwie”. Że kłamstwo wyjawia prawdę. Mówiła też, że „oni” wezmą nie tę bliźniaczkę, o którą im chodzi. I że miłość powróci... w najciemniejszą noc strachu i nieszczęścia. Powiedziała też, że „nauczycielka uczy, księżę musi się nauczyć” i...

- Co ty opowiadasz? Mówiła o pierścionku? I o nauczycielce i księciu?

- Przysięgam, że to powiedziała.

- Nie wierzę...

- Wiem o tym. - Starła się powstrzymać drżenie głosu. -W tym cały kłopot. W każdym razie nasz kłopot, prawda? Że nie wierzysz. Że nie chcesz puścić w niepamięć tego zła, które się wydarzyło w przeszłości, choć ono nie pozwala ci mieć nadziei i... kochać, prawda?

Spojrzał na nią tak, że miała ochotę wstać i rzucić mu się w ramiona. Powstrzymała się jednak. Ross odsunął talerz.

- Skoro zacząłś, opowiedz mi resztę-poprosił.

- Dobrze. Winona wspomniała coś o ciszy. Przeróżającej ciszy, jaka nastąpi wtedy, gdy zguba powróci do domu...

Wpatrywał się w nią z zaciętym wyrazem twarzy, a jego oczy wyrażały całkowite zwątpienie.

Miała ochotę wyciągnąć rękę i potrząsnąć nim.

- Och, Ross. Nie rozumiesz? Jenny i Sara są takie podobne, niemal jak... bliźniaczki. A Winona powiedziała, że wezmą „nie tę” bliźniaczkę. Czy nie wydaje ci się, że zamierzali porwać Jenny? I Winona wspomniała „gdy zguba powróci do domu”. To znaczy, że Sara do nas wróci, prawda?

- Nie wiem, co o tym sądzić. Czy powiedziała coś jeszcze?

- Jeszcze tylko jedno. Że... miłość jest magiczna. Że powinnam w nią wierzyć, a na pewno mnie nie zawiedzie.

Czekał, jakby się spodziewał, że coś jeszcze usłyszy.

- To wszystko? - chciał się upewnić.

- Tak - odparta krótko, poirytowana. - Moim zdaniem, to i tak bardzo dużo. Powinnam to przemyśleć, dokładnie przemyśleć, zanim to wszystko się stało. Powinnam sobie uzmysławić...

- Niby co? Co powinnaś sobie uzmysławić?

Znow ledwo się powstrzymała, by nim nie potrząsnąć.

- Jak możesz być taki obojętny po tym, co ci powiedziałam?!

- Posłuchaj, Lynn. To prawda, że to, co mówiłaś, wywołuje dziwne odczucia. Ale czy można się w tym dopatrzeć jakichś wskazówek opartych na faktach, czegoś, co pomogłoby znaleźć Sarę? Przykro mi, ale nic takiego nie dostrzegam. To tylko przepowiednie. One prowadzą donikąd.

- Ale...

- A może chcesz zadzwonić do Sterlinga?

- Świetny pomysł - ucieszyła się.

- Tam jest telefon - powiedział, wskazując ręką - a książkę telefoniczną znajdziesz w górnej szufladzie pod barkiem.

Kiedy dzwoniła do domu McCallumów, Ross posprzątał ze stołu i włożył naczynia do zmywarki. Potem stanął po drugiej stronie stołu i czekał.

- No i? - spytał, gdy odłożyła słuchawkę.

Położyła ręce na brzuchu i bezwiednie oparła się o ścianę.

- Sterling zapewnił mnie, że natychmiast wyśle po Winonę któregoś ze swoich zastępców. Stwierdził, że zważywszy na okoliczności, warto spróbować wszystkiego.



- Mimo to nie wyglądasz na zadowoloną - zauważył, przyglądając się jej z troską.

- Sterling jest tego samego zdania. Oznajmił, że nie ma podstaw, aby poważnie traktować to, co mówi Winona. - Mówiąc to, Lynn podniosła obie ręce do ust, ale po chwili opuściła je. - Och, Ross. Nie mogę przestać o niej myśleć. Biedna Sara... gdzieś w ciemności, z dwoma opryszkami...

- Hej! - Wystarczyło pięć długich kroków i już był przy niej.

- Ja tylko... Nie daje mi to spokoju, bo gdybym... Gdybym to ja wyprowadziła dziewczynki... Albo gdyby wyszły pięć minut wcześniej... Lub pięć minut później? Gdyby...

- Takie gdybanie nic nie pomoże - uspokajał ją czule, kładąc palec na jej ustach. - Uwierz mi. Wiem, co mówię.

Lynn chwyciła jego rękę. i trzymała ją kurczowo - przy samym sercu.

Wtedy zaczął opowiadać.

- Sam przez to przeszedłem. Ciągłe gdybanie w związku z Elaną. Co by było, gdybym nie powiedział tych wszystkich przykrych rzeczy, gdybym spróbował zrozumieć, co by było gdybym przejrzał na oczy wcześniej, wtedy, gdy zaczęliśmy się spotykać? Albo gdybym spróbował zrozumieć, że ona mnie kocha i potrzebuje, tylko nie wie, jak do mnie dotrzeć? I tak w kółko, wciąż od nowa. To również prowadzi donikąd.

- Musisz... odpuścić to sobie.

- Właśnie. Ty też.

- Ale ja chcę pomóc. Chcę coś zrobić.
- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.
- To jeszcze nie wszystko. Na pewno można dużo więcej...

Posłuchaj, Lynn. Zrobiłaś rzeczy, które ja uznałbym za niemożliwe. Pogodziłaś się ze swoją dokuczliwą rodziną. Znalazłaś siostrze pracę, chyba jedyną, do jakiej się nadaje. Spowodowałaś, że ja zacząłem wreszcie myśleć, że może i dla mnie jest jeszcze jakaś iskierka nadziei.

- Naprawdę? Udało mi się dokonać... czegoś takiego?

- Jasne. Ale w tym przypadku, w kwestii zniknięcia Sary, nic więcej nie możesz zrobić. Musisz zaufać Sterlingowi i jego współpracownikom.

- Ale ja...

- Żadnych ale - uciał stanowczo, potrząsając głową. Wpatrywała się w niego, wiedząc, że ma rację, jednocześnie jednak w głębi duszy pragnęła, by się mylił, przynajmniej w sprawie Sary.

Nagle coś w niej pękło i nie mogła się już powstrzymać.

Przyłgnęła do Rossa, wtuliła się w silne ramiona. Westchnęła, gdy głaskał ją po włosach, przytulał do serca. Bosko, myślała, tak bosko jest być w jego ramionach. Tu jest moje miejsce. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Teraz lepiej? - zapytał.

- Troszeczkę.

Wodził palcem po jej brwiach, a potem odgarnął kosmyk włosów z jej policzka.

- Zrobiłaś wszystko, co było można - powtórzył.
- Jednak to za mało.
- Rano znów zadzwonimy. Dowiemy się, czy mają jakiś nowy ślad.

Myśli w liczbie mnogiej, przemknęło jej przez głowę.  
Zadzwonimy, dowiemy się - jak to wspaniale brzmi. Uśmiechał się.  
Boże, jak ona uwielbiała ten uśmiech.

- Nakarmiłaś mnie, zadzwoniłaś do Sterlinga i opowiedziałaś mu o przepowiedniach Winony. Na co teraz kolej?

Ledwo dokończył pytanie, usłyszeli bicie zegara na kominku.

- Ósma - szepnęła.

Jego usta były tak blisko. Musnęła je delikatnie.

- Na co teraz kolej? - powtórzył pytanie, zamykając ją w ramionach.

- Teraz, panie Garrison, zabieram pana do łóżka - odpowiedziała, zaskakując samą siebie.

## ROZDZIAŁ 18

W środku nocy Lynn obudziła się z krzykiem. Zegar na dole właśnie wybił drugą.

- Miałaś zły sen?- Ross przytulił ją mocno. Westchnęła ciężko i skinęła głową wspartą na jego piersi.

- Śniła mi się Sara. Wzywała mnie. Nie mogłam jej znaleźć, a potem... byliśmy w klasie. Powiedziała: „Zapomniała pani o moim piesku, panno Taylor. Wie pani o tym, prawda?”.

- Jakim piesku? - spytał, całując jej włosy.

- Kilka tygodni temu, w moje urodziny Sara powiedziała... pamiętasz, to było tuż przed twoim przyjściem.

Poczuła, jak Ross kiwa głową.

- Pamiętam. Byłyście razem w klasie.

- Droczyła się wtedy ze mną. Mówiła, że nie może powiedzieć, jaki ma dla mnie prezent. Ona papie bez przerwy, taka z niej szczebiotka, jak zacznie, to nie można jej powstrzymać. Miałyśmy umówiony znak. Wskazywałam na usta, a Sara chichotała i mówiła: „Wiem. Mam zasznurować buzię”. Och, Ross...

- Uspokój się - szepnął. - Już dobrze.

- Wspomniałam o piesku - zaczęła znów, ocierając łzy.

- Słucham cię.

Lynn położyła dłoń na jego piersi. Czowała jego ciepło i siłę i to napawało ją otuchą. Zaczęła lekko pocierać jego jedwabiste włosy.

- Dokończ o tym szczeniaku - przypomniał.

- Właśnie - uśmiechnęła się niepewnie. - Były moje urodziny i czekałyśmy na Danielle. Sara paplała bez ładu i składu. O świętach Bożego Narodzenia, o tym, jak bardzo chce dostać pieska, i jak on urośnie i będzie taki jak Sugar, szczeniak Jenny. Sara tak marzyła o tym zwierzaku, że postanowiłam porozmawiać o tym z Danielle. Ale jakoś...

Ross wiedział, co powie.

- Nie zrobiłaś tego - dokończył za nią.

Usiadła, by go lepiej widzieć. W pokoju panował półmrok, lampka na stoliku została przykręcona i dawała bardzo niskie światło. Lynn jednak wyraźnie widziała oczy Rossa i to było najważniejsze.

- Och, Ross. Przyszło mi właśnie na myśl, że może ona już nigdy nie dostanie pieska, nie zaśpiewa z Jenny w duecie na jasełkach, a nawet nie będzie się już cieszyła z żadnych świąt Bożego Narodzenia. Bo gdyby...; ?

- Cii... Nie ma gdybania, pamiętasz?

- Tak. Wiem, że masz rację.

Pocałował ją. Był to czuły, namiętny pocałunek, podczas którego Ross delikatnie popchnął ją na poduszki i przygarnął. Po chwili jednak odsunął się, by zapewnić:

- Ona wróci. Pamiętasz? Twoja wizjonerka to przepowiedziała.

- Ale ty mówiłeś...

- Przecież mogłem się mylić. W końcu jestem tylko mężczyzną.

- Ale...

- Nie sprzeczasz się, po prostu uwierz w to.

Łzy znów napłynęły jej do oczu. Czy to sen? Czy Ross Garrison naprawdę każe jej wierzyć?

- Trzeba w to wierzyć, nie ma innego wyjścia - rozwiął jej wątpliwości.

- Ja...

Pocałował ją znów, jakby w ten sposób chciał ją powstrzymać od mówienia. Zapomniała o wszystkim, myślała tylko o jego ustach i rękach przesuwających się po jej ciele, delikatnych, a zarazem natarczywych, odnajdujących wszystkie sekretne miejsca, by je otworzyć i obudzić.

Jego usta podążyły za rękoma.

Chwyliła go za głowę, gdy odnalazł ją ustami. Pieszczoty języka doprowadziły ją do szaleństwa, aż odrzuciła głowę na poduszkę i krzyknęła, zatracona w spełnieniu, pulsującym w każdym nerwie ciała.

Później pomogła mu rozpakować folię i włożyć prezerwatywę. Położyła się na nim, a potem kochali się i jednocześnie, patrzyła mu w twarz, w myśli powtarzając czułe wyznania: Kocham cię. I wierzę, tak bardzo chcę wierzyć...

Wszedł w nią głęboko i dali się porwać namiętności, doznając spełnienia w tej samej chwili. Słyszając bicie zegara, uśmiechnęli się do siebie. Wreszcie zmęczeni położyli się, chcąc ukraść choć kilka godzin snu.

Zegar wybijał dziewiątą, kiedy zadzwonił telefon. Lynn przestraszyła się. Pomyślała o szkole, że uczniowie czekają tam na nią i zastanawiają się, dlaczego ich pani się spóźnia.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim sobie przypomniała, że to przecież sobota, więc nie ma zajęć. A Sara zginęła...

Ross podniósł wreszcie słuchawkę telefonu stojącego na stoliku obok łóżka.

- Słucham, tu Garrison.

Lynn słyszała szmer głosu z drugiej strony linii.

- Pół godziny temu? - spytał Ross.

- Czy to Sterling? - szepnęła.

Podniósł rękę i gestem poprosił ją, by milczała. Jednocześnie skinął głową potakująco.

- Dobrze - powiedział znów do słuchawki. - O wpół do jedenastej w mojej kancelarii.

- Zapytaj go o Winonę. Czy rozmawiali z nią?

Znów gestem nakazał jej milczenie. Jeszcze chwilę słuchał Sterlinga, po czym zapytał:

- A co z panią Sheppard? Dobrze... zobaczymy, co się da zrobić.

- Ross, zapytaj o Winonę - wtrąciła znów Lynn. Skinął głową i ponownie zwrócił się do Sterlinga.

- Czy rozmawiał pan z tą... panią Cobbs? Tak, wiem, że Lynn dzwoniła do pana... Rozumiem. Do zobaczenia o wpół do jedenastej.

- I co?- niecierpliwiła się Lynn.- Masz jakieś nowe wieści? -

Usiadła i oparła się o zagłówek.

- Żądają okupu - odparł. - Dziś o wpół do dziewiątej zadzwonili z automatu, ale nie zdołano ich wytropić, bo zatelefonowali do domu Sterlinga.

- Do Sterlinga?

- Właśnie. A tam nie ma podsłuchu. Założyli go u Danielle, bo spodziewali się, że tylko tam porywacze mogą zadzwonić.

- Jakiego okupu żądają?

- Miliona dolarów.

- Boże...

- Milion dolarów - powtórzył Ross - za Jennifer McCallum.

- Jenny? - zdziwiła się Lynn. - Przecież... - Nagle dotarło do niej.

- Chwileczkę. Płaszcz... Jenny i Sara zamieniły się płaszczkami.

Imię Jenny wszyte jest po wewnętrznej stronie kołnierza. Bandyci są zapewne przekonani...

- Faktycznie. Sądzą, że schwytali Jennifer. I z pewnością wiedzą o fortunie Kincaid.

- Ross, wszystko dzieje się zgodnie z przepowiednią Winony. Pamiętasz? Ona mówiła o porwaniu nie tej bliźniaczki...

- Rzeczywiście na to wygląda.

- Ale Sara zapewne by im powiedziała... - Lynn jęknęła. -

Dlaczego tego nie zrobiła? To znaczy, że ona...

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - zirytował się. -Może po prostu nie dali jej szansy, a może sama nie chce z nimi rozmawiać.

Lynn zamknęła oczy.

- Ale Sara nigdy nie trzyma buzi na kłódkę.



- Weź poprawkę na przerażenie. Sparaliżowana strachem nie będzie nic mówić.

- Rzeczywiście. Możemy się jeszcze łudzić.

Boże, do czego to doszło. Mamy nadzieję, że dziecko jest przerażone, myślała jednocześnie. To niebываłe. I chore. Żeby się cieszyć z panicznego strachu pięcioletniej dziewczynki? Skoro jednak miałyby oznaczać większe szanse na przeżycie dziecka, cóż, niech raczej się boi.

- Będziemy grać na zwłokę - wyjaśnił Ross. - Nie zdążyliśmy jeszcze porozwieszać ulotek ze zdjęciem Sary i teraz w ogóle z tego rezygnujemy. Spróbujemy ich przetrzymać, będziemy rozmawiali ze wszystkimi, którzy wiedzą, co się stało, prosząc jednocześnie, by nie puścili pary z ust.

Znów przyszła jej na myśl Winona. I Lily Mae, najbliższa przyjaciółka Winony. I Pani Parchly. A nawet Trish, jej siostra. Wszystkie uwielbiały plotki.

- Na pewno wie już połowa miasta - stwierdziła.

- Zrobimy, co się da.

- Oczywiście. A co z okupem?

- Zapłacimy go.

- W jaki sposób?

- Posłuchaj, muszę już jechać - zmienił nagle temat i zaczął słać łóżko. - Później ci wszystko opowiem.

- Ale co z tą kobietą? Czy Angela Sheppard żyje? Spojrzał na Lynn.

- Wczoraj wieczorem odzyskała przytomność. Shane McBride rozmawiał z nią, ale niczego się nie dowiedział. Prawdopodobnie straciła pamięć pod wpływem uderzenia w głowę. Ale teraz muszę szybko jechać do kancelarii. - Odchylił się i pocałował ją gorąco. - Przygotuję odpowiednie dokumenty dotyczące majątku Kincaid. Za półtorej godziny mamy zebranie na ten temat.

- Jeszcze tylko jedno. Co z Winoną? - nie dawała mu spokoju.

- Nic - pokręcił głową. - Szeryf Rawlings rozmawiał z nią. Powiedziała, że nie ma żadnych informacji na ten temat, ale jeśli się czegoś dowie, natychmiast da znać.

- Czuję się zawiedziona - przyznała Lynn, puszczać jego dłoń.

Ross nie komentował jej wypowiedzi. Ruszył do łazienki, by wziąć prysznic.

Lynn siedziała zrezygnowana, przygnębiona, i zastanawiała się, dokąd zmierza ten świat. Po chwili wykrzesła jednak z siebie trochę energii i wyskoczyła z łóżka. Ubrała się i zbiegła na dół, żeby zaparzyć kawę.

Za dwadzieścia dziesiątą gotowy do wyjścia Ross pocałował ją na pożegnanie. Wtuliła się w niego, wkładając w ten pocałunek całe swoje serce.

- Zadzwoń do mnie - poprosiła. - Zaraz po zebraniu. Przyrzekł, że zadzwoni. Potem wsiadł do mercedesa, a ona do swojego blazera i ruszyła za nim. Gdy dojechali do miasta, zostawił ją w tyle.

Pospieszył do swojej kancelarii, a ona – do domu. Tu wzięła prysznic i zadzwoniła do Trish i do pani Parchly, by poinformować je o tym,

czego się dowiedziała, i przestrzec, by nigdzie i nikomu nie rozpowiadały, że bandyci porwali Sarę, a nie Jenny.

Potem Lynn czekała. Minuty zamieniły się w wieczność. Ross zadzwonił dopiero o wpół do dwunastej. Zgodnie z przyrzeczeniem chciał zdać jej sprawozdanie ze spotkania ze Sterlingiem. Właściwie powiedział tylko to, co już wiedziała. Danielle w żaden sposób nie może zdobyć miliona dolarów, wobec tego Sterling i Jessica postanowili zwrócić się do zarządcy majątku Kincaid z prośbą o zapłacenie okupu. Ross rozpoczął już starania o wypłacenie pieniędzy.

Dodał, że McCallumowie martwią się, że Jenny może być w dalszym ciągu narażona na niebezpieczeństwo, gdy kidnaperzy zorientują się, że porwali nie to dziecko. Postanowili tymczasowo ulokować dziewczynkę w jakimś bezpiecznym miejscu. Ross nie wiedział, gdzie. Podkreślił, że im mniej ludzi to wie, tym lepiej.

Lynn podzielała jego zdanie.

- Co teraz? - spytała.

- Musimy czekać. Porywacze powiedzieli, że wkrótce znów zadzwonią i podadzą dalsze wskazówki - rzekł na koniec.

Lynn długo jeszcze stała przy telefonie. Czowała się bezużyteczna i przybita. Bardzo chciała coś zrobić, pomóc. W końcu wpadł jej do głowy pewien pomysł. Że może był to szalony pomysł? Nie szkodzi. Głupawy? Może troszeczkę.

Ale, jak powiedział Sterling McCallum, nie mają nic do stracenia. Biorąc pod uwagę okoliczności, warto próbować wszystkiego.

Lynn poszukała numeru do Winony. Dość długo nikt nie odbierał telefonu. Nie odkładała jednak słuchawki, czekała zdeterminowana.

Wreszcie usłyszała głos wizjonerki, nagrany na automatyczną sekretarkę: „Zatrzymaj się i wymień. Śmieć dla jednego jest skarbem drugiego”.

Lynn przywitała ją i powiedziała, po co dzwoni.

Z początku Winona wykręcała się:

- Dziecko, duchy to nie program radiowy. Nie można tak po prostu wykręcić numeru i oczekiwać, że natychmiast się z nimi połączymy.

- Proszę, Winono. Niech pani spróbuje. Winona westchnęła i przyrzekła spełnić prośbę.

- Czy mam przyjechać do pani?

- Nie, kochaneńka. Ja przyjadę do ciebie.

- Kiedy?

- Za godzinę?

- Będę czekać.

Winona przyjechała punktualnie. Towarzyszyła jej Lily Mae Wheeler.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, kochanie? - rzuciła, poprawiając jednocześnie fryzurę, obecnie koloru blond. - Byłam akurat u Winony, kiedy zadzwoniłaś. Szukałyśmy właśnie kolczyków w pudełku po cygarach. Musiałam też przyjechać...

Lynn wprowadziła je do salonu i wręczyła Winonie swój czerwony pantofel.

Winona wykonała serię dziwnych ruchów. Przycisnęła but do piersi, zamknęła oczy i kołysała się w przód i w tył.

Lynn i Lily Mae czekały nieruchome niczym posągi, jakby się bały wykonać najmniejszy ruch, by nie utrudnić przepływu energii, które Winona- medium próbowała odebrać.

W końcu Winona otworzyła oczy i westchnęła ciężko.

- Przykro mi, ale nic nie widzę. Kompletna pustka. - Mówiąc to, spojrzała na pantofel. - Teraz to już dla mnie tylko zwyczajny but. I muszę przyznać, że przytulając go, czuję się... głupio.

Lynn zupełnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Z rozpaczy chciała wrzeszczeć, wydzierać sobie włosy z głowy. W końcu zaproponowała:

- Może napiją się panie herbaty? Mam zwykłą i ziołową. Możemy... pozasłaniać okna. I... świece. Tak, są tam gdzieś w szufladzie w kuchni, na wypadek gdyby wyłączyli światło. Albo może...

- Uspokój się, kochanie. - Lily Mae potrząsnęła głową;

- Nie. To zadziała. Musi się udać. Tylko... poczekajcie. Herbatę możemy sobie darować. Ale zasłony i świece... Jestem pewna, że to pomoże.

Obie starsze panie namyślały się jeszcze, gdy Lynn pobiegła do kuchni, wyjęła świece z podstawkami, wzięła zapalki. Kiedy wróciła do salonu, Lily Mae zaciągała zasłony.

Lynn ustawiła świece na stoliku do kawy.

- Mam sześć. Czy to dobra liczba?

- Dziecko... - Winona nie wydawała się zbyt pewna.

- Niestety, więcej nie mam. Tyle musi wystarczyć - stwierdziła Lynn, zapalając świece.

Ona i Lily Mae usiadły wreszcie, a Winona znów przytuliła czerwony pantofel. Ale bez efektu.

- Przykro mi. Niestety, nic nie skutkuje...

- Proszę zaczekać. - Lynn nie rezygnowała. - Niech panie zostaną u mnie, proszę, a ja wrócę za dwadzieścia minut - rzuciła, chwytając swoją torebkę ze stolika i pędząc do drzwi.

Pojechała do szkoły. Wpadła do klasy, gdzie na jej biurku stała jeszcze torba na zakupy. Widocznie woźna zostawiła ją tam, gdy sprzątała podłogę. Złapała ją i ruszyła do drzwi.

- Jak to możliwe - zdziwiła się, gdy wychodząc ze szkoły dostrzegła Rossa. Czarny mercedes połyskiwał w popołudniowym słońcu, wyłaniając się zza zakrętu.

Nie potrzebowała Rossa akurat w tym momencie. Kochała go bezgranicznie, ale nie, teraz nie chciała go widzieć. Nie zniosłaby sceptycyzmu w tych pięknych, ciemnych oczach.

Z pomrukiem niezadowolenia chwyciła torbę, wsiadła do samochodu i odjechała.

Kiedy wróciła do domu, zastała tam wszystkich troje: Lily Mae, Winonę i Rossa.

- Jeśli chcesz zostać, nie wolno ci pisnąć ani słówka - zwróciła się wyniośle do Rossa.

- Chyba jesteś w potrzasku, młody człowieku - zachichotała Lily Mae.

Ross poddał się. Skinął głową i milczał.

- Pamiętaj, ani słowa - przypomniała mu jeszcze, wskazując na kanapę. - Usiądź tam i czekaj.

Lynn wyjęła z torby swój drugi czerwony but.

- Winono, to jest pantofel, który zginał, pamięta pani, tamtego ranka, gdy mnie pani podwiozła. Pomyślałam...

- Rozumiem, dziecko. Usiądź.

Lynn posłusznie zajęła miejsce. Winona pstryknęła palcami.

- But...

Serce Lynn waliło jak młotem, gdy wręczała jej pantofel.

Winona przycisnęła go do piersi.

- Hmm. Hmnnnn... - mruzczała, zamykając oczy i kołysząc się do przodu i do tyłu.

Na stoliku płomienie świec strzelały w górę, to znów opadały, i znów podnosiły się, coraz to wyżej.

Radość przepęłniła serce Lynn, gorączkowa i triumfalna. To zaczynało działać...

Dziwny dźwięk wydobywał się z piersi Winony, ale brzmiał, jakby płynął gdzieś z głębi, nie od niej samej. Przypominał trzask sosen rozkołysanych na wietrze czy też zapamiętaną, choć nie do końca znaną pieśń.

Lynn przysiadła na krawędzi krzesła. Czekwała na słowa. Słowa, które wskażą jej, wskażą im wszystkim, gdzie jest Sara.

I doczekała się.

Niemowleta. Dwójka. Kobieta i śpiewający ptaszek. Mężczyzna poszukujący zguby... mężczyzna, którego ręce mają uzdrowicielską moc. Dziecko wraca. W ciszy, z wiankiem na głowie. A ojciec... ojciec też wraca. Ojciec poszukuje odpowiedzi. Poszukuje prawdy. I znajduje... miłość. Miłość, którą, jak mu się zdawało, stracił. Miłość, która wciąż jest żywa... w sercu kobiety, która teraz czeka, ale nie na niego...

Winona otworzyła oczy. Odwróciła głowę, spojrzała na Lynn, przejrzała ją. Płomienie świec błyszcząły w jej niezgłębionych oczach, połyskujących złotym światłem.

- Zaufaj - zawodziła Winona. - Uwierz. Czekaj. Na wszystko znajdzie się odpowiedź. Przyjmij oferowaną ci miłość, pełną światła, niczym brylant. Bo jest ona magiczna. To jedyna cudowna magia, jaka nam została na tym świecie...

Winona westchnęła i przymknęła oczy. Płomienie świec znów zamigotały, po chwili jednak zgasły wszystkie jednocześnie.

Winona powiedziała wyraźnie:

- Rozsuń zasłony, dziecko. Tu jest za ciemno.

- Siedź sobie, kochanie - odezwała się Lily Mae. Sama podskoczyła i odsłoniła okna, brzęcząc bransoletkami.

Lynn pochyliła się w stronę Winony.

- Ale... co to wszystko znaczy? - spytała.



Winona uśmiechnęła się szerokim, rozbudzonym uśmiechem.

- Gdybym to wiedziała, to wiedziałabym wszystko, prawda? -

- Żałuję, że tego nie nagrałam. Na pewno nie zapamiętaliśmy wszystkiego, więc jak to przekazemy Sterlingowi i Rafe'owi?

- Nie martw się - uspokajała ją Winona. Dotknęła palcem skroni i dodała: - Mam to wszystko tutaj. Wciąż jeszcze pamiętam.

Każdziutkie słowo. Zwykle utrzymuje się to przez godzinę lub dwie...

- Musi pani porozmawiać z...

- Wiem - Winona wstała. - Chodźmy, Lily Mae. Musimy natychmiast pojechać do szeryfa.

Ross i Lynn zostali sami w salonie. Zimowe słońce wlewało się strumieniem przez okna, w powietrzu unosił się zapach dymu świec. Obok świec stały, jeden przy drugim, czerwone pantofle. Nareszcie znów dobrana para.

- Uwierz i zaufaj. - Ross powtórzył słowa Winony. Skinęła głową.

- Słyszałam każde słowo. Pamiętasz, jak powiedziała, że Sara wróci? Och, Ross. Potwierdź, że dobrze to zrozumiałam.

- Tak, faktycznie wspomniała o tym. Lynn słyszała wciąż śpiewny głos Winony: „Dziecko wraca. W ciszy, z wiankiem na głowie...”

- Kocham cię, Lynn - szepnął Ross.

I znów fala radości przelala się przez nią, usuwając zwątpienie.

- Tak się cieszę...

- Chcę, żebyśmy to wreszcie ustalili. Siedziałem w kancelarii, usiłując skoncentrować się na pracy, ale nie mogłem. Pomyślałem, że najpierw muszę załatwić coś pilniejszego. Więc wróciłem do domu, by to przynieść.

Wyjął z kieszeni eleganckiej kaszmirowej marynarki małe pudełeczko z czarnego aksamitu.

Lynn wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana.

Pierścionek i kłamstwo, pomyślała. Kłamstwo, które przeradza się w prawdę...

- Daj mi rękę.

Podeszła bliżej, a Ross otworzył pudełeczko, wyjął pierścionek z dwukaratowym brylantem, który kiedyś kupili razem, i wsunął jej go na palec.

- Powiedziałem ci kiedyś, że nie wiedziałem, czym jest prawdziwa miłość - szepnął wzruszony. - Rzeczywiście nie wiedziałem, póki ciebie nie poznałem. Proszę, noś ten pierścionek już nie na niby. Noś go zawsze...

Dotknęła jego twarzy.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał.

- Tak, tak... Nachmurzył się.

- Jest jeszcze coś, co musimy wyjaśnić.

- Ja... wolę zaczekać do powrotu Sary. Zgadzasz się? Możemy zaczekać do tego czasu?

Wyciągnął do niej rękę. Wtuliła się w jego ramiona.

- Oczywiście - szepnął w jej włosy. - Zaczekam, jeśli coś mi przyrzekniesz.

- Wszystko, co tylko zechcesz.

- Przyrzeknij, że nie stracisz ducha, jeśli chodzi o Sarę. Trzeba wierzyć, że nic jej się nie stało. Chcę, żebyś przyrzekła, że nie stracisz...

Wiedziała, jakim słowem zakończy wypowiedź. Powiedzieli je razem:

- ...wiary. Przytuliła go mocniej.

- Wiem, że wszystko skończy się dobrze. Och, Ross, tak bardzo cię kocham.

Pocałował ją czule, zapalając płomień w sercu.

To magia, pomyślała. Och, Winona ma stuprocentową rację. W tym wszystkim liczy się tylko jedno: magia miłości.

**koniec**